KAZANIA O MĘCE PAŃSKIEJ

SIGILLUM ECCL. STI. STANISLAI E.M. TARNOVIAE, M.I.

KS. PIOTR NIEZGODA
DZIEKAN GENERALNY W. P.

TOM II.

KAZANIA
O
MĘCE PAŃSKIEJ

Z dołączeniem cyklu
NAUK REKOLEKCYJNYCH DLA INTELIGENCJI.

LIBRARY
St. Hyacinth Friary
Granby, Mass.

SCHOLASTICATUS S.S. STANISLAI E.M.
TRENTON, N.J.

MIEJSCE-PIASTOWE
NAKŁADEM i DRUKIEM ZAKŁADÓW WYCHOWAWCZYCH
TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA
1927.

Printed in Poland

25224
M68

Nihil obstat

Dr. Nicolaus Nagórzański
Cub. Int. S. S.
censor librorum

Nr. 8805.

IMPRIMATUR

Varsoviae d. 7 decembris 1926 a.

† *Dr. Stanislaus Gall*
Episkopus castrensis Ex. Pol.

L. S.

KONANIE W OGROJCU.

Tristis est anima mea
usque ad mortem.
Mat. 26, 38.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek więcej ma w życiu cierpienia, niż radości, że oblicze jego częściej się powleka chmurą smutku, niż jutrzenką wesołości i zadowolenia. Cierpi człowiek na ciele. Słaby, podległy różnym bolom, chorobom, wije się i męczy i płacze a czasem w rozpaczy przeklina. Cierpi też na duszy. Smutek, żal po stracie, tęsknota za szczęściem wiecznie targająca wnętrzności serca i nigdy nie dająca się zapełnić — niepewność, nienawiść do wszystkiego, to są niby te jadowite gadziny, które wgryzają się w naszą wewnętrzną istotę i ssą z niej soki zadowolenia i szczęścia. Cierpimy! Stąd też przypatrujemy się chętnie obrazom i wzorom wielkiej boleści. Jest to już w naturze człowieka położone, że chętnie lubi słuchać o jakichś strasznych katastrofach, o strasznych walkach, o nadludzkich wysiłkach innych ludzi, o ich męce i boleści. Zdaje się, że w takiem wpatrywaniu się znajduje człowiek ochłodę pewną i ulgę w swej własnej męce i bolu. Stąd to pochodzi, że ludzie poczciwi i dobrzy tak chętnie wpatrują się oczyma swej duszy w obraz najszlachetniejszej i zarazem największej boleści, na jaką kiedykolwiek patrzała zdumiona ziemia, w obraz mąk i boleści Odkupiciela ludzkiego rodzaju, naszego Mistrza i Pana, Jezusa Chrystusa. I wpatrują się tem chętniej, iż w tem morzu boleści Boga-Człowieka, znajdują dla siebie siłę i moc do znoszenia cierpienia

i krzyżów. Męka Pana Jezusa jest dla serca ludzkiego studnią pełną żywej, ożywiającej wody. Kto się do tej krynicy Bożej zbliży i usta gorączką życia spieczone do niej przyłoży, ten się orzeźwi i odświeży i będzie mógł nadal taczkę swojego życia przed sobą popychać.

Nadszedł czas wielkiego postu. Wszystko w tym czasie do nas rzewniej przemawia. I te smutne melodje pieśni kościelnych i te ceremonje pokutne, pokutny kolor szat liturgicznych zdają się do nas wołać: „Christus passus est pro nobis, vobis relinquens exemplum - sequamini vestigia Eius". Petr. 2, 21.

Chrystus cierpiał za ciebie człowiecze, Chrystus za ciebie umierał. Czyż nie godzi się tobie z wdzięczności dla Niego przynajmniej przebiedz myślą bolesną drogę, Jego męki i wnijść myślą w szczegóły Jego bólu?! Tyle razy może płakałeś ze współczucia nad boleścią jakichś ludzi, którzy byli tylko wytworem poetyckiej fantazji, a nad cierpieniami Zbawiciela, czy chociażby jedna łezka spłynęła po twojem obliczu?! Stąd po największej części na świecie tyle niezadowolenia i tyle przekleństwa i tyle złości, że ludzkie serca tak rzadko zagłębiają się w męce Pana Jezusa. I znowu z drugiej strony każdy cnotliwy, każdy uczciwy czerpie siłę z rozważania tejże męki. To też kiedy się nadarza w czasie wielkopostnym sposobność do rozważania Pana Jezusowej męki, z gorliwością wpatrujmy się w te bóle ciała i duszy Zbawicielowej. Ręczę za to, że każdy, który się w tę bezdeń zanurzy, wyłowi dla siebie perłę pociechy i nabierze dziwnej siły do wytrwania w dobrem i do zbawienia dusznego wiele łaski sobie zyszcze.

A więc przyjaciele, którzy chodzicie po drogach życia, obaczcie a przypatrzcie się, czy jest boleść, jako boleść Pana i Mistrza Waszego Jesusa Chrystusa?! W kazaniach tegorocznych będziemy się przypatrywać przy pomocy łaski Bożej ranom, które Jezus odniósł na ciele i duszy Swojej — będziemy rozważać mękę Pańską. A najpierw w dzisiejszej pierwszej nauce pójdziemy za Zba-

wicielem naszym do ogrodu Getsemani i przypatrzymy się Jego wewnętrznej walce i Jego strachaniu się tak wielkiemu, że aż pot krwawy wystąpił na Jego święte ciało. Wejdziemy w szczegóły tego strasznego zmagania się Boga-Człowieka i zapytamy się, co było przyczyną tej niepomiernej boleści. Jeżeli się przekonamy, żeśmy i my byli przyczyną Jego konania i krwawego potu, to się z boleścią uderzymy w pierś i wespół z Nim rzucimy się na ziemię, by błagać Pana o litość i miłosierdzie. Jezu! Zbawicielu! Pośredniku między Bogiem a nami! Mamy się przypatrywać Twym bolom i ranom. Czyżmy je zgłębić potrafimy, my, co tak powierzchownie wszystkie sprawy bierzemy? To nad nasze siły! Prosimy Cię — stanij Ty nam sam przed oczyma. Rozłóż Swe ręce przed nami, tak jak je na krzyżu rozpiąłeś, otwórz Twe serce przebite, tak jak je ongi na krzyżu otworzyłeś, byśmy jak najgłębiej umysłem i sercem naszem w Twe Rany najświętsze wejść mogli. Jezu! zmiłuj się nad nami i dodaj łaski przez przyczynę Twej kochanej Matki Marji. *Z. M.*

I.

Chodźmy za mury jerozolimskie na wschodnią stronę, do podnóża góry oliwnej. Za łożyskiem potoka Cedron rozpoczynają się stoki górskie. Góra dość naga, skalista. Tylko gdzieniegdzie widzisz rozrzucone sady oliwne. Zaraz na krańcu góry jest ogród, w którym oliwki gęściej rosną niż gdzieindziej. Wieczór cichy, spokojny, wiośniany. Ziemia cała odziała się czarną suknią nocy. Dziwny spokój w całej naturze. Tylko wiatr czasem przeleci od nagich moabickich gór, zaszeleści gałęziami oliwek, popieści się z kwiatami, które tu i ówdzie pokrywają górę i poleci dalej na swych wartkich skrzydłach. Tylko z pobliskiej Jerozolimy doleci czasem jakiś łoskot i stuk, chociaż i tutaj z każdą chwilą coraz spokojniej, coraz ciszej. Jerozolima idzie powoli spać. — Tylko na Syonie koło zamku Dawida jakieś światełko płonie. To z domu arcykapłana światło dochodzi. Nie śpi arcykapłan, pewnie ważne myśli

i plany zaprzątają jego wielką arcykapłańską duszę. Z zamku Antonjusza, twierdzy rzymskiej, doleci czasem głos rzymskiego żołnierza, zmieniającego nocne czaty. W ogrodzie Getsemani, widzisz jakieś śpiące trzy postacie. Przylgnęli tak do szarych kamieni, że ich oko ledwie od skały odróżnia. Śpią — pewnie znużeni całodzienną pracą. Opodal, jakby na rzut kamienia, w grocie, widzisz znowu jakąś postać. Gdy się nieco zbliżysz, przekonasz się, że to postać męża. Ten nie śpi. Upadł na kolana na twardej ziemi, potem przylgnął twarzą aż do ziemi, jakby jakaś niewidzialna ręka na barki Jego wielki ciężar kładła. Podniósł się znowu z ziemi i wyciągnął ręce ku górze jakby chciał ulecieć ku niebu, lub jakby wzywał Bożej pomocy i zmiłowania Bożego. Jakiś lęk nieopisany maluje się na Jego przecudnem obliczu. Wstaje z ziemi i udaje się do trzech śpiących postaci. Widząc, że u nich pociechy i pomocy, ni otuchy nie znajdzie, wraca na swoje miejsce opuszczone. Noc już głucha zapadła. Ciszy i spokoju już nic nie przerywa. Upadł na kolana Swoje — a boleść jakaś wewnętrzna tak ścisnęła serce Jego, że krew uderzyła w żyłach, przebiła skórę i obfitą rosą pokryła ciało. Z ust płynie skarga i prośba zarazem: „Ojcze! jeżeli można, rzecz, niech odejdzie odemnie ten kielich!“ Kto On, ten samotnik wijący się z bolu pod rozłożystemi oliwnemi drzewami, ukrywający swój ból i mękę w cieniach nocy? To boski nasz Zbawiciel, Jezus Chrystus!

On to spożywszy w gronie swych uczniów ostatnią wieczerzę, a wiedząc, że się zbliża godzina Jego męki i śmierci, przyszedł tutaj na miejsce samotne, aby, niby rycerz na bój śmiertelny się wybierający, wziąć błogosławieństwo i umocnienie do walki z ręki swego dobrego Ojca. Uczniów swoich pozostawił u stoku góry — trzech najwierniejszych i najbardziej ukochanych wziął ze sobą aż do ogrodu. Ci to właśnie spali na kamieniach nie myśląc nawet i nie przeczuwając, jak bardzo się męczył i cierpiał Ich Pan i Mistrz kochany.

A na Chrystusa Pana przyszła ciężka chwila, chwila walki wewnętrznej, trwogi nieopisanej i konania. Bardzo musiał cierpieć Chrystus Pan, kiedy aż skarga i prośba zarazem wydziera się z Jego duszy. On, do niedawna taki odważny i tak gorąco pragnący śmierci dla okupu świata. Gdy mówił o blisko nadejść mającej godzinie walki, to mówił jakby o jakichś godach weselnych. Spokojnie spożył z uczniami wieczerzę, napominał Judasza, aby czynił prędzej to, co ma czynić — spokojnym jeszcze czuł się w czasie drogi do ogrodu — rozmawiał z uczniami i przepowiadał Piotrowi jego trzykrotny upadek. Teraz upada na ziemię i woła do Ojca: Ojcze! zlituj się nademną! Ojcze! jeśli można oddal odemnie ten kielich! Przed trzema laty, kiedy zaczynałem urząd nauczycielski, dałeś o mnie publiczne świadectwo: „ten jest Syn mój najmilszy, w którymem sobie upodobał, tego słuchajcie!“ I widziałem Ciebie, Ojcze mój, jak błogosławiłeś mej pracy i dlatego z mocą wielką brałem się do niej. Dziś nie widzę świadectwa Twego. Czuję tylko, że nademną przeciąga chmura gniewu Twego, domagającego się zemsty na grzesznikach! Ojcze! zmiłuj się nademną i weźmij odemnie ten kielich — oddal odemnie ten straszny los, który mnie wkrótce spotkać ma, oddal odemnie te chwile strasznego cierpienia i poniżenia. Ojcze! Ty wysłuchujesz wszystkich, którzy do Ciebie o ratunek wołają — Ty nie gardzisz prośbą najnędzniejszego robaka, a miałbyś mnie nie wysłuchać?!

O mój boski Zbawicielu! jakżeż ciężka Twa dola i jakżeż ciężki krzyż Cię przygniata?! Odrzuca Cię od siebie Twój Ojciec niebieski, dla którego chwały całeś życie Twe doczesne pracował! Zda się, że Cię nie poznaje, żeś Mu zupełnie obcy! Opuścili Cię Apostołowie, uczniowie Twoi, — Oni, którzy się Twoimi najserdeczniejszymi przyjaciółmi mienili, śpią oto twardo i nawet nie myślą o Tobie. Jerozolima, która tyle razy patrzyła na Twe cudy i która Ci kilka dni temu taki wspaniały zgotowała wjazd w swe mury, śpi, a ci, którzy Ci pod nogi szaty swe mio-

tali, już zupełnie o pierwotnem swem uniesieniu zapomnieli! O jakżeż wielkie musi być Twe cierpienie, kiedy się tak wijesz z boleści i skarżysz przed Ojcem?! I istotnie czyż różniła się męka ona ogrojcowa od onej krzyżowej?! Tam wisiał będziesz zlany krwią, a tu czy nie pławisz się we krwi własnej?! Tam będziesz opuszczony od wszystkich, a tutaj czyż masz jakąkolwiek pociechę? Tam na krzyżu przebodą Twe ciało, Twe ręce, Twe nogi, Twój bok przebiją, a tu w grocie getsemańskiej boleść przebiła na wskróś Twoją biedną duszę. O biedny Jezusie! Jakżeś słaby i boleścią przygnieciony! O gdybym mógł zbliżyć się do Ciebie i podnieść Cię z ziemi i obetrzeć Twe Najświętsze, krwawym potem zroszone czoło i ulżyć boleści Twojej?! Lecz to nie w mojej mocy! Więc pójdę dalej w rozważaniu Twej męki bolesnej i zastanowię się nad przyczynami Twego konania w ogrodzie oliwnym.

II

Jeszcześmy nie widzieli narzędzi męki Pana Jezusa, jeszcześmy się nie przypatrywali biczom, gwoździom, krzyżowi, a już widzieliśmy krew płynącą obficie po ciele Pana Jezusa. Zastanówmy się teraz, co też to było przyczyną tego ogromnego bolu Jego, co było przyczyną, że ten, który innych uczył, by się nie lękali tych, którzy mogą zabić ciało, ale duszy zabić nie mogą — sam lęka się męki i śmierci i Ojca o oddalenie tego kielicha prosi i błaga? Co za przyczyna, że lew z trybu Juda drżał i trząsł się na całem ciele niby liść osiki?!

Różni różne przyczyny tego strachu i tej męki podają. Mówią jedni, że Pan Jezus dlatego tak drżał i lękał się, bo Mu przed oczyma duszy stanęły wszystkie narzędzia męki i wszystkie okropne sceny, jakie się jutro w Jerozolimie odgrywać miały, a w których On Sam grać miał główną rolę. Drudzy twierdzą, że Pan Jezus tak się lękał i drżał z żalu za piękną Jerozolimą, która teraz nawet nie przeczuwa, iż za swoją zbrodnię upadnie tak nisko iż kamień na kamieniu z niej nie pozostanie. Lecz

ani jedna ani druga przyczyna nie była dość wystarczającą, by aż pot krwawy na Ciele Chrystusa Pana wywołać. Inna była przyczyna tej okropnej męki. Najmilsi! Godzina konania Chrystusowego w ogrodzie oliwnym, to była straszna godzina Bożej sprawiedliwości, godzina sądu tego świata, ta godzina, o której zapowiedział Prorok Pański, iż „Pan włożył nań nieprawości wszystkich nas!“ Is. 53. W oczach Bożych jest Chrystus jednym wielkim grzesznikiem, obciążonym długami i grzechami całego świata! I Chrystus Pan czuje dobrze tę swoją rolę i widzi doskonale swój strasznie ciężki obowiązek pośrednika! Widzi jak nad głową Jego zbierają się czarne chmury Bożego gniewu. Niebo, to świetliste niebo, ten cudny świat duchów zasłania się przed Nim. Już słyszy jakby głos gromów miljona, głos Ojca niebieskiego, potępiającego grzechy. Wytęża wzrok swej duszy i widzi, jak ku Niemu czołgają się, niby jadowite gady, grzechy całego świata. Już się zbliżają wszystkie z sykiem jadowitym i wszystkie swe jadem zarażone żądła w Jego serce kierują. Idą ku Niemu wszystkie! wszystkie! — począwszy od tego pierwszego, który był przyczyną nieszczęść całego świata. Idą całe szeregi bluźnierstw, niby krew czerwona, a potem leje się ku niebu niby kałuża pełna błota i kału — cały szereg zwierzęcej nieczystości — płyną ku Niemu ognistą lawą łzy sponiewieranych i uciśnionych sierót, pokrzywdzonych ludów i narodów — ogarnia Go cały ogień nienawiści ludzkich!

Wszystkie obrzydliwości i okropności ludzkich dusz, wszystko co się w potwornej głowie złego człowieka wylądz może, wszystko to idzie ku Zbawicielowi. I On biedny czuje, że to wszystko idzie niby jakaś góra ku Niemu, stoi przed Nim i ma się zwalić na barki Jego i okryć Go całkiem, pochłonąć, zatopić. O! to ponad siły! o! okazać się grzesznikiem, dać się ogarnąć temu do czego się taki wstręt czuje, to ból nad bóle, to męka krwawa. Chce się biedny Jezus uchylić od takiej ohydy i dlatego woła: „Ojcze dobry! oddal odemnie ten kielich! Ojcze! Jam Twój

Syn, nie odrzucaj mnie od Siebie! oddal odemnie te ludzkie zbrodnie! Niech one się mnie nie czepiają! O! jak one mnie palą?! Upada na twarz i zasłania oczy, jakby nie chciał patrzeć na górę ludzkich zbrodni, co ku Niemu idzie.

Lecz to jeszcze mało! Była jeszcze druga przyczyna, która Jezusa o ziemię rzuciła i do konania go przywiodła. Jakaż to boleść rolnika, który całą jesień i wiosnę pracował nad zasianiem roli swojej?! Trudził się i pocił niepomiernie i czekał lata, niby kania deszczu, bo się spodziewał, iż rola zlana jego własnym potem i trudem jego serdecznym wyda plon obfity. I rzeczywiście ziemia czarna zielenią się okryła. Wiatr trącał grube kłosy ziarna pełne. Już miał wyjść z sierpem na żniwo, lecz znagła przygnał wiatr zachodni chmurę czarną. Z chmury lodowy grad się posypał i zniszczył jego pracę całą. Widzi u stóp swoich złote kłosy pszenicy, kalające się w błocie i kałuży. Żal ściska serce rolnika — łza nieśmiało wypływa z głębi duszy i toczy się po jego obliczu. Zakłada ręce swoje i mówi: „wszystko na marne! Na marne się trudziłem, na marne zlewałem trudem i znojem moim tę niewdzięczną ziemię! Wszystko na marne!“ — Z boleścią odwraca swe oczy i ze spuszczoną głową wraca do chaty.

Najmilsi! A Chrystus Pan?! Kona w ogrójcu na widok tylu grzechów i tylu szpetności ludzkich. Serca ludzkie ścielą się u stóp Jego, niby ta nieurodzajna niwa, pokryta zielskiem i chwastem grzechów. On ją chce uprawić. Stąd nie lęka się ni pracy, ni trudu. Pragnie — gorąco pragnie, zlać tę niwę obficie swym własnym potem. — Już krew Jego Najświętsza sączy się na tę nieurodzajną niwę. I sądziłby mógł i chciałby się spodziewać, że ta Jego Najświętsza Krew Bożoczłowiecza użyźni rolę ludzkich dusz. Czeka plonu swego trudu, swej męki, swego konania. Lecz przed Jego oczyma Bożemi dziwny rozpościera się obraz. Patrzy w dal i widzi, że trud i praca Jego idą na marne. Wsiąka w niwy ludzkiego plemienia — wnika w serca ludzkie, tam się rozpływa i przepada. Żadnego owocu nie widzi. Scho-

dzi wprawdzie posiew Jego, pokazują się kwiaty uczuć, lecz gdy przychodzi do żniwa, do owocu, jedna chmura pokusy niweczy cały plon. Widzi to Chrystus Pan, a smutek niezmierzony i boleść gryząca zalewa Jego serce i pokrywa smutkiem niby tą czarną lawą i dymem. Mówi do sebie: „I to wszystko na darmo! Mimo mej pracy, mimo mego trudu, tyle dusz pójdzie na wieczne przekleństwo. Na darmo! Na marne! — Widzę tylu biednych co giną, chociaż stoją obok krynicy wody żywej! Ojcze! oddal odemnie ten kielich! Ojcze! to już nad siły ludzkie! Ojcze! nie zniosę tej męki!“ O! tak! wycierpiałeś wiele, Ty święty żniwiarzu Boży.

Najmilsi! I nas czeka taka sama chwila walki — może nie w tym samym stopniu, ale również jak na nasze siły ciężka i mozolna, chwila konania! Cóż? czy żniwo, które zbierzemy będzie obfite?! Czy będziemy mogli Panu w oczy śmiało spojrzeć i powiedzieć: „Otom ja!“ Czy może przeciwnie — stanąwszy u końca swej drogi, upadniesz z bojaźnią na twarz i będziesz musiał mówić: „na marne! zmarnowałem życie! zmarnowałem talenta, które mi Bóg dał, filozofowałem, ażem przefilozofował!“ O! Jezu! niech gorycz Twego konania ulży cierpieniom moim i mojemu konaniu!

A ja będę się starał nie marnować sił, którycheś mi Ty dla Twej chwały użyczył!!

III.

Jakiż koniec walki, cierpienia i prośby Chrystusowej? Patrz! Po gościńcu mlecznej drogi idzie jakaś postać jasna, świetlista. Gwiazdy same połączyły promyki swoje i stworzyły drabinę łączącą niebo z ziemią. A Anioł, poseł Boży, zstępuje po niej do ogrodu oliwnego. Wtenczas, kiedy Zbawiciel męczy się, kona z boleści i walki wewnętrznej, Ojciec niebieski przysyła Mu posiłek. O! bo On dobry! On swojego czasu posyłał proroka Habakuka aż nad rzekę Eufrat z obiadem dla Daniela w lwiej jamie siedzącego, a teraz miałby zapomnieć o Swym Synu, który w ucisku

wielkim do Niego po ratunek się zwraca?! Anioł Pański zbliża się z kielichem w ręku, jakby Chrystusowi chciał do ust przycisnąć tę czarę i odświeżyć Jego spieczone gorączką wargi! I zobaczył Jezus na dnie tego kielicha obraz! Ludzka dusza! taka cudna fotografja Boża. Ona teraz brudna — Obmyć ją może tylko Krew Pośrednika — Boga - Człowieka. Dla jednej duszy warto wycierpieć mękę całą. A przecież tych dusz będą całe szeregi. I stanęły przed oczyma Chrystusa Pana te nieprzejrzane szeregi świętych zbawionych dusz! Męstwo wstąpiło w serce Jego! Jak każdy rycerz idący do walki przepasuje biodra swoje mieczem i próbuje broni, a potem staje odważnie, wytęża oczy i czeka spotkania z wrogiem, pewny, że się hańbą nie okryje, że chociażby padł w walce, to jednak trupem swoim uściele drogę innym do zwycięstwa, tak Pan Jezus posilony na duchu wstaje i zdecydowany czeka na spotkanie, które się wkrótce rozpocznie. Już się nie zawaha — śmiało spojrzy tłuszczy w oczy! Zginie, lecz po Jego martwem Ciele, po Krzyżu, na którym zawiśnie, przejdzie świat cały niby po bezpiecznej ścieżynie z otchłani piekieł na niebieskie szczyty.

O! wy dzieci tego świata! wy nie będziecie wiecznie pływać w przyjemnościach i rozkoszach! Dziś wam wesołe i pogodne słonko świeci, lecz kto wie, czy się jutro nie zerwie nad waszemi głowami burza w pioruny ciężarna?! Bo losem i udziałem dostało się człowiekowi w tem życiu cierpienie. Kogo szczęście z początku zbytecznie wydelikaciło, temu potem każdy cierń boleśniejszym się staje. O! Najmilsi! w takich chwilach ciężkich uciekajcie się za przykładem Jezusa do modlitwy. „Ojcze! niech się dzieje wola Twoja, ja chcę pić kielich, lecz że dla mnie za ciężki, więc mi go osłódź, ulżyj!“ A i Wam zeszle Pan Swego jasnego Anioła z kielichem pociechy. Amen.

ZDRADA JUDASZA.

Judas, unus de duodecim venit et cum turba multa cum gladiis et fustibus.

Math. 26, 47.

Najmilsi! Znacie pewnie tę prostą powiastkę o chłopie uczciwym i niepoczciwej żmiji. Przypomnę ją dla zrozumienia rzeczy. Było to w czasie wielkich mrozów. Każdy, kogo konieczność nie wypędzała z ciepłej izby, chętnie w niej siedział. Ptaki marzły w powietrzu, zwierzęta do siedzib ludzkich się kryły. Poszedł wieśniak do lasu w pewien mroźny dzień, by urąbać drzewa na opał. Podczas pracy zobaczył na śniegu stworzenie jakieś, które wskutek zimna tak zmarzło, że już ni znaku życia nie dawało. Ulitował się poczciwy człowiek. Wziął stworzenie ono do zanadrza swego, by podczas drogi powrotnej nie zmarzło do reszty i własnem ciepłem je rozgrzewał. W domu ułożył je w cieple, okrył swem własnem odzieniem i tak długo chuchał i dmuchał aż się w niemej gadzinie znaku powracającego życia doczekał. Ucieszył się wielce człowiek on, że gadzinie życie przywrócił. Zbliża się ku niej, by ją pogłaskać, by przynajmniej w ten sposób swą radość i zadowolenie okazać. — Lecz jakże się zdziwił, kiedy zobaczył, jak gadzina w tej samej chwili z sykiem wydobyła jadowite ostre żądło, gotowa w każdej chwili uderzyć swego dobroczyńcę i tego, który jej życie przywrócił, życia pozbawić?! Nie wiedział poczciwy wieśniak, że tą gadziną, którą od śmierci uchronił, to była żmija jadowita.

Ta żmija jadowita to obraz zdrajcy — a jej postępek nazywa się zdradą. Zaprzedać człowieka nawet zupełnie obcego w ręce wrogów, to już straszna zbrodnia! Człowiek taki nie zasługuje chyba na nic innego, tylko by mu w oczy plunąć. Ale wypaść się na cudzym chlebie, utyć na nim, wygrzać się przy czyimś boku, nastroić swe serce przy sercu drugim, pić czar miłości i przyjaźni z ust przyjaznych, poić się krwią jego, a potem wysunąć jadowite żądło nienawiści i godzić w tę samą pierś, i w to samo serce, które dlań miłością biło, to przecież postępek żmijowy, to ohydna zbrodnia!

Zdawałoby się może komu, że w duszy tak szlachetnej istoty jaką jest człowiek, zbrodnia taka zrodzić się nie może. Człowiek to przecież nie żmija jadowita! Niestety! Nawet żmija nie potrafi być tak podłą, jak człowiek! Ludzka dusza lubi bardzo ostateczności. Albo będzie anielsko dobrą, albo szatańsko złą. Zdrady na świecie tyle już było, jest obecnie i jeszcze będzie, że gdyby ją zgromadzić kto chciał w jedno miejsce, utworzyłoby całe, wielkie, piekielne jakieś morze.

Lecz praojcem zdrady jest grzech Judasza, a on sam ten nieszczęśliwy, ale też i zły uczeń Chrystusa Pana, jest praojcem zdrajców. Dziś, jeżeli się komu chce wyrazić najwyższą pogardę, wystarczy mu powiedzieć: „ty Judaszu!“ Bo z tem imieniem związane jest pojęcie najstraszniejszej i w swej istocie najpotworniejszej zbrodni.

Najmilsi! nie sądźcie, żeby i w naszych czasach brakło Judaszów. To nasienie tak szatan głęboko w ziemię zakorzenił, że do końca wieków wyplenić go nie będzie można. Jest ich więcej, niż sami sądzicie. Są tacy Judasze, którzy zdradzają pojedynczych ludzi, są inni, którzy zdradzają narody całe, są tacy, którzy zdradzają Jezusa samego, w Jego kościele i w tajemnicy miłości, Najświętszym Sakramencie, są też wreszcie i tacy, którzy Boga zdradzają. Stąd też nie od rzeczy będzie przypatrzeć się zbliska zbrodni Judaszowej i to

I. jej ohydzie
II. jej przyczynom
III. jej strasznym skutkom,

aby się przerazić takim widokiem i od takiej zbrodni się bronić. Ukrzyżowany Zbawicielu! Ilu nas tu pod krzyżem Twoim obecnie stoi, tylu może być nowych Judaszów, Iskarjotów, jeżeli nas od tego Twa łaska nie uchroni. O! Panie, niech łaska Twoja święta towarzyszy słowom moim, byśmy wszyscy byli zwycięzcami namiętności i Twymi wiernymi uczniami. Daj to za przyczyną Twej Matki.

Z. M.

I.

Mieszkańcy Jerozolimy po skończonej uroczystości pożywania baranka wielkanocnego położyli się do snu i istotnie zasnęli snem twardym. Wszędzie cisza, spokój i ciemności nocy panują. Tylko u Arcykapłana w sali radnej światełko się miga. Jacyś ludzie, mimo, że spóźniona pora przesuwają się niby cienie, przytuleni do ścian domów, koło których przechodzą. Z różnych stron miasta przychodzą, a wszyscy w jednem miejscu się zbierają — w domu Kaifasza. To synedrjum - najwyższa rada żydowska, ojcowie miasta, głowy rodzin, chluba narodu. I czemuż oni się tak gromadzą w późnej godzinie — w sali sądowej arcykapłańskiej? Pewnie nad miastem niebezpieczeństwo jakie zawisło? Pewnie nieprzyjaciel stanął u bramy miasta i grozi zagładą żonom, matkom, dzieciom?! O! nie! inna ich tu sprowadziła przyczyna. Patrz! w głębi sali otoczony najstarszymi z ludu siedzi Judasz, uczeń Chrystusowy. Z oczu bije Mu ogień nienawiści, chciwości i lęku, jakiego zawsze doznaje przed złym uczynkiem nawet najzatwardzialszy zbrodniarz. Napomniany przez Chrystusa Pana przy wieczornym stole, aby to co ma czynić, czynił rychlej, opętany przez szatana, który w chwili złego uczynku jest nieodstępnym człowieka towarzyszem, wyszedł z wieczernika i pędem pobiegł do Arcykapłana Kaifasza, by

wydać w ręce jego Pana i Mistrza swego, Jezusa Chrystusa, jeszcze tej nocy. Kaifasz osobnymi posłańcami kazał zwołać radę, złożoną z 72 mężów. Właśnie to oni niepokoją Jerozolimę, dążąc do domu Kaifasza okryci cieniem nocy. Już sala zapełniona. Zeszli się prawie wszyscy sędziowie. Przeczuwali, chociaż nie wiedzieli dokładnie, po co ich arcykapłan o tej porze zwołuje.

To też chociaż sąd w nocy urzędować nie powinien, chętnie spieszą na głos arcykapłana. Ujrzawszy Judasza, którego znali, że był uczniem Pana Jezusa, ucieszyli się bardzo, bo byli pewni, że tu o zdradę chodzi. Kiedy już wszyscy byli zebrani, odzywa się Judasz w słowa: „Co mi dacie, a ja Go wam wydam?“

Straszne słowo! Z drżeniem jakiemś szatańskiem wypowiedział je Judasz! Nawet nieprzyjaciele Chrystusa Pana osłupieli na to pytanie. Bo czyż można stanowić cenę na Boga? czyż można sprzedawać swego najlepszego przyjaciela niby rzecz jaką zbędną, lub gałgan niepotrzebny?! To przecież tylko na głowę złoczyńców lub notorycznych zbrodniarzy cenę się nakłada, a nigdy na niewinnego! Rozpoczął się targ o Boga-Człowieka między zbrodniarzami. Trzydzieści srebrników! oto ostatnie słowo. Lecz warunek — Judasz ma sam pójść do ogrojca, gdzie — jak powiada — Jezus się znajduje i wskazać Go siepaczom, by snać tym razem, kiedy już pieniądze zdrajcy ofiarowali, nie uszedł ich ręki Odkupiciel! Zbrodniarz, gdy już na swej drodze pierwszy krok postawił, gdy pierwszy wziął rozmach, nie przeraża się już nawet największą ohydą. Zgodził się też ochoczo Judasz, iż wskaże, siepaczom, który jest Chrystus. Po drodze zwraca się do roty żołnierzy rzymskich i do sług żydowskich i jako wódz całej zbrodniczej wyprawy daje im wskazówki i rozkazy. „Ten, którego ja pocałuję, ten ci jest, tego imajcie!“

A trzeci, najpotworniejszy akt tego dramatu zbrodniczego! Wszedł Judasz na czele zebranej hałastry do ogrodu. On wie, gdzie Jego Mistrz najchętniej na modlitwie

przebywa. Idzie wprost ku onemu miejscu — za nim cała tłuszcza. Wśród drzew oliwnych dostrzegł zdrajca Chrystusa Pana razem z uczniami. Jeszcze raz zakołatało w nim serce. Jeszcze raz odezwało się szlachetniejsze uczucie, jeszcze raz uderzył w jego serce promyk łaski Bożej. Ma przed sobą swego dobrego Pana i Nauczyciela! On mu jeszcze teraz gotów przebaczyć! W Jego oczach odbija się całe Boskie miłosierdzie i Boska dobroć. Upaść Mu tylko do nóg, ucałować z miłością i stanąć po stronie Jezusa razem z innymi uczniami. To była myśl, jak błysk piorunu szybka. A po niej nastała w duszy zbrodniarza ciemność tem większa. A co powiedzą ci, których przyprowadziłem? Czy mnie nie nazwą tchórzem bojaźliwym?! A co powiedzą rajcy żydowscy?! Odwagi!... Zbliża się do Jezusa, ubrawszy twarz swoją w maskę obłudy i zdrady. „Bądź pozdrowion Rabbi!“. Mówiąc to, złożył pocałunek na ustach Jego. Oto najmilsi! postępek Judasza! Kto gorszy, czy ta żmija, która ogrzana przez wieśniaka wysunęła ku niemu żądło swoje, bo nie rozumiała, że wieśniak jest jej dobroczyńcą, czy też Judasz, który znał doskonale dobroć swego Pana? Stąd też zbrodnia Judasza była, jest i będzie po wszystkie czasy uważana za zbrodnię, jeżeli nie najcięższą, to najpodlejszą!

Bracia! czy rzucicie kamieniem na zdrajcę Judasza? czy odwrócicie się od jego przeklętej postaci ze wstrętem? Tak! bo na to zasłużył! Lecz najmilsi! pierwej nim rzucicie kamieniem potępienia za Judaszem, popatrzcie w swe własne serca, a kto wie, czy się te kamienie potępienia ku Judaszowi skierowane na niejednego z was nie obrócą?! O! iluż dziś chodzi po ziemi Judaszów?! Ten złamał niby Judasz związki przyjaźni i miłości, które cię z nim łączyły. Oddałeś mu serce, oddałeś duszę całą, a on się temi skarbami twoimi pobawił, a potem zmiął, podeptał i jak stary rupieć na śmietnisko wyrzucił. To Judasz! Drugi złamał związki miłości, jaka go z jego ziemią rodzinną łączyła. Sprzedał ostatni kawałek ziemi rodzinnej na zbytki i za-

bawę, a sam łączy się chętnie z nieprzyjaciółmi rodzinnego gniazda, plując weń jad i złość! To Judasz! Tamten złamał przysięgę daną kościołowi, matce swojej w dzień chrztu. Ledwie przyszedł do używania rozumu, złamał święte śluby i stanął po stronie nieprzyjaciół prawdy. To Judasz! Ten znów złamał związki miłości z Bogiem samym przez grzech ciężki! To zdrajca! Judasz! A znów niejeden dla fałszywego wstydu przystępuje do Pana Jezusa utajonego w Sakramencie miłości i daje Mu zdradliwy pocałunek! To istotny Judasz! Przyjacielu! popatrz w swe serce własne i obacz, czy ty nie należysz do której kategorji Judaszów? Jeśli tak, to tym kamieniem, którym miałeś uderzyć w Judasza, uderz w twoje własne serce i miasto Judaszowi, samemu sobie w twarz plunij — boś nie lepszy od niego!

II.

Warto też wiedzieć, co Judasza do tak nędznego upadku przywiodło. Boć przecież niemożliwa to rzecz, aby Chrystus Pan takiego z gruntu złego człowieka, który o poprawie nie myślał, w poczet swoich najlepszych przyjaciół przyjmował! Czy Judasz odrazu wstępując w grono Apostołów już był zdecydowany sprzedać i wydać w ręce wrogów swego Pana? Nie! Wstąpił on do grona przyjaciół Jezusa Chrystusa w dobrej intencji, ale przyniósł ze sobą drobniutką iskierkę namiętności, której nie mógł, czy nie chciał zupełnie ugasić. Tą iskierką to była, gdzieś w głębi duszy ukryta chęć zbierania pieniędzy, chciwość mamony. Judasz nigdy się serjo nie starał o to, by tę wadę z duszy wykorzenić. Owszem, że to był zarządcą mienia Chrystusa i Apostołów i miał pod swoim zarządem kasę ubogich, więc sobie od czasu do czasu z tej kasy nieco podbierał. Każdy grosz wydany na cele nie zbyt według jego „widzimisię“ praktyczne, w gniew go wprowadzał. Kiedy niedawno przed męką Marja z Magdala wylała na głowę Chrystusa bańkę cennego olejku na znak

czci i miłości, to Judasz gniewał się na to i obwiniał Magdalenę o rozrzutność, a nawet do Chrystusa Pana miał żal, że Jej na taką rozrzutność pozwala. Nie lepiejby to było — powiada — sprzedać olej ten za dwieście groszy i dać ubogim? A w duszy sobie układał, ileby też on przytem dla siebie skorzystał! Namiętność coraz bardziej w duszy jego rosła. Podobnie jak chwast i zielsko, jeśli go zawczasu z korzeniem nie wyrwiesz, rozszeży się, wybuja i zdrowe, piękne kwiaty i zboża przytłumi — tak i namiętność niepomiernie szybko wzrasta i przytłumia dobre chęci i zamiary szlachetne! Ani się spostrzegł nieszczęsny Judasz, jak zielsko żądzy i namięności szybko wybujało w jego duszy i przygłuszyło wszelkie lepsze i szlachetniejsze porywy. Już odtąd o niczem więcej nie myśli, nie marzy, nie śni, tylko o tem, jakby przyjść do majątku. Pieniędzy! — pieniędzy! pieniędzy! za jakąkolwiekbądź cenę. Kiedy się przekonał, że starsi żydowscy gotowi są zapłacić temu, ktoby im w ręce wydał Jezusa Chrystusa — postanowił skorzystać z okazji i wejść w targi z nimi o głowę swego Mistrza i Pana. Jak się te targi skończyły widzieliśmy. Co więc było przyczyną tak niskiego upadku Judasza? To, że nie wyrwał z duszy namiętności dopóki była małą, ale się jej rozróść pozwolił.

Najmilsi! stara to prawda, streszczona w tem zdaniu rzymian starożytnych: „principus obsta, sero medicina paratur.“ „Lecz w początkach chorobę, bo później na próżno przygotujesz lekarstwo“. Historja wielkich ludzi, którzy mimo pięknych i wzniosłych zalet duszy nisko upadli, to zdanie w zupełności potwierdza. Taki Saul, pierwszy król żydowski, dlatego, że nie chciał poskromić w sobie zazdrości ku młodemu Dawidowi, doszedł potem do tego, że godził na jego życie jak mężobójca, a potem stracił koronę i nędznie życie zakończył w niełasce u Boga.

Salomon, że nie chciał zaraz z początku cielesności w sobie ujarzmić, doszedł do tego, że się otoczył całymi legjonami pogańskich niewiast i topił się w rozpuście

i szalał tak, że on, którego przedtem nazywano pociechą nieba i ludzi, stał się pośmiewiskiem całego narodu.

A w nowszych czasach Napoleon wielki, cesarz Francji, że nie opanował zbytecznej pychy, doszedł do największego upadku i skonał jako więzień na skalistej wyspie.

A jeśli jest tu między wami kto, co nisko, bardzo nisko moralnie upadł, jeśli jest tu między wami kto, co leży, związany namiętnościami niby ten ewangeliczny paralityk i ruszyć się nie może, jeśli jest kto, co tak wzrok swój w ziemię wytężył, że go ku górze podnieść nie może, co tak przylgnął sercem do brudu, że nawet pojęcia nie ma o czystości, co tak się zanurzył w błocie, że ono mu już rozkosz sprawia, jeśli tu jest kto taki, to powiedz, czy ty odrazu takim się stałeś? O! nie! Toczyłeś się w dół powoli — ze stopnia na stopień. Małe były początki nieszczęścia! jedna może nieokiełzana żądza pchnęła cię z drogi prawej w przepaść. Chciałeś się później ratować — oglądałeś się w górę, aleś się zawsze przekonywał, żeś coraz niżej i że powrót na drogę pierwotną jest zbyt trudny. Wkońcu zamajaczyła ci przed oczyma poraz ostatni droga cnoty, którą dawniej chodziłeś niby wstążka wąska. Nie było mowy o ratunku, o wydostaniu się na wierzch o własnych siłach, a pomocy Bożej wzywać czy nie chciałeś, czy się wstydziłeś. Dziś leżysz już spokojnie w błocie grzechów a droga prawa nawet ci majakiem przed oczyma nie stanie! Jesteś może Judaszem, a nawet się tego nie wstydzisz! — Przyjacielu! jeśli nie chcesz upaść tak nisko jak Judasz, wyrywaj namiętności z duszy swojej wtenczas, gdy one jeszcze małe. Gdy wzrosną będzie już za późno!

III.

Przypatrzmy się też ostatniemu aktowi tej strasznej tragedji, której tytuł naczelny brzmi: „Judasz". Zbrodnia czyni swoje. Ta sama zbrodnia, która przed swoimi narodzinami okrywała się o ile możności, aby nagość swoją

zakryć i zbrodniarza swą szpetnością nie odstraszyć, po swych narodzinach zrzuca z siebie szatę i pokazuje się w całej ohydzie. Ledwie Judasz zbrodni dokonał, ledwie zobaczył, że oprawcy na Chrystusa Pana powrozy zarzucili — a jużci cała nikczemność stanęła mu przed oczyma. A jakiż ten jego własny płód był straszny?! Niby to jakaś piekielna furja, taka obrzydliwa, że trzeba oczy ze wstrętem odwrócić. A ona szepce: „Kogo ty Judaszu wydałeś wrogom na pastwę? — Jezusa! — A cóż On ci ten Jezus złego zrobił? Czy cię skrzywdził?! Ależ w żaden sposób! Judaszu, czy ty sobie przypominasz Jego słodkie rozmowy? Judaszu! pamiętasz ty te miłe chwile, kiedyś słuchał Jego wzniosłych, cudnych Boskich nauk?! Judaszu! czyś ty swego Mistrza i Nauczyciela za to sprzedał?! Judaszu! pamiętasz! przed kilku godzinami On ci podobnie jak innym Apostołom nogi umył i przy stole postawił ci ucztę, jakiej nigdy przedtem nie pożywałeś — dał ci Ciało i Krew Swoją Najświętszą do pożywania. Judaszu! czy ty za to sprzedałeś Twego Mistrza i Pana?! A ten ostatni pocałunek, którym ty Go Judaszu nieprzyjaciołom wskazałeś, jaki on był słodki, jak ciepły, jak prawdziwie przyjacielski?! Judaszu! czujesz jak on cię teraz pali? — czujesz jak gorące twe wargi?! Judaszu! czujesz ty to?!“

Dotknął się Judasz kieszeni, w której trzymał schowane białe srebrniki! Zadźwięczały!... Ach jakiż ich dźwięk przeraźliwy! Czy to wszystkie pieniądze tak nieznośnie dźwięczą?! Nie! Judaszu! to tylko te twoje srebrniki tak brzęczą nieznośnie. Zatkaj sobie uszy, a może ich nie będziesz słyszał?! Och! niestety! im bardziej uszy zatykam, tem głos ich nieznośniejszy! Sięgnął ręką do kieszeni, rozpiął worek, w którym trzymał wzięte srebrniki... Te same, które wziąłeś od starszych żydowskich — widzisz jakie one białe! Gdzie tam! zda mi się, że one czerwone jak ogień piekielny, jak zbrodnia, którą popełniłem! A jak one palą, jakie ogniste w dotyku te talary?!... Judaszu! połóż się spać! Co cię to wszystko obchodzi?! Sprzedałeś

Mistrza, poprowadzono Go na sąd, to i cóż wielkiego?— Ciebie za to żadna nie czeka kara! Judaszu! idź spać! Przykłada Judasz głowę do kamienia — przed oczy suną mu się różne obrazy z życia, od chwili, kiedy go Pan do Apostolstwa powołał, a wszystkie te obrazy kończą się tym ostatnim w ogrojcu. Zatyka płaszczem oczy, ale obrazy wracają. W uszach brzęczą słowa: „Judaszu! pocałowaniem wydajesz syna człowieczego". Zatyka uszy, żeby nie słyszeć. Ależ to niemożliwe! To dziwny głos. On nie idzie z zewnątrz, on się gdzieś w wnętrzu człowieka rodzi! Nie! — spać nie może! Jakżeż ja będę spał? mówi Judasz — a czy też Jezusowi dadzą żydzi jaki kącik na odpoczynek? Ja będę spał, kiedy On pewnie nie śpi? — A co też Jezus o mnie myśli? Pewnie musi być bardzo zagniewany! O! On mi tego nigdy nie przebaczy! Myśli takie niby lotne ptaki przebiegają Judaszowi po głowie! Noc ta wieki mu się ciągnie! Ledwie jutrzenka ozłociła szczyt góry oliwnej i odbiła się w złocistych kolumnach świątyni, a Judasz już czeka u bram sali sądowej. Skoro się starszyzna zeszła, on chcąc naprawić zbrodnię swoją chociaż w części, odnosi pieniądze: „Wypuśćcie! uwolnijcie Chrystusa! On niewinny; sprzedałem krew niewinną!" Żydzi szyderczo patrzą na Judasza! Z ich szponów wydrzeć upragnioną zdobycz?! O! to się nie uda! Zaciskają swe szpony kurczowo! „Co nam do tego — ty się patrz!" Judasz woła już, prosi, płacze z uporem dziecka, lecz nic nie wzruszy żydów, katów! Z gniewem rzuca im pod stopy te talary, które mu tak mało dały szczęścia, a tak go strasznie pieką i tak okropnie szatańsko brzęczą! Wychodzi z sali sądowej, a za nim idą chichot i śmiech i szyderskie spojrzenia. Przed domem sądowym stoi garstka gawiedzi. Ciekawi, zasłyszawszy o wypadkach ostatniej nocy przyszli się dowiedzieć dalszych nowinek. Zda się Judaszowi, że wszyscy na niego pokazują palcami, że wszyscy mu się w oczy śmieją, że się znowu ze zgrozą od niego odwracają. Uciec z pośród ludzi, to jedyne i najsilniejsze życzenie.

W samotności prędzej się ukoi. Idzie za miasto, może go ukoi widok natury, świegot ptactwa, woń kwiecia! Lecz drzewa szumią: „to zbrodniarz! zdrajca!“ I ptak śpiewa! „Judaszu! zbrodniarzu!“ I kwiatek spuścił ku ziemi swój kielich, jakby się bał spojrzeć na twarz zbrodniarza! — Stoi koło drogi figowe drzewo! — Potrząsa gałęziami nagiemi, bo już było uschło! Gdybym ja mógł być takiem drzewem martwem i mógł nie myśleć — mówi Judasz! Pójdź — zawieś się na mej suchej gałęzi — śmierć wszystko ukoi. Nie namyśla się Judasz — na własnej szacie wiesza się na gałęzi. A ostatnia myśl jego była przy Chrystusie: „On mnie nie przebaczy“ — a dłonie go piekły od srebrników i usta od pocałunku zdradzieckiego, a szeroko otwarte oczy patrzały zda się na Chrystusa Pana, jak Go siepacze do Kajfasza wiedli. W piątek przed szabasem widziała Jerozolima dwie szubienice. Jedna na Kalwarji — druga z przeciwnej strony za miastem. Na jednej wisiał Jezus, a od Niego szedł blask na świat i zorze nowe i nowe świty — na drugiej wisiał Judasz, a od tej szpetnej postaci szedł na świat mrok potępienia i zbrodni!

Najmilsi! czy jeszcze potrzebuję wysnuwać naukę z tego ostatniego strasznego aktu? Toć leży ona jak na dłoni. Kto nie panuje zaraz nad namiętnością swoją i pozwoli, że ona zbytnio w sercu się rozgości, tego napewno zgubi namiętność i do rozpaczy przyprowadzi, a z rozpaczy do samobójstwa nieraz, a z szubienicy na wieczne spoczywanie tam, gdzie spoczywa Judasz! Dziś tak często widzieć można trupy ludzkie wiszące na drzewie, lub leżące pod kołami pociągu, albo też broczące w krwi na białej pościeli. Często są to trupy ludzi młodych, pełnych sił, pełnych nadziei. Samobójstwo, to dziś rzecz nawet modna! Gdybyś tak mógł otworzyć ich zastygłe serca i przypatrzeć się całej historji ich życia, tobyś po największej części wszędzie odczytał historję Judasza! Namiętność nieokiełzana popycha do zbrodni, przegryza powoli te włókna serdeczne, które człowieka szczęściem napełniają. Wyrzuty sumienia

dręczą. Nadzieje pokładane w świecie i namiętnych orgjach okazują się zwodnicze! Przed oczyma duszy staje jakaś ogromna pustka i próżnia! Iść dalej nie ma człowiek biedny siły. Kończy jak Judasz!

Spojrzyj jeszcze człowiecze na krzyż z zwłokami Jezusa i na szubienicę Judaszową! Czy chciałbyś dożyć kiedy Judaszowego losu?! Czy chciałbyś z rozpaczą w duszy zakończyć swe życie tuż pod krzyżem a przecież z bluźnierstwem na ustach przeciw temu, który na krzyżu za Ciebie umarł? Jeżeli tak! to idź dalej obraną już ścieżką namiętności.

Lecz Ty nie zechcesz pewnie dzielić z Judaszem chwały i losu! To odwróć z drogi nieprawej a chodź ścieżkami prawemi. Amen.

SĄDY CHRYSTUSA
ONGI I DZISIAJ.

Cohors ergo et tribunus et ministri Judaeorum comprehenderunt Jesum et ligaverunt Eum.
Joex. 18, 12.

Powiadają, że na świecie najwięcej lekarzy. Każdy komu się na jakikolwiek ból i dolegliwość poskarżysz, w tej chwili poda Ci jakąś receptę na twoją niemoc, jakieś lekarstwo na twoją chorobę. Mnie się jednak zdaje, że więcej jeszcze niż lekarzy, żyje na tym świecie sędziów. O tych, to już jest tylu, ilu ludzi. Stary czy młody, mądry czy głupi, uczony czy prostak, każdy bardzo chętnie ubiera się w togę sędziowską i jednem słowem wydaje wyroki w sprawach nieraz najtrudniejszych i najbardziej zawiłych i wielkiej rozwagi wymagających. A wyroki te są bezwzględne i nieomylne. — Nie przesadzę, gdy powiem, że ci sędziowie sądzą nie tylko ludzi sobie równych i sprawy ich, ale co więcej, wznoszą się na skrzydłach swej pychy aż hen w górę, w niebieskie przestworza i zapozywają na sąd przed swoje forum, przed swój trybunał Boga samego! Tak, bo i P. Bóg powinien się według ich zdania w postępowaniu swojem i w rządach świata stosować tylko do ludzkich zachcianek, do ludzkich zapatrywań, do ludzkich życzeń!

A już najwięcej sędziów, kuratorów, prokuratorów, faryzejskich adwokatów ma Jezus Chrystus i Jego dzieło, Oblubienica Jego, Kościół święty. Zwłaszcza w naszych czasach, gdzie to mądrość szerzy się niby zaraza i nikogo

nie oszczędza, lecz wszystkie umysły ogarnia, namnożyło się tych sędziów co nie miara! I powtarza się codziennie zapomocą dzienników, uczonych wykładów, odczytów, przedstawień teatralnych ta sama scena, która się odbyła ongi w pałacu Kajfasza. Schodzą się sędziowie, powołani, czy nie powołani i stawiają na ławie oskarżonych Jezusa Chrystusa i za to, że czyni ludziom dobrze, że głosi naukę wzniosłą, cudną, Boską, za to, że się czyni Bogiem, wydają nań wyroki potępienia!

Świat sądzi i potępia Jezusa Chrystusa i Jego naukę, Jego kościół święty, podobnie jak żydzi sądzili Go w pałacu Kajfasza onej pamiętnej nocy! Stoisz przed całym światem o dobry Zbawicielu, a świat daje Ci policzki, plwa na twarz Twoją i szydzi z Ciebie! Lecz czy te sądy, o dobry Zbawco, są kompententne do sądzenia Ciebie?! Zastanowimy się w dzisiejszej nauce nad tym dziwnym sądem, przed jakim Cię żydzi postawili i nad tym drugim, który się jeszcze dzisiaj odbywa, nad sądem, przed którym Cię dzisiaj jeszcze świat stawia. Przypatrzmy się, czy te sądy mają warunki potemu, aby Ciebie Panie sądzić — *a)* czy oni sędziowie, którzy z tak lekkiem sercem wyrok potępienia na Ciebie wydali, nie byli uprzedzeni, *b)* czy zachowali przynajmniej jakieś pozory porządku i formy sądowej. Dopomóż nam Panie Twoją świętą łaską, my Cię pokornie prosimy przez przyczynę Najświętszej Twej Matki Marji. *Z. M.*

I.

Z krzykiem i hałasem sprowadziła banda żołnierzy i sług żydowskich Chrystusa Pana na Syon, gdzie stał dom arcykapłana Kajfasza. Przeprowadzili swą zdobycz przez potok Cedron, który w tym czasie był wody pełny, a po drodze wstąpili do domu Annasza, byłego arcykapłana, głowy faryzeuszów, wielkiego nieprzyjaciela Jezusowego. Tam jeden ze służalców uderzył Pana Jezusa w twarz, by się przez ten swój szlachetny czyn byłemu

arcykapłanowi przypodobać. Gdy zgraja cała wprowadziła skrępowanego powrozami niby najgorszego zbrodniarza do sali sądowej, było tam już wielu żydów zgromadzonych. Uwiadomieni osobnymi posłańcami zeszli się w sali sądowej. Z niecierpliwością wielką oczekiwali na skutek wyprawy. Tyle razy mieli już Jezusa prawie w swej mocy, a On się im wymknął. Może i teraz zgraja powróci z wyprawy bez skutku? Lecz już zdaleka mogli rozpoznać po wesołych okrzykach i nawoływaniach swych zbirów, że wyprawa nie spełzła na niczem. Otwierają się drzwi sali. Wszyscy zwracają ku nim oczy. Dziwny przedstawił się oczom żydów widok. Naokoło tłuszcza. Wszyscy krzyczą, niby piekieł wysłańcy. W pośrodku tłuszczy powrozem za ręce związany Jezus. Spokój i powaga bije z Jego pięknego, chociaż od uderzeń nieco nabrzmiałego oblicza. Z oczu bije powaga iście nie ludzka i majestat. Zda się mówi do całego otoczenia: „Nie wy moimi, lecz ja waszym sędzią jestem.“ Wzdrygnęli się żydzi mimowoli takim widokiem. Jaki taki mimowoli cofnął się wstecz izby, by wzrok Jezusa na niego nie padł. Wzrok ten palił każdego — spojrzenia Jezusowe sięgały aż do wnętrza duszy. Lecz skoro spostrzeżono, że Jezus nie gromi, nie karze, ale się spokojnie zachowuje, a nadto ufni, że stojąca za Jezusem zgraja krzywdy im uczynić nie pozwoli, zaczęli się wysuwać z kątów i zbliżać do Niego. Wnet rozpocznie się sąd.

Kto go będzie sądził?!

Faryzeusze — Jezusa! Lecz czy sąd ten będzie bezstronnym? Oskarżonym jest Jezus. A ten Jezus był zdecydowanym przyjacielem ludu, tego ludu, którego faryzeusze do swych zbrodniczych celów nadużywali. Jezus uczył tak cudnie, że lud, który dotychczas słuchał we wszystkiem starszyzny żydowskiej, mówił otwarcie: „tak jeszcze żaden człowiek nie uczył!“ Jezus uderzał wprost w naukach swoich na faryzeuszów i na starszyznę żydowską za to, że sfałszowali prawo Mojżeszowe i dodali do niego wiele niepotrzebnych rzeczy. Uczył, że czciciele Boga prawdziwego

będą Go czcić w duchu i prawdzie i na wszystkich miejscach, a więc nie tylko w samej Jerozolimie. Głosił, że zamiast ofiar, które lud w świątyni składał, będzie Imieniowi Bożemu składana ofiara czysta, niepokalana po całej ziemi, od wschodu aż do zachodu słońca!

Jakież wnioski mogli wyciągnąć dla siebie faryzeusze z tych nauk Chrystusowych? Widzieli wprost, że Jezus zdejmuje maskę z oczu ich i pokazuje ludowi ich prawdziwe, wstrętne, zbrodnicze twarze. Widzieli, że ten Jezus z Nazaretu usuwa z pod nóg ich podstawę, na której dotychczas tak bezpiecznie stali. Jeśli się lud odwróci od ich nauki i od ich świątyni, to cóż oni sami będą znaczyć? Co im z tej wspaniałej monumentalnej świątyni, jeśli będzie stać pustką? Chyba ją trzeba będzie na magazyn jaki przemienić?! Więc cóż im zostaje?! Usunąć Tego, który im na przeszkodzie stoi, za jakąkolwiekbądź cenę! To też, gdy zobaczyli Chrystusa Pana na sali sądowej, to już każdy z nich miał co do Jego winy pewne zdanie. Gdyby ktoś mógł czytać w sercach ich, zobaczyłby, jak tam u każdego był wypisany wyrok: „winien jest śmierci!“ Sam przewodniczący to wypowiedział: „Lepiej, aby jeden człowiek umarł za lud, niż, aby ginął lud cały“ Jan II, 50.

Tak więc już w samem założeniu sąd ten był zły, bo rozstrzygał w swej własnej sprawie, a sędziowie do oskarżonego byli gniewem zaślepieni, iż nie mogli wydać bezstronnego wyroku.

Najmilsi! Dzisiaj znajduje się podobnie jak ongi wielu sędziów, którzy wydają wyroki potępienia na Chrystusa Pana i Jego naukę, którzy głoszą, że kościół święty z jego obrzędami to rzecz przestarzała, że religja wogóle to rzecz uczucia, serca, a nie rozumu, że jeżeli już ma być na świecie jakaś religja, to powinno się zostawić każdemu człowiekowi do woli, jak on sobie chce urządzić swój stosunek do Pana Boga. Sądy, a raczej wyroki takie, słyszy się w naszych czasach na każdym kroku. Wyzierają one

z książek uczonych, przemawiają z katedr nauczycielskich, rozchodzą się po świecie za pomocą dzienników, rozbrzmiewają z kazalnic pokątnych kaznodziejów fałszu! Najmilsi! czy jednak ci wszyscy, którzy na Jezusa Chrystusa i Jego religję wydają wyroki potępienia są sprawiedliwymi i bezstronnymi sędziami?! Czy im żadna namiętność nie zasłania oczu na słuszność sprawy?! Kto potępia Jezusa, słodkiego nauczyciela i Jego słodką, Boską naukę miłości?! Tylko ten, któremu nauka ta wydaje się niewygodną. A komu ta dobra i słodka nauka jest niewygodną? Temu, kto się pozwolił namiętności i grzechowi opanować! Bo tego nikt zaprzeczyć nie może, że nauka Jezusa Chrystusa nakłada hamulec ludzkim namiętnościom i kiełza je, niby rozhukane rumaki. Kto pozwoli się unieść tym rozwydrzonym rumakom, kto się zbytecznie pozwoli unieść namiętności, ten czuje w duszy swojej jakiś rozdział, jakiś rozbrat! Czuje, że między zasadami religji wszczepionej od młodości w duszę, a życiem jego powstaje przepaść. Przepaść ta z każdym dniem rozszerza się i pogłębia. Już jej dna dojrzeć nie można! Żal i niepewność rodzi się w duszy. Ten żal za przeszłością jasną i równą, niby tafla spokojnego jeziora i lęk przed niepewną przyszłością boli człowieka. To są wyrzuty sumienia! Ból duszy jest dotkliwszy niżeli ból ciała. Trzeba go koniecznie uspokoić, uśmierzyć. Lekarstwa na ten ból niema innego, tylko pokuta i naprawa życia. To zbyt trudne, to niemożliwe! Szuka się tedy narkotyków, morfiny, co to przynajmniej na chwil kilka ból uspokoić mogą i kilka chwil spocząć pozwolą skołatanej duszy. Mówi się zatem: „wszystko głupstwo! czemu ja się mam męczyć?!! dlaczego mam cierpieć?! Czy dlatego, że się komuś chciało pewne zasady i prawdy stanowić, by się inni do tych prawideł i zasad stosowali?!“ „Ależ prawdą może być tak samo to co ja postanowię, jak to co postanowił kto inny. Czyż zasady moje mają być gorsze od zasad Chrystusa?! Więc precz z Chrystusem, precz z Jego nauką, z Jego religją! Winien jest śmier-

ci! niech zginie! niech przepadnie! niech umrze, byle się tylko uspokoić i odpocząć!" Takie jest usposobienie tych, którzy Jezusa Chrystusa i Jego naukę przed swoje forum sądowe pozywają i wyrok potępienia wydają. Zasiadają oni do sądu, ale dusza ich już z góry do Jezusa Chrystusa nienawiścią płonie — wpierw nim na sąd zasiędą, już mają wyrok gotowy. W ich własnym interesie leży, by Jezus z nauką swoją zginął i przepadł! Nie słuchają wywodów, nie badają prawdy, a wyrok wydają! Nie mądrzy ci sędziowie! Sądzą, że w ten sposób duszę swoją uspokoją i ból wewnętrzny złagodzą?! Nie! Nigdy! Wszelkie narkotyki mają to do siebie, że tylko na chwilkę ból uśmierzają, po pewnym czasie ból ten z tem większą siłą się odezwie — a zwykła dawka morfiny już nie wystarczy. Trzeba ją z każdym dniem powiększyć, aż wreszcie przyjdzie moment, że już organizm nie reaguje i w bolu życie kończy. Ten co potępieniem Jezusa i Jego nauki chce ból sumienia zażegnać, jest w wielkim błędzie! Uspokojenie będzie tylko pozorne, ból z czasem będzie wzrastał, dopóki człowiek nie zginie w zupełnej obojętności i niewierze!

Przyjacielu! A czy ty nie należysz do takich uprzedzonych sędziów Chrystusa Pana?! Czyś w duszy Twej nie potępiał wespół z wrogami Jezusa i nauki Jego? Spytaj się czemuś to czynił?! Czy nie czyniłeś to dla uspokojenia duszy? Znalazłeś w tem spokój? Nie! przenigdy! Chcesz znaleźć spokój? To stań po stronie Chrystusowej — kochaj Jego naukę świętą, obmyj duszę z grzechów, a wrócą do Twej duszy te piękne jasne dnie, kiedy to żadna chmurka nie plamiła błękitu twej duszy!

II.

Przy każdym sądzie muszą być zachowywane pewne formy. Gdyby ich sędzia nie zachował, to wyrok traci moc prawną. Żydzi aczkolwiek chcieli zachować przynajmniej strzępki sprawiedliwości i bez sądu nie chcieli Chry-

stusa potępiać, w straszliwy sposób podeptali wszelką formę sądu.

I tak! Ani miejsce, gdzie sądzono Chrystusa Pana, ani czas, w którym Go osądzono nie były zgodne z prawem. Wyroki sądowe wydawano zwykle w obszernych salach dla „synedrium“ przeznaczonych, znajdujących się obok świątyni. Chrystusa Pana sądzą w prywatnem mieszkaniu arcykapłana Kajfasza. Tam wszyscy nieprzyjaciele Chrystusa urządzili tajne posiedzenie i tam czekali na sąd. Czas był również nieodpowiedni. Według prawa Mojżeszowego, wyroki sądowe mogły być wydawane tylko w dzień. Wyroki w nocy wydane nie miały prawnej siły. Lecz, że namiętność, a przedewszystkiem nienawiść odbiera zawsze człowiekowi jasny pogląd na rzecz w innych wypadkach zupełnie jasną, więc nic dziwnego, że żydzi przeoczyli ten przepis Mojżeszowego prawa. Tak więc ani miejsce, ani czas nie były do wydania wyroków odpowiednie, owszem stały w widocznej z prawem sprzeczności.

Do istoty każdego sądu należy przeprowadzenie dowodu winy. Stąd też w każdej sprawie używa się świadków, którzy pod przysięgą zeznają co o pewnej sprawie sądzić należy. Chociażby skądindziej dość widoczną była wina obwinionego, jeśli jej jednak prawnie nie można udowodnić, to wyrok potępiający nie może nastąpić. Ta główna podstawowa zasada każdego sądu nie mogła być pominiętą przez żydów. Trzeba było koniecznie Chrystusowi przeciwstawić jakichś świadków, którzyby Mu mogli zarzuty czynić. Ale skąd ich wziąć? jakichże świadków postawić? Z ludu?! Ależ ten lud miał dla Chrystusa Pana tylko słowa uwielbienia! Lud kochał Chystusa Pana! A świadków koniecznie potrzeba! Za pieniądz, ten zły pieniądz, co człowieka nawet najlepszego zepsuje, można mieć wszystko, nawet świadków przeciwko niewinnemu. Zapłacili tedy ludzi, którzy nic nie mieli do stracenia, bo sumienie ich dawno stało w sprzeczności z wszelkiemi zasadami uczciwości i ci mieli świadczyć przeciwko Chrystusowi

Panu. Z góry już ułożono zarzuty. Miano rzucić Jezusowi w twarz zbrodnię bluźnierstwa. Wyjmowano przeto z nauki Jego pojedyncze zdania, przekręcano je według swojego „widzimisię“ i oskarżano Go o zbrodnię bluźnierstwa przeciwko świątyni, przeciwko prawu Mojżesza! Lecz nie udawały się wykręty nieprzyjaciół. A świadectwa ich nie były zgodne! Mieszają się żydzi! Nie wiedzą co mają począć. Rachuby wszelkie zawodzą.

Ale od czegóż arcykapłan Kajfasz?! On, głowa całego sądu, nie może pozwolić na to, by się plany tak dawno układane w niwecz miały obrócić! Zadaje Panu Jezusowi pytanie ostatnie, od którego albo Jego uwolnienie ale też i triumf starszyzny żydowskiej, albo też potępienie, a zarazem taki sam triumf żydów zależeć będzie. „Poprzysięgam Cię przez Boga żywego, powiedz nam czy Ty jesteś Chrystus Syn Boży?!“ Mat. 26, 63. Słowa te padły tak niespodziewanie na salę sądową, że cały sąd usłyszawszy je zmieszał się i zdumiał mądrością i przebiegłością Kajfasza! Czekają co odpowie oskarżony Jezus. Jeżeli z bojaźnią i trwogą odwoła wszystko czego uczył, to Go wyśmieją, ośmieszą przed ludem, ukarzą lekko i wypuszczą. Jeśli przeciwnie będzie śmiał twierdzić, że jest Bożym Synem, to musi zginąć i umrzeć, bo kto się Bożym Synem czyni ten bluźni zakonowi, a kto bluźni zakonowi umrzeć musi. — Co odpowiada Jezus? Spokojnie i rozważnie, wiedząc, że słowa, które teraz wypowie, będą słuchać nie tylko sędziowie żydowscy ale świat cały aż do skończenia wieków, odpowiada krótko: „Tyś powiedział — jednak powiadam wam, odtąd ujrzycie Syna człowieczego siedzącego na prawicy mocy Bożej i przychodzącego w obłokach niebieskich“ Mat. 26, 64. W milczeniu głębokiem wysłuchali sędziowie tego uroczystego oświadczenia Chrystusowego. Cóż poczną?! Kiedy On, ten Jezus, tak uroczyście w obliczu śmierci śmie twierdzić, że jest Synem Bożym a i życie Jego poprzednie świadczy, że nie jest zwyczajnym człowiekiem, to należy sprawę zbadać, bliżej się jej przyglądnąć,

zastanowić się nieco. Nie mają na to czasu żydzi! Krótko się załatwiają z wyrokiem. Arcykapłan z udanem oburzeniem rozdziera swoje szaty na znak boleści wewnętrznej, jaką go co dopiero słyszane słowa napełniły a zwracając się do sędziów mówi: „Zbluźnił, cóż dalej potrzebujemy świadków? Otoście teraz słyszeli bluźnierstwo — co się wam zda?“ A oni odpowiadając rzekli: „Winien jest śmierci!“

Zapadł wyrok, wyrok już dawno w sercach sędziów żydowskich noszony, wyrok, który był ich marzeniem, ale też wyrok najniesprawiedliwszy, jaki ziemia widziała! Istna parodja sprawiedliwości! W miejscu i czasie nielegalnym, na podstawie świadectwa świadków nie zgadzających się między sobą, a do tego przekupionych, za winy niepopełnione, wydaje się wyrok śmierci!

Najmilsi! takie same są sądy, które dzisiaj świat przeciwko Panu Jezusowi, Jego Boskiej nauce i Boskiej religji odprawia. Przypatrzmy się bliżej tym sądom i formie i treści i wyrokowi, a będziemy się mogli snadnie przekonać, że te wyroki są niesprawiedliwe.

A najpierw gdzie to i kiedy sądzą dzisiejsi nieprzyjaciele Chrystusa Pana? Myśmy już niestety doszli do tej doskonałości, że u nas potworzyły się całe stronnictwa i partje, które za uboczny ale jawny cel wzięły sobie polepszenie doli ludu i oświecenie go, a za główny lecz tajemny sądzenie Jezusa Chrystusa, Jego kościoła, Jego sług, Jego instytucyj. Całą duszą pragnie to stronnictwo wyśmiać, wyszydzić Chrystusa a jeśliby się udało, to Go skazać na śmierć i to haniebną śmierć bez czci, bez dobrego imienia. Przewódcy takich stronnictw są po największej części ludzie tego samego narodu, co dawniej przed wiekami Chrystusa krzyżował, a tłum siepaczów wodzących Jezusa Chrystusa przed sądy tych arcykapłanów tegoczesnych, rekrutują się z zaślepionego tłumu, który długie czasy chodził za Panem Jezusem i wiele dobra od Niego odebrał. A gdzie oni to ci wszyscy arcykapłani z całym swoim tłumem siepaczy wloką na sądy Jezusa? gdzie odbywają

swoje tajemne zgromadzenia? Czy na miejscach publicznych, czy w salach sądowych na to przeznaczonych, czy w świątyniach?! Nie! wszystkie spiski i herezje, jakie się kiedykolwiek przeciwko Jezusowi Chrystusowi wylęgły, rodziły się w cieniach nocy, na tajemnych zgromadzeniach, tam, gdzie nie miał wstępu żaden obrońca Jezusowej sprawy, tam gdzie szatan tylko był gospodarzem i wszechwładnym panem.

A jakich to świadectw używają ci sędziowie nowocześni przeciwko Jezusowi Chrystusowi i Jego kościołowi?! A świadectwa ich nie są zgodne. Każdy co innego Jezusowi zarzuca! Jedni twierdzą, że religja Jego robi z ludzi fanatyków, a drudzy twierdzą wprost przeciwnie, że odbiera człowiekowi chęć do czynu i czyni go zniewieściałym. Jedni powiadają, że kościół jest tyranem dusz i nakłada na dusze ludzkie obrożę nieznośną, a inni znowu twierdzą, że przez łatwość w odpuszczeniu grzechów mnoży się tylko zbrodnię i dopomaga do niej. Świadectwa ich nie są zgodne! Każdy czyni kościołowi inny zarzut, tylko historja, ta matka wieków, twierdzi i udowadnia, że kościół ów, jako głosiciel ewangelji był dobroczyńcą ludzkości, bo szedł zawsze na jej czele z pochodnią oświaty w jednej a z krzyżem jako symbolem miłości w drugiej ręce. Jeśli dziś kto chce wydać świadectwo przeciwko Chrystusowi i nauce Jego, to chyba za te uleczone miljony dusz ludzkich, za te miljony uzdrowionych z ślepoty ducha, z opętania szatańskiego.

A za co to dzisiaj potępia się Chrystusa Pana i za co się wydaje nań wyrok: „Winien jest śmierci!?“ Że jest Synem Bożym i że żąda od tych, którzy za Nim idą bezwzględnej wiary w swoją naukę. A świat nie chce wierzyć Bożemu Synowi! świat woli wierzyć samemu sobie, swojemu rozumowi słabemu, mędrcom tym, których sobie sam stworzył. Kościołowi, który ma od Boga dar nieomylności w sprawach wiary i obyczajów, zarzuca się bluźnierstwo! Bez zbadania sprawy, bez zastanowienia się nad

racjami, wydaje się kategorycznie i bezwzględnie wyrok na wszystko, co od Boga pochodzi, wszystko co nadnaturalne, co ponad ludzki rozum, co się nie podoba!

Oto sądy świata dzisiejszego nad Jezusem Chrystusem! Najmilsi! W onej strasznej godzinie, kiedy P. Jezus stał przed sędziami a zarazem wrogami swoimi, nie miał nikogo, ktoby się za Nim ujął i słowo życzliwe, a roztropne przemówił! A dzisiaj, czy znajdziecie między katolikami takich mężów dzielnych, takie odważne niewiasty, któreby wobec wrogów i sędziów Jezusowych śmiało stanęli i po stronie Jezusa się oświadczyli? Podobno nie wielu! Dowodów na to aż nadto z życia codziennego!

Bracie drogi! wiedz, że i na ciebie przyjdzie godzina sądu! Sąd to będzie straszny! a ty pewnie nie będziesz tak niewinnym, jak P. Jezus! Chcesz, żeby On, Twój sędzia był dla ciebie łaskawy? żeby stanął w oną straszną godzinę po twej stronie?! Jeśli chcesz, to stań dziś śmiało i odważnie po stronie Jezusa Chrystusa, którego świat tak sądzi i potępia! Amen.

ECCE HOMO — OTO CZŁOWIEK!

Człowiek! ileż w tem jednem słowie zawiera się treści?! Człowiek, to najwspanialsze dzieło Bożej ręki, to król stworzenia! O człowieku powiada pieśniarz Pański Dawid: „Cóż jest człowiek, że nań pamiętasz, albo syn człowieczy i że go nawiedzasz? umniejszyłeś go mało co od Aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go!“ Ps. 8.

Istotnie człowiek, to arcydzieło Boże! Stoi on jakby olbrzymi słup graniczny między bezcielesnymi duchami niebieskimi, a nierozumnem i bezdusznem stworzeniem, a zarazem jest ogniwem, które łączy niebo z ziemią. Sam należy częścią do ziemi, częścią już wkracza w te cudne niebieskie przestworza! Ciałem dotyka ziemi, duszą wzlatuje w niebiosa. I Bóg go istotnie przyodział chwałą i czcią. W kolebce jeszcze obłożył go P. Bóg darami niewypowiedzianemi. Widzi jasno Boga, bo rozum jego nie przyćmiony grzechem, wola niezepsuta, więc skłania się chętniej ku dobremu niżeli ku złemu, jest nieśmiertelny, nie cierpi. Zepsuł człowiek swą cudną naturę. Bawił się tymi darami Bożymi, niby to dziecię niemowlę, upuścił je nieostrożnie i zbił na drobne okruszki. Lecz jeszcze i to co mu po grzechu pierworodnym pozostało, czyni go królem stworzenia. Rozumem przenika on tajniki natury, podnosi się aż do Boga — wola jego wolna daje mu sposobność do walki ze złem a tem samem do zwycięstwa i do zasługi — ciało chociaż śmiertelne, jednak pełne tylu pięknych darów, że istotnie przystoi królowi stworzenia! A czy myślisz człowiecze, że człowiek nauczony strasznem doświadczeniem Adama, praojca swego, będzie przezor-

niejszy, że będzie szanował przynajmniej tych resztek darów Bożych, które sobie uratował?! Gdzietam! Nie szanuje się człowiek! Nadużywa rozumu swego sądząc, że przy pomocy tego słabego światełka dojdzie do poznania wszelkich tajników. Nadużywa woli swojej i zwykle ją kieruje ku złemu. Nadużywa też ciała swego i przemienia tę świątnicę Ducha św. na mieszkanie mocy nieczystych!

Chrystus Pan przyszedł naprawić zepsutą przez człowieka naturę. Stąd musiał wziąć na siebie wszystkie popsute przymioty i dary ludzkiej natury i w tych zepsutych łachmanach światu się ukazać. Uczynił to też istotnie dobry Pan Jezus! Pozwolił się ubrać w koronę cierniową, w płaszcz purpurowy i trzcinę wziął do ręki. W takiem przebraniu pokazał Go Piłat ludowi z ganku i wyrzekł do tłumu słowa: „Oto człowiek"! A słowa te pogańskiego starosty nie zastygły mu na wargach — niby echo jakieś wiecznie brzmiące, idą przez wieki całe i odzywają się do każdego człowieka: „człowieczel patrz, jak Chrystus Pan i Bóg Twój pokutował za to, żeś ty się tak strasznie poniżył! — patrz i przeglądnij się w tem zwierciedle przejasnem, ale i przebolesnem!"

Najmilsi! Staniemy dzisiaj przed obrazem Chrystusa ukoronowanego cierniem, w czerwony łachman odzianego, trzymającego chwiejący się kij w ręku i porównamy siebie z Nim — On człowiek i my ludzie. Jakaż jednak między nami różnica?! Zastanówmy się za co to P. Jesus przyjął na siebie ten strój dziwny. Daj o Jezu! żebyśmy w tem świętem zwierciedle zobaczyli całą szpetność i złość naszą, byśmy obrzydzili sobie naszą złą naturę i byśmy się z nędzy podnieśli. *Z. M.*

I.

Żydzi wydali na Pana Jezusa wyrok śmierci. Według panujących praw rzymskich do prawomocności wyroku wydanego przez sąd rady żydowskiej trzeba było potwierdzenia starosty rzymskiego, którym naonczas był Piłat

Poncki. Żydzi zwrócili się przeto do starosty Piłata z prośbą, by wyrok przez nich wydany zatwierdził i wykonał. Piłat jak zwykle polityk, chociaż natychmiast poznał niewinność Jezusa, nie chcąc sobie zrazić żydów, przewlekał sprawę. Myślał, że Mu się w ten sposób uda i Chrystusa Pana ocalić i żydom się przypodobać. Skoro zrobił pierwsze ustępstwo, to z natury rzeczy musiały pójść i dalsze. Dla dogodzenia żydowskiej żądzy krwi, kazał niewinnego Chrystusa ubiczować. Żołnierze rzymscy, którym ten rozkaz wydano, wykonali go jaknajdokładniej, a nadto z wielkiej gorliwości zrobili więcej, niż żądał od nich rozkaz. Słysząc coś od żydów, że Jezus się królem żydowskim głosił i że za to Go kara spotyka, chcieli wyszydzić w Nim godność królewską. Zrobili tedy parodję króla. Na głowę włożyli Chrystusowi koronę z cierni uwitą, na barki zarzucili czerwony łachman niby płaszcz królewski, a do ręki włożyli kij, niby berło królewskie.

Naraz tłum się ucisza, wszystkie oczy podnoszą się w górę, bo na ganku pałacu gubernatoskiego ukazała się dziwna jakaś postać. Człowiek to czy nie człowiek?! Nic innego nie widać tylko czerwień krwi, która Go całego oblewa. Za postacią tą, staje sam starosta, Poncki Piłat.

Podnieśmy i my oczy wespół z tłumem żydowskim i wpatrzmy się w tę skaleczoną postać, boć to jest Jezus, Bóg i Zbawiciel nasz. Żołnierze na rozkaz Piłata tak się z Nim sprawili, tak Go boleśnie przybrali krwią Jego własną. Popatrzmy najpierw na to, co najwięcej w oczy wpada, t. j. na głowę. Twarz najpiękniejszego z synów ludzkich strasznie zeszpecona, nabrzmiała od policzka otrzymanego w domu Annasza, zapuchła od uderzeń i kułaków otrzymanych w nocy od rozbestwionego żołdactwa, zalana krwią i potem własnym podczas biczowania. Pośród tej dziwnej maski powstałej z krwi, potu i kurzu, widzisz tylko dwoje oczu, których kaci nie zdołali jeszcze wydrzeć. Oczy te Boskim sieją blaskiem, patrzą smutno i boleśnie przed siebie, patrzą na ten tłum zażarty, który

niedawno wołał „Hosanna“ i pyta się smutnem spojrzeniem: „Ludu mój, ludu! cóżem ci uczynił?!“ Lecz najdziwniejszy strój pokrywa skroń Jezusa. Oblubienica w pieśni nad pieśniami mówi o głowie oblubieńca: „głowa Jego jako złoto najlepsze, włosy Jego jako latorośle palmowe“ Pieśń n.pieśń. 5, II. A oto ta głowa przystrojona dziwnym wieńcem! Ciernie grube wbijają się w skroń i ranią ją bardzo boleśnie. Zburzone włosy Jezusa Oblubieńca ludzkości są jako latorośle palmowe. Z pod każdego kolca cierni cienki strumyk krwi toczy się po twarzy, znacząc ślad, którędy przeszedł i spada na ziemię.

Spojrzyj! spojrzyj duszo chrześcijańska na tę smutną a bolesną okropnie twarz! Oto człowiek! — oto człowiek, który się tak pozwolił wymęczyć, który tak pozwolił skatować głowę swoją najświętszą, tę głowę, którą aniołowie pieścili!

Zanim się zaczniemy dalej przypatrywać postaci Pana Jezusa, zapytajmy się Go: „Jezusie! co znaczą te ciernie na Twej głowie?!“ czemu je sobie wbić pozwoliłeś, czemuś dozwolił tak okropnie zranić głowę Swoją?!

Przypomnij sobie człowiecze okrutne przekleństwo, które grzech ściągnął na głowę Adama, przypomnij sobie, że Bóg wydalając Go z raju rozkoszy wyrzekł te słowa: „Przeklęta będzie ziemia w dziele Twojem — ciernie i osty rodzić Ci będzie“. Gen. 3, 17 — 18. Naco głównie padło to przekleństwo Boże? Tak! spadło ono na ziemię rzeczywistą, ale spadło też i to wpierwszym rzędzie na ziemię serc ludzkich. Człowiek, który przedtem jak anioł Boży mógł patrzeć w Boga, cieszyć się Nim mógł, najwierniej chować Jego rozkazanie bez trudu najmniejszego, stał się po przekleństwie Jego nieprzyjacielem, na miejsce kwiatów cnót, wybujał oset grzechów, które jako cierń dolegają, przeszywając na wskróś i raniąc śmiertelnie Boską sprawiedliwość. Cóż więc czyni Chrystus, aby z nas wyrwać te ciernie, aby zniweczyć ten straszny owoc przekleństwa? Przyjąć ich nie mógł, bo te ciernie to grzechy,

a On sama sprawiedliwość, sama świętość, sama niewinność! Nie mógł wziąć na siebie rzeczywistości przekleństwa, bo był samem błogosławieństwem, a zatem wziął tylko obraz, postać tego przekleństwa i tych cierni wewnętrznych, t. j. przyjął ciernie ziemskie, nimi pozwolił ścisnąć swoją głowę. (X. Goljan. kazania.) To przekleństwo, wskutek coraz to na nowo dodawanych grzechów wzrosło, wzmocniło i splotło się w okropny las cierni i ścisnęło niezmiernie głowę Jezusową. Oto człowiek! człowiek, który wziął na głowę przekleństwo, co spadło na głowę ludzkości całej, a jako się przekleństwo cierniami zaczęło, tak się też cierniami skończyło.

II.

Lecz patrzmy dalej na Pana Jezusa. Stoi bosy, a krew kroplami spływa po stopach Jego, tworząc czerwoną kałużę. Jedna Go okrywa szata — nie ta tkana rękami Najświętszej Matki, gdyż tę zdarli z Niego rozpustni żołdacy i rzucili, przesiąkniętą krwią gdzieś na podwórzu. Na ramionach stary szkarłatny płaszcz żołnierski podarty jak sito, gdyż wycierali nim prochy, czyścili broń. Chcąc wyszydzić Jego godność królewską, okryli zbite ramiona tym czerwonym łachmanem. Zwisa brzydki łachman z ramion Jezusowych, krew najświętsza przepaja brudne szaty. Z pod brzydkiego łachmana widać zranione Ciało Jezusowe, zorane biczami niby ziemia pługiem — gdzieniegdzie między purpurą krwi sterczy biała kość. Stoi tak P. Jezus w cierniowej koronie, czerwonym okryty płaszczem, który Mu ledwie ramiona i piersi zakrywa, resztę zakrywa własna krew — stoi a słania się, bo Go upływ krwi osłabił.

Czemu to czerwone jest odzienie Twoje, a szaty Twoje jako tłoczących w prasie, Izaj. 63 — pytam Cię P. Jezu z Izajaszem prorokiem? Przecież Ci Ojciec, wysyłając Cię na ziemię, dał szatę przepiękną, białą, szatę człowieczeństwa, wolnego od wszelkiej skazy i zmazy, przecież Ci Ojciec Twój niebieski dał szatę, która na gó-

rze Tabor podczas przemienienia się Twojego stała się jasna jako słońce, tak, że Apostołowie co na to patrzyli w zachwyt wpadli?! Czemuż o Panie tak czerwona szata Twoja? Przecież Matka Twoja Najświętsza utkała Ci szatę białą, całodzianą. Gdzież ją podziałeś o Jezusie kochany?! „Krew ludzi pryskała na szaty moje i spłukałem wszystko odzienie moje". Izj. 63. Skoro pierwszy człowiek przestąpił Boskie przykazanie, uczuł wstyd, oblał się rumieńcem i skrył się za drzewo. Ale potem, kiedy zaczął brnąć coraz bardziej w złościach, już i wstyd zatracił. Bo grzesznik, gdy w głębokość grzechów przyjdzie, za nic je sobie ma. I doszedł powoli do tego, że się tarza nagi w kałuży i błocie i brudzie. Patrzą na niego niebianie, patrzy świat cały a on się już więcej nie rumieni, owszem hełpi się brudem i zbrodnią swoją, jakby czynem bohaterskim, uważając siebie za istotę wyższą ponad przesądy świata.

Dlatego, że się świat powinien oblewać rumieńcem wstydu, Jam się okrył purpurą krwi mojej! — dlatego, że świat powinien okrywać nędzę swoją duchową szatą łaski a nie okrywa jej, Jam się okrył lichym szkarłatnym łachmanem!

Patrz teraz Nań człowiecze! Oto człowiek! — Ecce homo! Człowiek-Bóg! Bóg-Człowiek, który się okrył purpurą własnej krwi, dlatego, że ty się nie okrywasz purpurowym płaszczem wstydu!

Stoi Pan Jezus w cierniowej koronie na skroni, w płaszczu szkarłatnym na zbolałych ramionach, a w ręku trzyma kij — trzcinę. Król, kiedy na tronie zasiada, wkłada na swe skronie koronę złocistą, ramiona płaszczem królewskim okrywa, a w ręku berło dzierży. Podali też żołnierze Jezusowi zamiast berła trzcinę, która im służyła do trzepania z prochu odzieży. Posłuszny Pan Jezus trzyma trzcinę w ręku. Czemuż nie wypuścisz, Panie Jezu, tego hańbiącego kija z ręki Twojej?! Przecież Ci nic nie przeszkadza! Rzuć go precz od siebie! Możesz go zamienić w piorun gniewu i rzucić nim w zuchwały tłum!

Nie! Nie! bo ta słaba, chwiejna trzcina, to obraz naszej słabej chwiejnej woli. Jako trzcina gnie się na wszystkie strony z wielką łatwością, tak też i wola nasza z wielką łatwością przechyla się to na stronę grzechu to na stronę łaski.

Trzyma podczas męki Chrystus trzcinę w ręku Swojem, bo przez to wysłuży tej słabej woli taką moc, że gdy się ona na Nim oprze, to jej już nic ugiąć nie potrafi, jak świadczy Apostoł: „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia". Popatrzże teraz, popatrz dobrze człowiecze w ten straszny obraz! Wyobraź sobie, że widzisz tu, przed sobą Jezusa, Boga Twojego! Popatrz w Jego święte oblicze sine i skrwawione, po którem płyną nitki krwi wydobywającej się z pod cierni — popatrz na głowę zranioną do kości twardym cierniem — patrz na czerwony łachman pijący świętą krew, patrz na ręce, które drżąc trzymają słabą trzcinę! Oto człowiek! — a nie podobny do człowieka! Popatrz dobrze, abyś się mógł przejrzeć w tej bolesnej postaci jak w zwierciedle, abyś mógł siebie samego z tą postacią porównać, boś i ty człowiek... boś i ty człowiek, stworzony na obraz i podobieństwo Boże, boś i ty człowiek, przybrany syn Boży!

III.

Stworzył Pan Bóg człowieka i uczynił go królem świata. W przeróżne dary ustroił go Pan! Głowa jego, to siedlisko myśli.

Myślą różni się on od zwierzęcia. Co to za niezmierny dar!? Pomyśl, co potrafi myśl ludzka. Ona ujarzmia dziką naturę i niedostępne szczyty gór przemienia na ludzkie mieszkania — wkracza w świat zwierzęcy, i panuje najdzikszym bestjom — ujarzmia wszystkie elementy i do swych używa je celów — wynajduje nowe w naturze siły i niemi zadziwia świat cały. Dla myśli niema żadnej przestrzeni — prędzej niż piorun przelatuje świat z końca do końca — myślą jesteś w tej chwili tu, a w sekundzie możesz być za morzami w przeciwnej stronie świata. Lecz i to jeszcze

mało! nie dość, że możesz myślą biegać po świecie całym, przed nią i niebiosa stoją otworem. Myślą możesz w każdej chwili stanąć przed Bożym tronem, każdej chwili z Bogiem rozmawiać ci wolno, możesz ogarnąć i zrozumieć Boskie względem ciebie zamiary i Boskie od ciebie żądania.

A ty człowiecze na cóż tej Bożej władzy używałeś i na co jej dzisiaj używasz? Czy używasz myśli w tym szlachetnym celu, w którym ci od Stwórcy daną została? Rozważ teraz, patrząc na koronę cierniową Jezusa, rozważ nad czem pracuje myśl twoja!

Myślisz — myślisz zawsze, bo myśl to maszyna, która nigdy pracować nie ustaje — lecz nad czem myślisz? Zrobił ci ktoś krzywdę, a ty myślisz — myślisz, ustawicznie nad tem dumasz, jakby mu za to odpłacić, jakby się na nim w czwórnasób zemścić. Spuszczasz ku ziemi głowę jak Kain i przebierasz w coraz to nowych sposobach zemsty, a szatan ci coraz milsze przedstawia obrazy.

Zobaczyłeś u bliźniego przedmiot, który ci się podoba i już myśl twoja w ruch wprawiona. Myślisz — i myślisz — i ustać w myśleniu nie możesz, jakby go posiąść.

Zobaczyłeś kielich szumiący — chciałbyś go mieć na każdy dzień, a brak ci na to środków. Więc myślisz — i myślisz jakby wynieść z domu ostatnią szatę i za nią kupić napitek, a nie myślisz, żeś przez to skrzywdził żonę i okradł sieroty!

Zobaczyłeś — zobaczyłeś gładką twarz, zgrabną postać. I już myśl twoja w ruch wprawiona i myślisz, jakby się przypodobać, jakby ją posiąść a nie zważasz, że Bóg powiedział: „nie pożądaj!“

Patrzże teraz na twą głowę! Widzisz?! Na niej wieniec cierni, cierni szkaradnych, grubych, prostych, a ostrych. Wzbiły się nad głowę twoją i powiązały w las występnych upodobań, rozpustnych uczuć, zmysłowych pragnień, nienawiści, pychy, próżności, niesprawiedliwych zamiarów, zdrady, niewiary! (x. Golja Kazania.)

Jako niegdyś tłum ludu patrzał na Pana stojącego w cierniowej koronie, a Piłat mówił: „Oto człowiek“, tak patrzy na ciebie całe niebo, a Jezus mówi: „Oto człowiek, któregom krwią własną odkupił, oto człowiek, dla któregom zezwolił pokłuć cierniami mą głowę — a oto człowiek, który sam dobrowolnie wkłada na swą głowę koronę złych myśli! O! on nie wie, jak przez to boleśnie odnawia me rany! Oto człowiek — i kat!! Oto człowiek — zabójca Zbawcy swego!!!“

Patrz człowieczel to ty w takiej obrzydliwej koronie! Pan twój w koronie z cierni — a ty w koronie grzesznych myśli! O! zrzuć dziś — zrzuć z głowy twej ten ohydny wieniec! — Zrzuć! — niech go więcej nie będzie! Wynagródź Panu za to, że taki straszny wieniec nosił na swej najświętszej głowie! Mów: „Panie! Panie! już myśl moją zawsze według Twej woli kierował będę! Precz z niej wszelkie złe pożądania i pragnienia!!!

Ubrał Pan Bóg człowieka w płaszcz naturalnego wstydu. Jeżeli popełni coś przeciwnego prawu naturalnemu i Boskiemu, jeżeli zgwałci naturę, czy Boskie prawo, to purpura wstydu oblewa ciało jego. I jest to jeszcze znak dobry, jeśli się człowiek rumieni po popełnionym grzechu. Grecki mędrzec, gdy widział młodzieńca rumieniącego się po spełnieniu nieszlachetnego czynu, rzekł mu: „Bądź dobrej myśli młodzieńcze, kiedy się rumienisz. Rumieniec wstydu jest początkiem poprawy“.

A ileż jest na świecie ludzi, którzy się nie wstydzą najsprośniejszych grzechów? Niewiasta za pieniądze wstyd swój sprzedająca, młodzieniec chełpiący się z popełnionych zbrodni na duszach niewinnych, mężowie gwałcący bezwstydnie związki małżeńskie, niewiasty plugawiące swe gniazda rodzinne, czyż to dzisiaj nie codzienny widok?! A któż zdoła policzyć te wszystkie bezwstydy dokonywane bez najmniejszego rumieńca? Kto zliczy te wszystkie nieskromności w spojrzeniu, ubiorze i t. p.?! A świat już sobie

nawet z tego nic nie robi, już się nie rumieni, już się nie smuci, lecz brnie z jednej złości w drugą.

Popatrz teraz na siebie człowiecze! — Policz twoje bezwstydy! Gdzież się podział wstyd twój? Łachman tylko z niego — strzępy z niego wiszą! Oto człowiek!... Oto człowiek bez rumieńca wstydu na obliczu! Patrz! Pan twój w starym płaszczu na ramionach, boś ty okryty potarganym łachmanem bezwstydu! Zrzuć ten łachman człowiecze, boś w tym starym łachu do zwierzęcia podobniejszy, a nie do człowieka!... Zrzuć go i mów: „Panie! Panie! Okryj mnie purpurą krwi Twojej! Niech się już nigdy na nic bezwstydnego nie ważę!“

Dał Bóg człowiekowi wolną wolę, którą ma kierować wszystkie czyny swoje. Ta władza duszy ludzkiej jest jako berło w ręku króla. Jako za podniesieniem berła królewskiego wszystko się porusza i działa, tak za poruszeniem woli wszystkie władze człowieka czynności swe sprawują. Wolna wola wzmocniona łaską Bożą jest tak potężna, że wszystko może uczynić, że się waży na najśmielsze przedsięwzięcia. Lecz pokaż mi dziś człowieka, któryby miał taką wolę! Dziś ludzie jak trzcina chwiejni. Spowiadasz się, przyrzekasz, a za chwilę to samo czyniszl Policz, jeśli możesz, wszystkie przysięgi, zaklęcia i obietnice Bogu czynione, zrachuj je, a zobaczysz, jak chwiejną jesteś trzciną.

A teraz patrzcie niebiosa na człowieka! Na głowie wieniec złych myśli, na barkach potargany szmat bezwstydu, w ręce trzcina słabej woli! Czy to człowiek?! Oto człowiek poniżony, upodlony! Stań człowiecze wobec Jezusa Chrystusa upodlonego w czasie męki z miłości dla ciebie i wołaj z błota, w któreś upadł: „Ratunku Panie! Ratunku! Zmiłowania! Podnieś mnie o Boże z tego błota, w którem leżę! Zmiłuj się!... Zmiłuj o Panie!!! “ Amen.

DROGA KRZYŻOWA.

Niosąc krzyż wyszedł na ono miejsce, które zowią „trupiej głowy".

Jan 17, 19.

W Jerozolimie dzisiejszej jest droga, którą zowią drogą krzyżową. Rozpoczyna się w starym zamku Antonjusza w dzielnicy miasta zwanej „Gara", prowadzi ciasnemi i brudnemi uliczkami, wśród starych domów, kramów, placów targowych do kościoła, stojącego na wzgórzu „Kalwarja" a zwanego kościołem grobu Pańskiego! Badacze starożytności z trudem i mozołem odkryli stacje t. j. najważniejsze i pamiątkowe miejsca tej drogi krzyżowej, a pobożni oznaczyli je napisami. Ta droga, którą przed wiekami szedł z pałacu Piłata na górę Kalwarji, albo trupiej głowy, Jezus Chrystus, nasz Odkupiciel i Zbawca, obciążony ciężkiem drzewem krzyża. Dziwną ma historję ta bolesna droga! Chyba żadna inna droga na świecie nie wsiąkła w siebie tyle ludzkiej krwi, co wspomniana droga krzyżowa. Bo oprócz Krwi Najświętszej Boga-Człowieka lała się drogą strumieniami całemi krew tych, którzy drogę tę chcieli wyrwać z rąk niewiernych Turków, by sami mogli z nabożeństwem chodzić po niej i całować ślady stóp Jezusowych. Żadną inną drogą nie przeszło tylu ludzi różnego wyznania, różnych narodów i języków, jak tą drogą bolesną, którą szedł Jezus Chrystus — Odkupiciel świata. Żadna też inna droga nie wsiąkła w siebie tyle łez ludzkich, jak właśnie ta droga! A były to łzy współczucia nad Tym, którego wie-

kami zła tłuszcza żydowska tą samą drogą na stracenie wiodła. Żadna też inna droga na ziemskiej kuli nie słyszała takich gorących modłów i nie widziała dusz tak uniesionych w zaświatowe krainy, jak właśnie ta droga krzyżowa. Miałem to szczęście, żem wespół z innymi pielgrzymami tą drogą belesną przechodził! Dziwne uczucia rodzą się w sercu i dziwny widok przedstawia się oczom człowieka. Idzie gromada osób wpośród wąskich uliczek z pieśnią pobożną na ustach. Z początku jeszcze obojętnem sercem patrzy na tę gromadkę sceptyk. Lecz powoli w duszy dzieje się przemiana. Jakieś dziwne ciepło zalewa całą istotę. Gromada cała doznaje jakiegoś uczucia wielkiej miłości ku temu, co tą drogą szedł dla jej zbawienia. Zda się, że On jest w tym pobożnym tłumie, że On sam idzie między nim. W białej krwią splamionej szacie, z krzyżem na ramionach, w cierniowej koronie na głowie idzie na czele i mówi: „Ja tędy szedłem, tutaj upadałem, tutaj spotkałem się z mą Matką najdroższą!“ — „Ja tędy szedłem by ciebie odkupić!“ Rzewność ogarnia wszystkich. Pieśń pobożną przerywa łkanie — łza zwilża oko! Biedny, czy bogaty, uczony i prostaczek klękają naj twardym bruku, schylają głowy i całują ziemię. Braterska miłość splata dusze! Tędy szedł Pan, co z miłości spłonął na ołtarzu krzyża, jako ofiara przeczysta. A gdy przyjdziesz do grobu świętego — to ci się odejść nie chce. Chciałbyś wespół ze Zbawicielem skonać i w grób się położyć!

Nie każdemu dano chodzić tą świętą drogą, która do człowieka tak dziwnie przemawia. Lecz każdy może ją w duchu przebyć, każdy może wespół z Jezusem Chrystusem iść na górę Kalwarję i przypatrywać się Jego boleści — każdy może w duchu patrzeć na ślady stóp Zbawiciela Pana. Pójdźmy też i my dzisiaj za Zbawicielem drogą bolesną. Przypatrzmy się Jego postaci krzyż na górę niosącej, a nauczymy się stąd, że krzyż jest

a) dla nas koniecznie potrzebnym *b)* że za Jezusem go dźwigać, to nie taka ciężka rzecz.

O! Jezu! dźwigający krzyż na kalwaryjską górę. Stań między nami i gdy my duchem tą świętą drogą iść będziemy, Ty nam sam bądź przewodnikiem — Ty idź przed nami i dodawaj nam siły, byśmy i my krzyż naszego życia łatwo nieść mogli. Uproś nam tę łaskę N. Panno Marjo! *Z. M.*

I.

Cofnijmy się myślą o dziewiętnaście wieków wstecz i stańmy w on pamiętny wielki piątek na drodze, wiodącej przez Jerozolimę od domu starosty rzymskiego Piłata, ku północnej bramie miasta, za którą leżało wzgórze Golgota. Stańmy w tłumie ludu i patrzmy na pochód, który się wśród gmachów powoli posuwa. Piłat uległ tłumowi żydowskiemu. Tłum podburzony przez starszyznę żydowską zażądał od starosty rzymskiego krwi niewinnego Chrystusa! „Krew Jego niech spadnie na nas i na nasze syny!“ „Ukrzyżuj Go!“ „Ukrzyżuj!“ Piłat umył ręce na znak niewinności swojej w całej tej sprawie, ujął za pióro i podpisał dekret śmierci na niewinnego. Że to zbliżały się święta wielkanocne, więc żydzi spieszyli i naglili, by jeszcze przed świętami dokonać na skazańcach egzekucji. Piłat dał im do rozporządzenia odpowiednią ilość żołnierzy, którzy mieli wykonać karę śmierci.

Zbliża się południe. Słońce wypłynęło już na pełne niebo i grzeje swemi promieniami, że aż pot pokrył ludzkie czoła. W mieście Jerozolimie ludu wiele. Cała Palestyna zeszła się na święta wielkanocne do miasta świętego, do swego serca, swej świątyni. Lecz chociaż w świątyni ofiara się spełnia, chociaż koło świątyni przekupnie swe kramy rozłożyli, nikt się nie spieszy w te strony. Przeciwnie wszystko pospólstwo gromadzi się koło drogi idącej przez całe miasto ku Kalwarji. Łysy i nagi pagórek kalwaryjski zwykle przez ludzi omijany, teraz mimo upał-

nego słońca pokryty tłumem ludu. Cóż to tak zgromadziło tłumy ludu koło drogi?! Słuchaj! — idzie szmer między ludem: „Za chwilę będą tędy prowadzić na stracenie Jezusa z Nazaretu, tego samego Jezusa, którego sława napełniła całą ziemię żydowską — tego Jezusa, który się królem żydowskim głosił". Starsi ujęli Go w swe ręce i wydali na Niego wyrok śmierci! On pójdzie wnet! jakżeż będzie wyglądał ten wielki prorok w drodze na stracenie? czy będzie się lękał, czy będzie drżał na widok zbliżającej się śmierci?" Takie szepty słyszysz w tłumie!

Tymczasem zdala od pałacu Piłata dochodzi gwar, który z każdą chwilą się wzmaga. Tłum ciekawie zwraca swe głowy w kierunku, skąd gwar pochodzi. Idzie! idzie! A tymczasem na ulicy coraz ciaśniej! Tłum wzrasta z każdą chwilą. Wpośród tłumu widzisz dowódcę rzymskich żołnierzy, który całym żałobnym pochodem kieruje. Za nim idzie oddział żołnierzy w czerwonych płaszczach, lśniących hełmach, z błyszczącemi dzidami. A wpośród nich trzy dziwne postacie. Trzej mężowie z krzyżami na ramionach swoich idą pod górę ciężko oddychając. Dwaj z nich idąc rzucają oczyma na obok stojący tłum ludu z nienawiścią wielką. Na obliczach ich maluje się zbrodnia. To dwaj mężobójcy. Starsi żydowscy skazali ich na śmierć i wiodą ich razem z Jezusem na Kalwarję, chcąc Go wobec tłumu przedstawić jako herszta zbrodniarzy! Tuż za nimi idzie P. Jezus. O jakżeż dziwna ta postać najpiękniejszego z synów ludzkich! Twarz, na którą Aniołowie z rozkoszą pragną spoglądać, nie podobna do ludzkiej twarzy. Rana na niej i siność. Tylko oczy, chociaż krwią zaszłe, sieją dziwne blaski na otoczenie! Na ramionach szata splamiona krwią własną — czerwona. Z pod korony cierniowej wypływają strumyki Krwi Najświętszej, spływają powoli po twarzy i spadają kroplami na ziemię. Z całego ciała toczy się obficie krew. Bose stopy zostawiają krwawe ślady na kamieniach ulic. — Dwa bierwiona drzewa ciężkiego przygniatają Go ku ziemi, zwłaszcza, że

upływ krwi i gorączka, wskutek tego powstała, tak Go osłabiły, że iść prosto nie może. Pochód odbywa się bardzo powoli. Lud, ten sam lud, który jeszcze w tym tygodniu wołał ochotnie i szczerze „Hosanna Synowi Dawidowemu“ patrzy obojętnem okiem i zimnem sercem na tę biedną, zmęczoną, zbitą, skatowaną postać Jezusa Chrystusa. — Spoczęły też oczy Jezusowe na stojącym obok drogi żydowskim ludzie. — Toż to ten sam lud, który On tak ukochał, dla którego pracował, dla którego tyle dobrego uczynił! Stoją tu matki, niewiasty żydowskie! Pada na nie wzrok Jezusowy i zda się mówić do nich: „Jakto! niewiasty żydowskie! takżeście prędko zapomniały, jak ja wasze dziatki błogosławił?! takaż to wdzięczność za to, żem wasze chore leczył?! Niewiasty! wy, którym Bóg, Ojciec Mój, dał takie szlachetne i czułe serca, możecie patrzeć obojętnem okiem na mą mękę i poniżenie?!“ Patrzy Chrystus Pan na dzieci małe, które wespół z matkami przyszły na widowisko. Toć to te same dziatki, które On do Serca swego Boskiego przyciskał, którym błogosławił! Może one przynajmniej okażą Mu odrobinę litości i miłosierdzia?! Serca niewinnych dziatek czulsze przecież powinne być od reszty tłumu. — One przecież nigdy jeszcze na krew nie patrzały, więc się ulitują nad skatowanym Chrystusem! Lecz dzieci przejęły się nienawiścią starszych! I w ich sercach płonie gniew ku Temu, którego starsi na stracenie skazali. Niektóre swawolniejsze rzucają drobnemi kamieniami i szydzą z Niego głośno wołając: „Król żydowski! król żydowski!“ Z boleścią odwraca Chrystus Pan oczy od tłumu. Nigdzie nie wyczytał litości ni współczucia! Spuścił oczy ku ziemi jakby się wstydził za ten lud niewdzięczny, lud twardego serca, poprawił krzyż na ramionach swoich i idzie dalej pod pręgierzem ciekawych spojrzeń, cichych szeptów, dwuznacznych uśmiechów i głośniejszych szyderstw. Tylko na bruku coraz wyraźniejsze ślady upływającej krwi pozostają, bo serce ściśnięte bolem i żalem, obficie ją wydziela!

O! biedne Jeruzalem! Wychodzi z pośród murów twoich Jezus, Twój Nauczyciel i Zbawca! Któż będzie cię cieszył w smutku i hamował w zbytecznej radości?! Wychodzi z pośród was mury świątyni — Jezus! A za chwil kilka ustanie ofiara, upadnie kapłaństwo, przedrze się zasłona do miejsca „świętego świętych", a na tem miejscu, gdzie tylko arcykapłan raz w roku mógł wstępować, poganie bezecne nabożeństwa odprawiać będą! Wychodzi z pośród murów twoich Jezus, a wnet runą mury tak, że kamień na kamieniu nie pozostanie z nich, a cudne marmury będą się palić w ogniu ręką wroga podłożonym. Ludu izraelski! Z pośród ciebie wychodzi Jezus! Któż będzie leczył twoich chorych, kto czartów z opętanych wypędzał, kto cudną głosił naukę?

Ludu izraelski! Idzie z pośród ciebie Jezus i wynosi, z miasta krzyż, piętno hańby, znak cierpienia! Sądzisz, że gdy krzyża wpośród murów twoich nie będzie, to nie będzie w mieście ni hańby, ni cierpienia?! O! źle sądzisz ludu! Właśnie z chwilą, kiedy Jezus wyniósł z miasta krzyż przyjdzie na ciebie hańba, jaka nie spadła nigdy na żaden inny naród. Z chwilą tą zacznie się dla ciebie konanie, konanie w męce, w bolu — z tą chwilą zacznie się dla ciebie obfity przelew krwi i rozprószenie po całym świecie! Jerozolimo! zatrzymaj Chrystusa! zdejmij z Jego ramion krzyż — nie puść Go poza mury, nie daj przekroczyć progu bramy miejskiej!

Najmilsi! Historja drogi krzyżowej naszego Boskiego Zbawiciela powtarza się ciągle. Powiedziałbym, że przez całe 19-cie wieków idzie P. Jezus z krzyżem na ramionach wpośród szyderstw swoich nieprzyjaciół. Narody, kraje, miasta, gminy, rodziny wyrzucały Go z pośród siebie. — On brał krzyż i szedł ciągle dalej! Lecz biada temu narodowi, biada temu krajowi, temu miastu, tej rodzinie, z pośród której wyszedł Chrystus i wyniósł krzyż Swój! Cierpienie się nie skończyło, a skończyła się pociecha i zaczęła hańba!

Najmilsi! A u nas czy mało takich ludzi się znajduje, którzyby chętnie wyrzucili Chrystusa z murów naszego miasta? O! iluż czeka na tę chwilę?! Ilużby chętnie chciało się pozbyć Chrystusa i Jego nauki?! Ilużby chętnie włożyło na Jego barki krzyż i precz Go wywiodło?! „Nie trzeba nam Jezusa! Nie trzeba nam Boga!“ — tak wołają dzisiaj nasi obywatele. Dobrze! Najmilsi! Wyrzućcie Go z pośród siebie! Idź! o Jezu z pośród naszych murów! Weźmij z sobą krzyż — a zostaw nam uciechę, radość, hulanie, rozpasanie! Niech sobie raz użyjemy! Idź!! — Idź! Ty co, zakazujesz uciech i używania świata, a nakładasz obowiązek cierpienia! — Idź!

O! moi Drodzy! chcecie się pozbyć Jezusa i nauki Jego i Krzyża Jego?! Chcecie Go wyrzucić? On cichy i spokojny weźmie krzyż na Swe ramiona i pójdzie! pójdzie dalej i znajdzie sobie serca dobre, które Go przyjmą ochotnie. Lecz biada wam! uprzykszą się wam zbytki — sprzykrzy się rozpusta, krzyże się zaczną na was walić — cały las krzyżów, cierpień, was przygniecie, a nie będzie, ktoby ulżył, ktoby podniósł, ktoby pocieszył. O! Jezu! nie wychodź z pośród nas!

II.

Idzie Jezus z krzyżem na ramionach, lecz siły Go coraz więcej opuszczają. Ubytek krwi, palące promienie słońca południowego, ciężar krzyża, obojętność i szyderstwo ludu, tak Go zmęczyły, że iść dalej nie może. Cały tłum ludu i całe gmachy, które mijał i całe miasto zaczęło Mu chodzić kołem przed oczyma. Pociemniało Mu w oczach i chociaż trzymał się całą siłą swej woli, upadł na twardy bruk ulicy.

Trzy razy Zbawiciel na ziemię upada, a każdy upadek coraz cięższy! Za każdym razem zostawił Chrystus Pan po Sobie krwawy ślad, za każdym razem ciernie coraz więcej wbijają się w skroń i krzyż coraz więcej rani podarte barki. Żołnierze rzymscy nie mają litości nad osłabio-

nym Jezusem. Oni już nieraz widzieli płynącą ludzką krew, a za każdym razem czuli się jej zapachem tylko więcej podrażnieni.

Człowiek w tym względzie jest bardzo podobny do zwierzęcia. To też biczami i kijami popędzali Chrystusa Pana i zmuszali do dalszego dźwigania krzyża. Lecz w końcu przekonali się, że Chrystus dalej krzyża nie udźwignie. Trzebaby znaleźć kogoś, ktoby Mu pomógł. Ale to przecież hańba wielka i wstyd nieść krzyż za skazańcem. Któż się podejmie tego obowiązku? Nikt się dobrowolnie nie zgłosił, więc żołnierze korzystając z prawa, jakie im przysługiwało, zmusili wieśniaka Szymona z Cyrene do dźwigania krzyża. Ten z początku wzbraniał się i opierał. Lecz ledwo dotknął się krzyża, ledwie się zbliżył do Jezusa, ledwie popatrzał w Jego Boskie oczy, taką uczuł siłę i moc, że mu już nie wstyd nieść za Nim krzyż. Owszem! Onby go tak pragnął nieść nie tylko na wzgórze kalwaryjskie, ale aż na koniec świata!

Choć słyszy naokoło szyderstwa i śmiechy ludzkie, on przecież każdemu patrzy w oczy śmiało, on triumfuje nad tą całą mizerną tłuszczą, która się nie poznała na słodkości krzyża!

To taka, drodzy słuchacze, ogromna tajemnica Boża! Cierpienie i krzyż straszniejsze są zdaleka. Lecz skoro człowiek podejmie, skoro z poddaniem się woli Bożej weźmie na siebie cierpienie, to ono jest słodkie i miłe. Podobnie jak lekarstwo gorzkie i cierpkie, po pewnym czasie rozchodząc się po całym organiźmie człowieka zmniejsza gorączkę i chłodzi i przyjemność mu sprawia, tak krzyż gorzki i ciężki z początku, sprawia ulgę duszy po krótkim czasie. Istotnie sam P. Bóg nam wtenczas pomaga, wespół z cierpiącym idzie Chrystus Pan i jako dzielił ciężar krzyża z Szymonem, tak też dzieli ciężar krzyża z każdym, który ochotnie krzyż swój podejmuje. Przeciwnie, kto się pod krzyżem rzuca i miota, tego krzyż tem bardziej do ziemi przygniata.

Ileż to razy sam na sobie człowiecze tego doświadczyłeś?

III.

Pochód już zbliża się ku bramie miejskiej. Chrystus Pan już coraz więcej słabnie. Krzyż coraz więcej z ramion Mu spada. Wytęża swych sił ostatek, lecz czuje, że Mu ich na długo nie wystarczy. Wtem drgnął na całem ciele. Oczy mimowoli szeroko się otwarły i patrzą na jedną z postaci przy drodze stojących.

Istotnie przy drodze stoi gromadka osób, która odbija dziwnie od reszty tłumu. Grono niewiast leje ciche łzy, młodzieniec, na którego twarzy niewinność się maluje, patrzy łzawem okiem na idącego z krzyżem Jezusa. Lecz najboleśniejszem ze wszystkich to twarz Marji, Matki Chrystusowej. Bo Ona to stoi w towarzystwie Jana, którego ukochał Jezus i w towarzystwie innych szlachetnych niewiast żydowskich, współczujących z Jezusem i przebolesną Matką Jego Marją. Marja Matka Jezusowa dowiedziawszy się o tem, że żydzi ujęli Jej kochanego Syna, przeczuła, że dla Niego wybiła ostatnia godzina życia. Słowa starego Symeona wyrzeczone w świątyni: „a duszę Twoją przeniknie miecz“ zaczynają się wypełniać. Lecz Ona chce wypić ten kielich przez Boga Jej podany aż do dna. Wie, ile męki będą Ją kosztować te ostatnie chwile Jej jedynego dziecięcia, ale jakżeż nie być obecną przy tej strasznej egzekucji? Jakżeż Mu nie osłodzić ostatnich chwil? Jakżeż Mu nie usłać przynajmniej kwiatami uczuć współczucia śmiertelnej pościeli?!

Jeszcze rano chciała się dostać do pałacu Piłata, chciała się widzieć ze Swoim Synem. Lecz Jej nie dopuszczono, by Go przynajmniej z daleka zobaczyć, byle przynajmniej popatrzeć na Jego twarz zbolałą, byle popatrzeć w Jego Boskie oczy!!

Dowiedziawszy się, że Go na Kalwarję wieść mają, stanęła podle drogi i czeka. A w duszy Jej miecz boleści coraz więcej się pogłębia. Nie płacze, bo boleść zamknęła ujście łez, tylko stoi blada, okryta chustą, niby posąg żałobny.

Pochód się przybliżył...! Idzie Jezus....!

Marjo! Patrz... Ten najbardziej skaleczony, ten, któremu krzyż dźwigać pomagają, to Syn Twój! Czy Go poznajesz!?

Widzisz?! Na ramionach Jego ta sama suknia, którąś Mu Ty tkała, tylko, że strasznie zbrukana krwawem błotem. To ten sam Jezus, któregoś Ty całą duszą ukochała, to ten sam Jezus! Tylko, że twarz Jego zapuchła i krwią zbryzgana, tylko że na głowie Jego cierniowa korona!

Patrz! to Syn Twój! tylko, że dźwiga krzyż, na którym Go wkrótce żołnierze powieszą, tylko, że idzie między zbrodniarzami, bo Go starsi żydowscy królem zbrodniarzy nazwali. Tak Marjo! to Syn Twój! to Syn Twój jedyny! Patrz co z Niego ludzie zrobili!

O tak! Marja poznaje Swego Syna nawet w tej strasznej masce z krwi i potu i ulicznego błota! Jej serce zabiło mocniej! Tak! to On! mój drogi Syn! Wytężyła siłą woli wzrok swój ku Jezusowi! A Jezus spojrzał w stronę, gdzie stała Matka. O! jakżeż bolesnem było to spojrzenie?! Mówił wzrokiem Jezus Matce swej: „Matko żebyś Ty wiedziała, jak to boli?! Matko! żebyś Ty wiedziała, jak bardzo kolą ciernie?! jak wiercą w mózgu, jak przebijają całą głowę?! Ale jeszcze wiecej Matko boli to, że mnie ten lud, który ukochałem ze zbrodniarzami zrównał, że mną wzgardził i nienawistnem okiem na mnie spogląda! Ale najwięcej boli to, że Ty, moja Matko, tak przezemnie cierpisz, że Tyś taka zbolała dla mnie i przezemnie!“ I żalił się przez tę jedną sekundę Jezus przed Matką Swoją, niby to dziecina konająca. Spojrzała też i Marja na Swojego Syna. Krótkie było to spojrzenie, krótkie jak błyskawica, bo żołnierze naglili z pochodem, lecz Marja tyle powiedziała Jezusowi tem spojrzeniem swojem! „Synu mój! jabym tak pragnęła dźwigać wespół z Tobą krzyż Twój — jabym tak chętnie zastąpiła tego człowieka, który za Tobą krzyż niesie, lecz oni mnie nie dopuszczą! Synu! Dziecię! Ja wiem, że Ci ciężko! Ja wiem, że upadasz pod krzyżem i czują,

jak za każdym upadkiem Twoim we mnie się dusza drze w kawały, lecz nieś dalej Twój ciężar, wychyl kielich męki aż do dna! Synu cierp! to dla ludzi! Oni przejrzą i żałować będą czynu swego Idź mój Jezu! Idź aż na szczyt góry! A i Ja pójdę za Tobą i będę współcierpieć i współdziałać z Tobą w odkupieniu ludzi!"

I moc wstąpiła w Chrystusa. Dobył resztek sił i podążył na Kalwarję, a za Nim zbolała Matka Jego ślad w ślad!

Człowiecze! krzyż dźwigać musisz! innej drogi dla ciebie niema! Czy chcesz, by ci kto dodał otuchy i siły do tej żmudnej kalwaryjskiej drogi życia? Jeśli chcesz mieć pomoc, to zwróć się do Marji! Ona zna dobrze tę drogę bolesną, bo ją wespół z Synem Swoim odprawiła. Idź do Niej! a Ona ci siły doda — pójdzie przed tobą i będzie z drogi usuwać wszystkie kolce i nierówności!

Marjo! bądź nam przewodniczką w drodze tego życia! Amen.

KALWARJA.

Kalwarja! Kto tego wyrazu nie słyszał? Tak, jak niema człowieka prawie, któryby nie znał Imienia Jezus, tak też niema człowieka, któryby nie słyszał wyrazu Kalwarja!

Kalwarja — to miejsce najstraszniejszej zbrodni, jakiej się kiedykolwiek człowiek dopuścił. Na tym pagórku małym, znajdującym się po północnej stronie dawnej Jerozolimy, człowiek wyciągnął rękę na swego Stwórcę i Pana. Pagórek ten niewielki spłynął najniewinniejszą, najczystszą krwią Odkupiciela świata. Tu człowiek pokazał tak jak nigdzie złość i upodlenie swoje, tu poniżył się więcej niż dziki zwierz, bo nawet zwierz dziki odstępuje swej ofiary, kiedy żądzę krwi zaspokoił.

Kalwarja! to miejsce, z którego okup za grzechy świata wstąpił do nieba. Krew Jezusa Chrystusa spłynęła nie tylko na ziemię, by ją obmyć z brudów grzechowych, by ją użyźnić, uprawić! Ona podniosła się też i ku górze, niby ta krew niewinnego Abla, podeszła aż pod bramy niebios, aż przed tron sprawiedliwego Boga i wybłagała u Pana przebaczenie, wykołatała otwarcie bram niebieskich dla błąkającej się w ciemnościach nocnych i w cieniu śmierci biednej, przeklętej ludzkości.

Kalwarja! to wreszcie słońce, koło którego się cały świat obraca, którego promieniami się ogrzewa i oświeca! Istotnie jak koło słońca krążą miljony ciał niebieskich, a żadne z nich nie może zejść z swej drogi, tak koło Kalwarji obracają się wszystkie wypadki dziejów świata, wszystkie narody, wreszcie niby satellity małe, wszystkie dusze ludzkie.

Ktokolwiek w ciągu minionych dziewiętnastu wieków chciał żyć życiem prawdziwem, życiem Bożej łaski, musiał się zwracać ku Kalwarji! A od Kalwarji szły promienie łaski Bożej i rozgrzewały dusze i sprawiały w nich życie prawdziwe. Kalwarja jest zatem dla ludzi miejscem świętem.

Wstąpimy dzisiaj w duchu na to miejsce święte i przypatrzymy mu się zbliska. Przyglądniemy się Chrystusowi Panu, jak na krzyżu zawisnął między niebem a ziemią i przyglądniemy się tym różnym osobom, które pod krzyżem Chrystusowym stały. Wejdziemy w ich dusze, w ich myśli i uczucia, jakiemi się ku Chrystusowi Panu przejmowały. — Lecz trzeba wam wiedzieć, że Kalwarja, a raczej męka kalwaryjska, nie skończyła się w tych trzech godzinach konania Chrystusowego, w piątek przed żydowskiemi świętami. Chrystus Pan do dzisiejszego dnia wisi na krzyżu, przybijany do niego gwoździami ludzkich grzechów. A jak ongi, w ów pamiętny dzień wielkopiątkowy, różny lud zebrał się pod krzyżem i różnemi uczuciami względem krzyżowanego Jezusa się przejmował, tak samo też i dzisiaj różni patrzą na Jezusa krzyżowanego i różnie też biją serca ludzkie ku Niemu.

Na Kalwarji stali pod krzyżem *a)* wrogowie Jezusa Chrystusa, *b)* ludzie obojętni, których cała scena ukrzyżowania mało obchodziła, *c)* miłośnicy Jezusa Chrystusa. Na takie same trzy rodzaje można podzielić wszystkich tych, którzy na Kalwarję wstępują i na Chrystusa Pana patrzą.

Wstąpmy za Chrystusem na Kalwarję. Stańmy u stóp krzyża i patrzmy w wiszącego na nim Chrystusa! Do jakiej z tych trzech grup przyłączyć się zechcemy, to już od nas samych zależy. *Z. M.*

I.

Wyszedł Chrystus Pan na miejsce stracenia. Naokoło jak okiem spojrzysz, pełno ciekawych! Któż bo nie ciekawy, jak będzie umierał Jezus z Nazaretu, wielki cudotwórca?! Oczy wszystkich zwrócone ku Niemu. A On

omdlały od boleści składa krzyż przy przygotowanym już dole, w który krzyż miał być wbity. Złożywszy ciężar z bark swoich, stoi Chrystus Pan w swej pokrwawionej szacie. Na głowę Jego pada kilka promieni słońca, które się przez szczelinę chmur, co się nad Jerozolimą powoli gromadziły, przedarły. To samo niebo chce opromienić i oświecić aureolą Tego, który jest niebios pociechą.

On patrzy łaskawie i miłosiernie na lud stojący. Zda się mówić: „Jeszcze chwilkę ludu cierpliwości! a zobaczysz mnie na krzyżu, i dokona się zbawienie twoje!“ Kaci skończyli przygotowania swoje i rozpoczęli egzekucję. Ściągają szatę z ramion Jezusowych, a Jego samego rozciągają na przygotowanem drzewie krzyża. Lud skupia się coraz bardziej. On chce widzieć, jak gwoździe, które kat podaje swemu towarzyszowi, będą się powoli zagłębiać w rękach i nogach Chrystusa Pana, — on chce widzieć, jak będzie tryskał z żył Jego ostatek krwi — On chce słyszeć cichy jęk Jezusa — bo lud lubi krew, lubi jęki boleści! Słychać uderzenia młotem! Z początku tępe i głuche, potem coraz głośniejsze! Kat przebił ręce, potem nogi Chrystusowe i przygwoździł je do krzyża. Echo uderzeń tych strasznych szło aż ponad Jerozolimę i głosiło jej, że się obecnie dokonuje zbrodnia.

Wnet podniesiono krzyż z przybitym Jezusem. Lud zobaczywszy tę bladą postać wydał z siebie pomruk. Tak! doczekałeś się ludu widowiska, na jakie już dawno nie patrzały oczy twoje! Nasyć się widokiem rozciągniętych członków, nasyć uszy twoje ciężkim oddechem Boga-Człowieka konającego! Lud się uciszył. Każdy wpatrzony w górę, na krzyż. A na krzyżu Chrystus Pan! Poorane ranami ciało wylewa z siebie ostatnie krople krwi, które ściekają po krzyżu i wsiąkają w białą glinę. Głowa spada na piersi — oprzeć Jej o krzyż nie może, bo ciernie nie dają. Ręce drą się coraz bardziej wskutek ciężaru całego ciała, które na nich spoczywa. Oczy, chociaż krwią i łzami zaszłe, patrzą wyraźnie i zdają się spoglądać nie tylko

na ten tłum co na Kalwarji się zgromadził, ale na wszystkie ludy, które świat cały zamieszkują, a za które On teraz cierpi.

Kiedyśmy się przypatrzyli krzyżowi i Jezusowi, który na nim cierpi, zechciejmy się rozglądnąć po otoczeniu, przypatrzeć się tym, którzy koło krzyża stoją.

Blisko krzyża, wprost naprzeciw Jezusa Chrystusa, stoją faryzeusze i starszyzna żydowska. Oni to sprawili ludowi to krwawe widowisko! O! jakżeż oni o lud ten dbają!! Nie pozwolą, żeby mu się jakakolwiek krzywda stała, nie dopuszczą, by ktokolwiek miał lud ten pouczać. Ot i ten Jezus! Odważył się mówić prawdę, występować przeciwko starszyźnie i dostał się na krzyż! Wodzą starsi żydowscy dumnem okiem po szeregach ludu, jakby chcieli mówić: „ludu prostaczy! to nam masz zawdzięczać ocalenie swoje!“ i znowu: „biada każdemu, ktoby się chciał naszej władzy sprzeciwiać! Zginie marnie na krzyżu, jak ten oto Jezus!“ To znów podnoszą wzrok na krzyż!

Jezus ciężko robi piersiami. Widać z oblicza, że okropnie cierpi! Usta nawpół otwarte zdają się prosić litości i miłosierdzia! O! jakże się pasą oczy faryzeuszów tym bolesnym widokiem?! Jak każde ich spojrzenie pełne jadu i nienawiści?! Mało im tych gwoździ, które przybiły Jezusa do krzyża. Oniby chcieli, by całe ciało Jezusowe było podziurawione cierniami niby rzeszoto! Lecz, że nie mogą Jezusa z krzyża ściągnąć i napowrót Go katować, to przynajmniej ból moralny, ból duszy Jego sprawią! Wyszydzić Go! Wydrwić Go przed ludem! Co czynicie żydowie?! Patrzcie, Jezus umiera nagi, boście zdjęli szatę z ramion Jego! — Chcecie Mu zabrać i spokój duszy i ze sławy Go zupełnie obedrzeć chcecie?! Tak! niech czuje silną prawicę naszą! „Hej Ty! co się czynisz Synem Bożym! Zstąp z krzyża! Mówisz, żeś Bóg, — Pokażże teraz moc swoją Bożą! Patrz ludu żydowski! Oto oszust, co się czynił Bożym Synem! Widzisz, jak się nędznie dałeś oszukiwać Jemu!“ Szydzić z konającego — to rzecz nie ludzka,

to podłość! Ściągają się nad Kalwarją czarne chmury! Pewnie z tego czarnego sklepienia wypadnie piorun i zmiecie bluźnierców! Nie! Bo On, konający Bóg, nie pozwoli — On się modli za tych, co z Niego szydzą. — Słuchaj! Jezus otwiera usta swe i mówi: „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią!“

Nieprzyjaciele Chrystusa, to pierwsza grupa, która na Kalwarji najwięcej w oko wpada, a zarazem to praojcowie tych, którzy przez wieki całe, aż do końca świata Chrystusowi i dziełu Jego sprzeciwiać się będą. O! bo i dzisiaj nie braknie takich, którzy z lubością patrzą, jak Pana krzyżują złości i grzechy ludzkie! Nie brak i dzisiaj takich, którzyby chętnie patrzeli na Jego skon! Są i dzisiaj nieprzyjaciele Jezusa Chrystusa, którzy nie tylko Go krzyżują, ale nadto szydzą z Jego dobroci i miłości nieprzebranej! Źli! nie mają najmniejszej litości! — Spytacie się może: któż są ci wrogowie Jezusa? O! znacie ich doskonale! Oni żyją między nami! Ci wszyscy, którzy występują przeciwko zasadom Chrystusa, którzy zwalczają naukę Jego, którzy szerzą poganizm w sercach ludzkich, to nieprzyjaciele Chrystusa, którzy Go do krzyża przygważdżają! Ci wszyscy, którzy dają zgorszenie niewinnym, którzy zapomocą namów, złych książek, szpetnych wizerunków, nieczystych rozmów dusze braci swoich zatruwają, trują równocześnie Chrystusa Pana, który dla odkupienia tych dusz na krzyżu umierał!

Ci wszyscy, którzy dobrowolnie przykazania Boże przestępują, to wrogowie Jezusa, krzyżujący Jego! On przecież dla zmazania grzechów na krzyżu konał!

Patrz człowieczel czy ty nie należysz do tych?! Czy ty nie stoisz naprzeciwko krzyża i nie bluźnisz Panu za ciebie cierpiącemu?! Patrz człowieczel czy ty nie jesteś wrogiem Tego, co na Kalwarji za ciebie wśród strasznych konał boleści?!

Słuchaj! Jezus się dziś za tobą odzywa do Ojca: „Ojcze! przebacz mu, bo on nie wie co czyni!“ Patrz!

Konającemi usty tak się za tobą modli! Będzieszże miał tak twarde serce i nie ulitujesz się nad Nim, nie upadniesz do stóp krzyża i nie będziesz Go sam błagał o przebaczenie?!

O! Jezu przebacz!!

II.

Druga grupa osób pod krzyżem się znajdujących, to ludzie obojętni zupełnie na to, co się koło nich dzieje!

Patrzcie! Żołnierze, którzy przyprowadzili Jezusa Chrystusa na Kalwarję i ci, którzy Go do krzyża przybili, spełniwszy swój obowiązek, niewiele się troszczą o to, co się dalej dziać będzie! Rozłożyli się wygodnie pod krzyżem i zabierają się do dzielenia zdobyczy. Było prawo, że szaty skazańca przypadały w udziale katom. Chociaż szata Chrystusa Pana była cała krwią zlana, toć mimo to nie chcieli jej porzucić oprawcy. Że zaś katów było kilku, a szaty szkoda im było niszczyć, więc podzielili płaszcz na części, że był podzielniejszy, a o suknie Jego, jak mówi ewangelja, miotali los!

Jakiż bolesny istotnie widok! Jakaż to nieraz bolesna i straszna scena odbywa się przy łóżku umierającego człowieka, gdy tenże miał to szczęście a raczej nieszczęście, że pozostawił po sobie jakiś spadek, jakąś schedę, jakieś dziedzictwo! Jeszcze chory nie zamknął oczu na sen wieczny, a już koło niego pełno krewnych i przyjaciół! Każdy chwyta, co się tylko da. — W zapamiętałości wydzierają choremu poduszkę z pod głowy! Przeszukują i przetrząsają pościel, na której spoczywał. To zwierzęta nie ludzie, to szakale, które się pasą ciepłą krwią ludzką! to ludzie o wilczem sercu!

Taka scena odbyła się na Kalwarji, pod Jezusowym krzyżem! Jeszcze Chrystus Pan nie zamknął swych oczu, jeszcze nie skonał na swem twardem łożu, a już patrzy na tę wstrętną scenę dzielenia szat swoich!

Siepacze rozłożyli się na ziemi i rzucają kości! Gra, los, ma rozstrzygnąć o tem, kto się ma zbogacić skrwawioną szatą Jezusa Chrystusa. Ludzie! (jeśli was ludźmi nazwać można) podnieście wasze oczy w górę! Patrzcie! nad waszemi głowami człowiek kona! Słyszycie! jak On ciężko oddycha?! Widzicie, jak strasznie pracują Jego płuca?! Czyż nie uszanujecie chwili Jego skonu? czyż nie będziecie mieli czasu później dzielić się szatami? Zejdźcie przynajmniej z oczu Jego! Ustąpcie nieco na bok — zejdźcie na drugą stronę wzgórza, aby On nie patrzał na tę wstrętną robotę waszą! Ludzie! podnieście oczy do góry! Widzicie jakie czarne zwały chmur przewalają się po niebie — jak w nich burza wrze — niby gniew Boży na was?! Ustąpcie! ustąpcie z pod krzyża!

Oni obojętni! Dusza ich nieczuła! Co ich to wszystko obchodzi? Nie wchodzą w to, kto to nad ich głowami umiera! Nie obchodzi ich to wcale, że ten umierający tak gromnie cierpi. Oni już tyle razy patrzali na konających ludzi! Nie pytają się wcale za co On cierpi — tą sprawą niech się zajmują inni. Słyszeli wprawdzie, bo to się koniecznie musiało odbić o ich uszy, że skazany został za jakieś sprawy religijne — lecz religja to dla nich sprawa zupełnie podrzędna, zupełnie bez wagi! Naładować trzos pieniądzmi, zaspokoić głód i pragnienie, to wszystko, czego oni pragną, do czego dążą wszelkiemi siłami. Niechże sobie zatem kona Jezus na krzyżu — Oni sobie mogą pod krzyżem rzucać kości o szatę Jego i dzielić się Jego płaszczem!

Ludzie bez duszy ludzkiej! Obojętni! Nie przeczuwali wcale kaci Chrystusowi, że w ciągu wieków znajdą całe masy swoich gorliwych naśladowców, że będą praojcami pokoleń całych, które na wzór ich będą obojętnem i suchem okiem patrzeć na konającego Chrystusa Pana!

Obojętność religijna, to taka rzecz rozpowszechniona, zwyczajna! Co mi do tego wszystkiego, co uczy Chrystus i kościół Jego?! Co mnie to może obchodzić?! Co mi do tego, że dziś wrze na całej linji walka przeciwko temu

Ukrzyżowanemu Bogu-Człowiekowi? Co mnie to może obchodzić?! Bylem ja mógł wygodnie sobie żyć i spokojnie, byle mój trzos był pełny, byle żołądek był syty, byle było zdrowie, to mnie już wszystko inne obojętne!

Krzyżuje świat Chrystusa! Niech sobie Go krzyżuje! Szydzi świat z Niego i sprzeciwia się Mu?! A niech sobie będzie! Ja sobie usiądę wygodnie pod krzyżem Jego, a może mi się uda jeszcze co przy tej okazji zyskać?! Siądę pod krzyżem, a może uda mi się zedrzeć z Niego szatę?

To ludzie o wilczem sercu, to ludzie, którzy tak przylgnęli do ziemi, że oczu swych w górę wznieść nie potrafią! to ludzie zimni, wyrachowani, — serca, które nie wiedzą i nie rozumieją, co to ideał, co ofiara, co poświęcenie. Bogiem ich jest brzuch! A taki dziś świat! Kto się dziś chce poświęcić dla jakiejkolwiek idei? a tem bardziej, kto się znajdzie dziś taki, coby zechciał nadstawić piersi w obronie Chrystusa?! Minęły u nas czasy poświęceń! Ludzkie dusze, to już nie lotne ptaki, to nie orły, co po błękicie szybują, to płazy, które się w błocie lęgną, w błocie giną!

Do takich powiada Chrystus: „Obyżeś był gorący albo zimny, ale żeś jest letni, przeto pocznę cię wyrzucać z ust moich". Dante powiada, że takich obojętnych ludzi, co nie mają żadnego zapału, żadnych idei, ani dobrej, ani złej, nawet piekło w swe posiadanie przyjąć nie chce.

A Ty przyjacielu?! Jakimże jesteś?!

III.

Popatrzmy na trzecią grupę stojących pod krzyżem. Są to dusze życzliwe Jezusowi Chrystusowi, są to osoby drogie Jego sercu. Stoją opodal niewiasty jerozolimskie i płaczą cicho. Spoglądają od czasu do czasu na bolejącego Jezusa, lecz wzrok ich nie może dłużej spoczywać na Jego zbolałem ciele — dusza ich pęka od żałości. Stoi Jan najukochańszy Jego uczeń. On stoi blisko krzyża. Nie lęka się nieprzyjaciół Jezusowych, nie boi się ludu, który go mógł

podobnie jak Mistrza wyśmiać i wyszydzić — nie lęka się nawet śmierci. Stoi pod krzyżem, a w sercu Jego gotuje się myśl: o gdyby tak można wespół ze Zbawicielem umrzeć — o gdyby tak można dzielić z Nim ból i mękę?! A tuż pod krzyżem upada na twarz Marja z Magdala, ta wielka ongi grzesznica, a obecnie miłośnica krzyża. Ukryła twarz swoją w dłoniach, rospuściła włosy na znak żałoby a łzy płyną obficie po Jej obliczu! Niektórzy z tłumu szydzą i urągają jej — kpią z jej świętego uczucia. Oto! niewiasta bezwstydu! Śmie się przyznawać do tego, co na krzyżu za zbrodnię kona! Słyszy te szyderstwa Magdalena, ale one są dla Niej słodkie i miłe: „O Jezu! mówi ona niewiasta — jakże słodką jest rzeczą być zelżoną dla Ciebie?! Tyś mnie nie odtrącił wtenczas od Siebie, gdy wszyscy mną wzgardzili, gdyś u stołu Szymonowego w gronie starszych siedział. — Tyś mnie nie odrzucił, gdym się rzuciła całować nogi Twoje, Tyś mnie nie odrzucił, gdym u stóp Twych przebaczenia żebrała, a ja miałabym się wstydzić Ciebie, gdy Ty niesprawiedliwie skazany na krzyżu konasz?! Nie! nigdy!“ I zbliżyła się aż do krzyża samego, objęła rękami to twarde skrwawione drzewo i przycisnęła się do niego i okryła je pocałunkami. Odtąd pójdzie przez życie z krzyżem w sercu i z imieniem Jezus na ustach! Stoi też i Marja Matka Jezusowa. Ta najczulsza z matek, najświętsza z istot stworzonych stoi i patrzy! Szydzą z Niej ludzie. Rozchodzą się szepty: „Patrzcie! oto Matka Jezusa z Nazaretu! Patrzcie! to Ona!“ Oczy ludzkie przeszywają Ją ze wszystkich stron! Lecz Ona tego wszystkiego nie słyszy! Ona na nic nie zważa! Ona stoi i patrzy w konające oblicze Jezusa Swojego. — Patrzy i porównuje tego Jezusa zbitego, skrwawionego z oną maleńką dzieciną, którą przed trzydziestu laty w stajence w Betlejem pieściła. W myśli przechodzi te wszystkie minione lata! Minęły one jak błyskawica, jak dzień jeden. A oto teraz spełnia się proroctwo Szymona: „a duszę Twoją przeniknie miecz!“ I czuje Marja, jak ten miecz boleści coraz bardziej w du-

szy się pogłębia, jak się coraz bardziej zanurza. Boleje lecz nie wyrzeka, nie szlocha, nie buntuje się przeciwko woli Bożej. Usta Jej coś cicho szepcą. Słuchaj! Ona się modli: „Oto ja służebnica Pańska, niech mi się stanie według słowa Twego:“ Tą modlitwą, którą rozpoczęła swój stan Boga-Rodzicielki, powtarza w chwili konania, Syna swego. Zrozumiał tę modlitwę Matki konający Syn! „Dziękuję Ci Matko, mówi do Niej z krzyża — za wszystko! — wszystko, coś dla mnie uczyniła — a najwięcej za to, żeś na stanowisku do końca wytrwała, że mnie pod krzyżem nie opuściłaś. Matko! ja odchodzę z ziemi! Zostają jednak ci, których ukochałem, ludzie, za których umieram. Bądź im matką!“ „Oto Syn Twój!“ To ostatnie pożegnanie z Matką.

Tych kilka osób, stojących pod krzyżem, kochało Jezusa całą siłą swej duszy. To też Jezus ich kochał i z krzyża do nich przemawiał i błogosławił im. Dusze te wzmocnione Bożą łaską, tą dziwną siłą niebieską, już się niczego nie lękały. Nie straszne im ni groźby, ni przekleństwa tłumu! Stoją otwarcie po stronie Chrystusa! Kochali Go, gdy chodził w sławie, niby w słońcu, gdy cała ziemia żydowska rozbrzmiewała chwałą Jego — nie zaparli się Go, gdy był w poniżeniu i wzgardzie! To prawdziwi przyjaciele!

Ilu też znajdą w ciągu wieków naśladowców swoich?! Niestety! Ich samych w porównaniu z tłumem, który stał na Kalwarji, była tylko cząstka mała! To też i naśladowców nie będzie wielu! Prawdziwych czcicieli i miłośników Jezusa jest nie wielu! Czy może ich wcale niema? Nie! tego powiedzieć nie można! Żyją nawet i w dzisiejszym świecie dusze prawdziwie szlachetne, żyją serca, które patrząc na to, jak nieprzyjaciele krzyżują Chrystusa Pana, stają odważnie pod krzyżem, gotowi w tym znaku walczyć i zwyciężać. Są dusze, które na wzór Marji Magdaleny przyciskają krzyż do swego serca i idą z nim przez całe życie! Lecz jakże mało?!

Do których ty człowiecze należysz? Spytaj się sam swego serca. Jeśli ono ci powie, że należysz do przyjaciół Chrystusa, że chętnie stoisz pod krzyżem, że chętnie sam krzyż dźwigasz, toś szczęśliwy! Lecz jeżeli przeciwnie, serce ci powie, że stoisz w szeregu nieprzyjaciół Jego, toś biedny!

Dziś masz jeszcze czas! Zmień swoje stanowisko! Przytul głowę do krzyża,... ucałuj krwawe stopy i wołaj: „O Jezu! przy Tobie! Jezu!... z Tobą na wieki!! Amen.

KAZANIA PASYJNE

SIEDM SŁÓW P. JEZUSA NA KRZYŻU

KAZANIE I.

„Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią".

Najmilsi! Pójdźcie dzisiaj duchem za mną, a pokażę wam obraz, który dziwnie przejmie serca wasze. Patrzcie! Na łożu boleści leży człowiek. Twar jego blada, prawie żółta — policzki zapadłe, na zmarszczonem czole krople potu płyną, jak krople rosy na zagonach roli. W oczach jego łza, może ostatnia, którą jeszcze ma w zapasie, w ręku trzyma krzyżyk i przyciska do serca, obok łoża stoi grono osób.

Czemuż oni tak skupieni, czemu po ich policzkach płyną łzy gorące?

Najmilsi! Ten człowiek, to ojciec, który wkrótce świat ten pożegna. Spełnił kielich swojego żywota, spełnił go aż do dna, a oto teraz usłyszał głos wołający: „Włodarzu! zdaj liczbę z włodarstwa twojego!" On już wkrótce stanie przed Bogiem, lecz wprzód chce się pożegnać z dziećmi, co sierotami na ziemi zostaną, chce im dać ostatnie napomnienie, chce, nim zamknie oczy na wieki, rozdzielić między nie majętność swoją, chce im jeszcze raz położyć na skroń swą drżącą rękę i udzielić im ojcowskiego błogosławieństwa.

Dzieci przystępują do łoża, nadstawiają ucha na to, co im ojciec powie i chowają to głęboko w sercu swojem, bo to ostatnie słowo ojca, będzie dla nichw ciężkiem życiu pociechą i ochłodą.

Z taką samą, owszem stokroć większą uwagą i skupieniem pójdź za mną dzisiaj człowiecze, a zaprowadzę cię

do łoża innego ojca, abyś wysłuchał jego ostatniej woli, jego testamentu, abyś wziął od niego ostatnie błogosławieństwo. Pójdź za mną za bramy miasta Jerozolimy na wzgórek zwany Golgota t. j. Trupiej Głowy. Na szczycie stoi łoże — okrutny twardy krzyż! Na łożu tem spoczywa, co mówię, wisi postać człowieka. Oczy mgłą mu zaszły, policzki zapadły, a na skroniach jego perlą się krople potu zmieszanego z krwią.

Około tego łoża skupiają się tłumy ludu. Cóż to wszystko znaczy? Kto umiera na tem strasznem łożu?! To ojciec ludzkiego rodzaju kona, przybity do krzyża przez własne dzieci! Chociaż umiera wśród niewypowiedzianych boleści, chociaż mówić nie może, jednak chce się pożegnać z dziećmi swemi, chce im objawić swą ostatnią wolę, chce przed nie wylać ostatki uczuć, jakie ku nim żywi, chce im zostawić w spuściźnie najwznioślejsze myśli swoje. Otwiera przeto swe skrwawione wargi i odzywa się siedmkroć, a te jego odezwania, to najdroższa spuścizna, którą nam wszystkim zostawić raczył!

Pójdźmy bracia najmilsi! Pójdźmy dziś wszyscy razem do tego łoża boleści, stańmy wszyscy społem pod krzyżem! Tam wisi Bóg-Człowiek, Ojciec i Odkupiciel nasz, a my Jego dzieci, bośmy dzieło rąk Jego, bośmy okup Krwi Jego Najświętszej!

Pójdźmy i nadstawmy uszu, bo w czasie tego wielkiego postu On sam będzie nam tłumaczył wolę swoją, będzie przemawiał do dusz naszych. Tam każdy z nas znajdzie błogosławieństwo, słowo pociechy, dar wyjęty wprost z pod serca Jezusowego.

Matko bolesna! Ty wypraszaj łaski, Ty nas prowadź pod krzyż, Ty sama w okresie wielkiego postu chciej nam tłumaczyć wolę Syna Twego, my Cię o to prosimy. *Z. M.*

I.

Człowiecze! Skup uwagę Twoją i wpatrz się wszystkiemi siłami twej duszy w Jezusa wiszącego na Krzyżu!

Wpatrując się weń, staraj się zrozumieć całe morze nie zgłębione boleści cielesnych, które On na krzyżu wisząc przecierpiał. Wielkie są cierpienia człowieka konającego choćby skon odbywał się na najwygodniejszem łożu. Cóż dopiero skon na twardem drzewie krzyża?! A na takiemto łożu konał Zbawiciel świata. Przypatrzmy się jak On cierpi w pojedynczych członkach Swego ciała.

Przypatrz się duszo Jego świętej głowie!

„Wejrzyj na głowę skłonioną, ostrą koroną zranioną,
Głogową też i cierniową, gwałtem na głowę wciśnioną".

Kolce korony, którą Mu rozbestwieni żołnierze na głowę wcisnęli, wbijają się w Nią i napełniają Jezusa takim bolem, że od niego samego musiałby zginąć, gdyby Go Boska moc przy życiu nie utrzymywała. Chce Chrystus oprzeć swą najświętszą głowę o drzewo krzyża, lecz ile razy ją skłoni, ciernie tem głębiej wbijają się w czaszkę, przebijają sam mózg, powiększając ból do ostatnich granic. Włosy Jego, te długie, piękne włosy, których nigdy nożyce nie dotknęły, zlepone krwią obficie z pod cierni płynącą, złączyły się w sploty niby powrozy. Czoło pokryte krwią, zmieszane z potem, tym zimnym potem, który jest znakiem bliskiej śmierci.

Popatrz człowiecze na Jego oczy, na te oczy święte, które z taką miłością patrzały na lud biedny, te oczy, które tak czule spoglądały na grzeszną Marję z Magdala, kiedy u stóp Jego zmiłowania szukała, co z taką miłością patrzały na Piotra po jego zaparciu, że począł gorzko płakać, te oczy, które nawet dla Judasza biły blaskiem przebaczenia. One teraz zamknięte. Czemu? Zalała je krew, ciężą na nich powieki, bo już dzień trzeci jak się snem nie pokrzepiły.

Patrz na twarz! Powiedzał prorok, że On jest najpiękniejszym z synów ludzkich. Jakżeż bo piękną była ta twarz Syna Niepokalanej Marji?! A teraz patrz na nią! Prorok widząc ją w duchu powiada: „że na niej widać tylko spuchły raz". Bo ileż to razy w tę świątą twarz ude-

rzono? Zaledwo się Jezus ująć pozwolił w ogrojcu, aliści na Niego godzą i w twarz uderzają siepacze. W twarz biją raz po razu w ciemnicy, naigrawając się z Niego żołnierze, plując na to oblicze, na które aniołowie z podziwu patrzeć nie śmieją. Ona teraz cała zapuchła, siniec koło sińca, a wśród nich płynie obficie krew i obmywa twarz z tych plwocin, których Mu żołnierze nie szczędzili.

Spoglądnij na Jego usta! One takie słodkie! Z nich płynęły słowa, które przenikały dusze nawylot, z nich płynęła pociecha dla zmartwionych, dla cierpiących, one wymawiały słowa tak potężne, że pod ich wpływem chorzy dobrze się mieli, a umarli z grobów powstali. Z ust tych piła Matka Jego Najśw. Marja Panna słodycz nadziemską, kiedy je w dziecięcych latach całowała. A teraz jakżeż one wyglądają?! Wargi poszarpane przez bicie, skaleczone przez potrójny upadek na twarz, zeschnięte od pragnienia, na pół otwarte.

A gdzież spoczywają ręce Jego? Te ręce, które tyle razy błogosławiły ludowi, które się kładły tyle razy na główki dziecięce, teraz podziurawione gwoździami, przylegają do twardego drzewa krzyża. Potargane żyły i ścięgna i wszystkie stawy wyciągnięte, tak jak się wyciąga struny na instrumencie. Kości wyszły z miejsc przeznaczenia swego, bo jak mówi Dawid: „Policzyli wszystkie kości moje". Ps. 21, 18.

A te nogi święte, które się tyle nachodziły, by szukać owiec, które były zginęły w Izraelu, te nogi, które przeszły wzdłuż i wszerz całą krainę żydowską, niosąc wszędzie za sobą błogosławieństwo, one już więcej nie pójdą, już nie poniosą Jezusa, tam gdzie nędza, nie poniosą Go więcej tam, gdzie Go ludzka wzywa potrzeba. Czemuż, mój Jezu, nie spieszysz tam, gdzie czekają tłumy ludu, byś im Bożą naukę opowiadał?! Nie mogę!.... Dlaczego nie możesz o Panie?.... Bo mi lud własny uwięził nogi moje, przybił do krzyża jak ostatniego złoczyńcę, „przebodli ręce moje i nogi moje". Ps. 21, 17.

Na własnych ranach wisi Pan Jezus. Choćby się chciał ruszyć, nie może. Nie ruszy głową, bo ją jeszcze więcej okaleczy, nie ruszy ręką ni nogą, bo one do krzyża przygwożdżone. Serce bije nierówno, język wyschnięty — „stało się serce moje jako wosk topniejący wpośród żywota mego, wyschła jako skorupa siła moja, a język mój przysechł do podniebienia mego". Ps. 21, 15 — 16.

Kto to kona na tem strasznem drzewie? Pomyśl człowiecze! — Syn Boży!! Kto Go tak wysoko wyprowadził? Człowiek!... Za co?.... Za to, że był dobry, że przeszedł ziemię wszędzie dobrze czyniąc, a nic złego nie uczynił. Lud zaślepiony, porwany dziką żądzą krwi patrzy z upodobaniem na krzyż i woła złowrogo: „Krew Jego na nas i na syny nasze!" Krwi...! Krwi!... nam Jego potrzeba! Krwi nam się Jego chce!... Winien jest śmierci!... niech umrze!... Ukrzyżuj Go!.... Ukrzyżuj!...

Spełniona wola twoja ludu. Patrz! On już kona, On już niemocny, nie minie dzień, nie zajdzie jeszcze słońce, a On życie zakończy. On już krew wylał zupełnie, już Mu jej tylko kilka kropli w sercu zostało, więc już zaspokojona twoja ludu szalona żądza świeżej, gorącej krwi.

Lecz jeszcze mało! Jeszcze mało cierpi. To cierpi ciało Jego, niech jeszcze pocierpi i dusza.

II.

Według prawa rzymskiego osoba, choćby największego zbrodniarza, była świętą wtedy, kiedy zbrodzień karę ponosił. Nie wolno było nikomu z niego się naśmiewać, nie wolno było urągać boleści jego i jego cierpieniom. Lecz dla Jezusa prawo nie istnieje! Zaledwo lud zobaczył Chrystusa podniesionego z krzyżem w górę, ledwo zaspokoił dziką żądzę krwi, pragnie czegoś więcej. Lud chce, by ofiara jego odczuła równocześnie boleść na duszy. O, jak to ciężko na sercu, gdy nas kto w czasie cierpienia miasto pocieszyć dręczy i słowy nam dokucza? Zdaje nam się wtedy, że podwójnie cierpimy. A Jezus wśród swych mąk, wśród cierpień ludzkie przechodzących pojęcie, czy

usłyszał choć jedno słowo pociechy? Czy do uszu Jego doszedł choć jeden głos: „żal mi Go, On niewinny?“

Nie! Słuchaj! Jakiś dziwny pomruk idzie od tłumu do uszu Jezusowych. Naprzeciw krzyża wprost twarzy Jezusowej stoją kapłani z świątyni, faryzeusze, uczeni w piśmie, lud podbuntowany przez nich i szydzą z Niego: „I stał lud patrząc i naśmiewali się z Niego i przełożeni z nimi“ Łuk. 23, 35.

Przedniejsi kapłani z doktorami i ze starszymi mówili: „innych zachował, Sam siebie zachować nie może, jeżeli jest król żydowski, niech zstąpi z krzyża, a uwierzymy Jemu — dufał w Bogu, niech Go teraz wybawi, jeśli chce, bo powiedział, że jest Synem Bożym“. Mat. 27, 41—43.

„Niechże teraz Chrystus, król żydowski zstąpi z krzyża, abyśmy ujrzeli i uwierzyli.“ Mar. 15, 32,

Nawet żołnierze rzymscy, choć ich ta nienawiść ludu żydowskiego ku Jezusowi nic nie obchodzi, pociągnięci przykładem, łączą się razem z ludem, bluźnią Jezusowi i wołają szyderczo ku Niemu: „Jeśli Tyś jest król żydowski, wybaw się sam“. Łuk. 23, 37.

Nawet przechodzący mimo, nie dają Mu spokoju, lecz bluźnią i wołają: „Hej! co rozwalasz kościół Boży, a za trzy dni go zasię budujesz, zachowaj sam siebie. Jeśliś Syn Boży, ztąp z krzyża!“ Mat. 27, 39—40.

Tak to do boleści niezmiernej ciała dołączają się złowrogie szyderstwa tłumu i ranią to serce święte pierwej, nim je przebije włócznia Longina setnika.

O szalona złości ludu! Przecież dzikie zwierzęta, gdy zaspokoją żądzę krwi, opuszczają swą zdobycz i nie szydzą ze swej ofiary! A ty zaciekły ludu żydowski tak strasznie kpisz, tak złowrogo szydzisz ze swej ofiary, ofiary niecnej, podłej zemsty twojej!

Zaczekaj zły ludu! Wstrzymaj się! Zamilknij! bo za chwilę może się ziemia rozstąpi i pożre cię, jak pożarła tych, co się ongiś Mojżeszowi sprzeciwiali! Zaczekaj! za

chwilę spadnie może ogień, stokroć gorszy jak ten, co spadł na Sodomę i Gomorę i spali ciebie ludu i miasto Jerozolimę, że nie zostanie nikt, ktoby pokoleniom opowiedział o tej strasznej karze.

Czy ty wiesz ludu, kogoś do krzyża przybił?! Czy ty wiesz, kto jest Ten, z którego sobie szydzisz?! To Bóg! — To Stwórca! To ten, który zapowiedział, że wszelki bluźnierca Imienia Bożego śmiercią umrze.

Czy spełniła się zapowiedź Boża? Czy spadła kara na bluźniący i krzyżujący lud? Nie! Słuchajcie wszyscy! Słuchajcie! bo Jezus podnosi powieki, otwiera oczy łzą i krwią zaszłe, próbuje oderwać rękę od krzyża, lecz nie może, oczy tylko ku górze podnosi, otwiera usta, chce przemówić. Słuchajcie! Zapewne zawoła: „Ojcze! Piorunów żądam, Ojcze! gromów żądam od Ciecie na ukaranie ludu!“ Czy tak będzie przemawiał Chrystus? Nie! Słuchaj ludu... Jezus otwiera zeschłe wargi... chce mówić. Słuchaj ludu, bo padnie słowo, którego jeszcze nigdy ziemia nie słyszała... „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią!“

Jezu! więc nie zstąpisz z krzyża, jak oni od Ciebie żądają?

Nie — bo od krzyża uciec, to rzecz ludzka. Ja chcę na krzyżu umrzeć na okup świata.

Jezu! to nie ukarzesz ludu szydzącego z Ciebie?!

Nie! bom ja ich uczył modlitwy: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“. Nie! — bom ja głosił: „miłujcie nieprzyjacioły wasze, czyńcie dobrze tym, którzy was nienawidzą.“ Ja im przebaczę, bo żądam od nich, aby i oni darowali winy nieprzyjaciołom swoim.

Tak to człowiecze Chrystus Pan Mistrz nasz i Zbawiciel, konając na krzyżu daje nam przykład, jak należy nawet wrogom urazy przebaczać.

III.

A czy ludzie zrozumieli tę naukę Chrystusową? Przyjacielu! Czy ty przebaczasz te małe usterki, które bliźni względem ciebie popełnił? Przypomnij sobie, jak to wpadałeś w gniew o jedno słowo wyrzeczone przeciwko tobie — przypomnij sobie, jak o drobiazg wpadałeś w szał i żądałeś zemsty?! Tak! Idź się pomścić na nieprzyjacielu twoim, idź, utop żelazo w sercu jego. Lecz zanim pójdziesz, spojrzyj na Czrystusa wiszącego na krzyżu, przypatrz się ranom Jego i posłuchaj tego wielkiego przykazania, które ci w testamencie zostawił: „Ojcze odpuść im, bo nie wiedzą co czynią“,

Pomyśl człowiecze, że przyjdzie czas, kiedy i ty staniesz przed sędzią Chrystusem i będziesz czekał przebaczenia. Pomyśl, że wtenczas tylko będziesz miał prawo prosić o przebaczenie, jeśli ty przebaczysz krzywdę, którą ci twój bliźni wyrządził. To też, zanim odejdziesz dzisiaj od krzyża, zrób sobie mocne postanowienie, że przebaczysz wszystkim, do których w sercu nosisz urazę, zanim odejdziesz, zawołaj z głębi duszy do konającego na krzyżu Jezusa: „Jezu! przebaczam wszystkim, lecz przebacz i Ty nieprawości moje!“ Amen.

KAZANIE II.

„Dziś ze mną będziesz w raju".

Co to za słodkie słowo, które wyrzekł Chrystus na krzyżu do pokutującego łotra! Wskazuje ono, że dla pokutującego nigdy niebo nie zamknięte, że dla żałującego serce Jezusowe, wnętrzności miłosierdzia Jego, zawsze otwarte. Miłosierdzie Boże, jest to ten przymiot, który sprawia, że skoro Bóg zobaczy człowieka grzesznego płaczącego za grzechy swoje z pobudki nie ziemskiej, lecz z pobudki wyższej, nadnaturalnej, natychmiast grzech przebacza i duszę zeszpeconą napowrót szatą łaski odziewa. Miłosierdzie Boże jest to przymiot dla nas bardzo miły, a to dlatego, że go najwięcej potrzebujemy. Któż bowiem jesteśmy my ludzie? Myśmy wszyscy grzeszni, myśmy wojsko zbuntowane przeciw temu mocarzowi, co aniołów z nieba do piekieł strącił, myśmy ustawiczni szydercy z mocy i majestatu Bożego, z nieskończonej świętości Bożej. I gdyby Bóg zechciał, mógłby nas w jednej chwili zetrzeć z powierzchni ziemi. A dlaczegoż tego nie czyni? Bo miłosierdzie, a miłosierdzie bez granic, bez końca, wielkie jak sam Bóg, na to mu nie pozwala. My grzeszymy wprawdzie, dopuszczamy się zbrodni, lecz by był człowiek najgorszy, to złość jego jest skończona, a miłosierdzie Boskie jest nieskończone, i nawet złościami całego świata, owszem miljonów światów wyczerpać się nie da. I stąd płynie dla nas pociecha, pociecha bezmierna. Bo powiedzmy sobie szczerze, tak jak nam serce dyktuje, co nam na świecie najwięcej smutku sprawia? Grzeszne sumienie. Dlaczego? Bo ono chodzi za nami jak zła zmora i ani na

jedną chwilkę nas nie opuszcza. W tym ciężkim stanie pociechą dla nas jest ta prawda, że miłosierdzie Boskie jest nieskończone i jak długo człowiek na świecie żyje, tak długo mu o swej duszy zbawieniu rozpaczać nie wolno! Wzór tego bezgranicznego miłosierdzia dał nam P. Jezus w czasie męki swojej. Chrystus zaniósłszy modlitwę za wszystkich grzeszników: „Ojcze! odpuść im, bo nie wiedzą co czynią", zwraca się do pojedyńczego człowieka, do łotra obok Niego wiszącego, a widząc żal w sercu jego, zbrodnię mu odpuszcza".

Stańmy znów dzisiaj pod krzyżem i wysłuchajmy drugiego słowa, które Jezus z krzyża wymówił. Słowa te wyrzeczone do łotra prawego: „dziś ze mną będziesz w raju" napełnią nas słodką pociechą. Lecz z drugiej strony nauczymy się od łotra lewego, jak niebezpieczną rzeczą jest odkładać nawrócenie do Boga na ostatnią chwilę. Zechciejcie tych bardzo ważnych prawd, które wam za łaską Bożą wyłożyć chcę, wysłuchać z uwagą i skupieniem, a o pomoc do tego potrzebną, poprośmy Ducha św. przez przyczynę Najśw. Marji Panny, ucieczki grzeszników. *Z. M.*

I.

Na górze Golgotha stały trzy krzyże. Na jednym z nich, środkowym wisiał P. Jezus. A któż wisi na dwóch innych krzyżach? Wiszą na nich dwaj łotrowie. W więzieniu znajdowało się dwóch ludzi, których życie wypełniały zbrodnie. Zajęciem ich był rozbój na drogach. To też ręce ich wylały w ciągu życia wiele krwi niewinnej. Żydzi, a raczej faryzeusze i kapłani żydowscy chcąc dokuczyć Chrystusowi i zadać Mu nie tylko śmierć fizyczną, lecz i moralną, powiesili po dwóch stronach krzyża Jego, dwóch zbrodniarzy, dwóch zbójców, chcąc przez to powiedzieć ludowi: „Oto zbrodniarz nad zbrodniarze!... Oto wódz zbrodniarzy!" Krzyże, na których wisieli złoczyńcy były ustawione tak, że wiszący na nich łotrowie mogli dobrze

widzieć twarz Chrystusową. Patrzali też na wszystko co się działo, patrzali na krzyż Jezusa, widzieli i zrozumieli że lud najwięcej na Niego nastawał. Dziwnem im było, że lud zapomniał, — zdało się — o nich, choć w życiu swem tyle mu zbrodniami swemi krzywdy wyrządzili, a urąga i złość wywiera tylko na Jezusie. Słyszą — o dziwo! — jak Chrystus w modlitwie zanoszonej do Boga, nie o pioruny, nie o zemstę, ale o miłosierdzie prosi dla tych, którzy się zapomnieli, którzy Go do krzyża przybili.

Co uczynią złoczyńcy, słysząc tak dziwną modlitwę? I oni grzeszni i oni się w życiu często zapominali i oni mają wiele zbrodni na swem sumieniu. Już stoją w obliczu śmierci, wkrótce umrzeć muszą. Może w obliczu śmierci sami u Pana łaski i miłosierdzia błagać będą? Może uznają w Nim Syna Bożego i wołać będą: „Panie! co tyle cierpisz, a jeszcze za grzesznikami się modlisz, pomódl się za nami, bo my zmiłowania Bożego bardzo potrzebujemy?!“

Słuchajcie! Oto otwiera usta łotr wiszący po lewej stronie Chrystusa Pana i chce przemówić. Twarz jego szyderstwem skurczona, cyniczna. Nie zobaczysz na niej ni iskierki współczucia dla współcierpiącego Jezusa. On sam już niejednokrotnie patrzał na ludzkie cierpienia, widział wiele śmierci, na wiele bolów patrzał, on nie ma litości dla cudzej katuszy. Słysząc, jak lud szydzi z Jezusa, nie widzi w Nim nic innego, tylko zwykłego człowieka, zwykłego zbrodniarza, którego sądy za ciężkie przewinienia na śmierć okrutną skazały, widzi w Nim tylko towarzysza w zbrodni i karze. To też łączy się z ludem szydzącym, i zwracając twarz ku Chrystusowi, sam szydząc ochrypłym głosem mówi: „Jeśliś Ty jest Chrystus, wybawże sam siebie i nas“. Łuk. 23, 39. Chce przez to powiedzieć: „Nie wierzę Ci, żebyś Ty był Chrystus. Gdybyś Ty był Chrystusem, pewniebyś tak nie cierpiał i nie pozwoliłbyś cierpieć nam, alebyś i siebie i nas uwolnił od krzyża. Nie wierzę w Ciebie, nie wierzę w Twoje posłannictwo, nie chcę od Ciebie pomocy, nie żądam od Ciebie miłosier-

dzia; jakem żył w zbrodni, tak też w zbrodni zamrę!“ Tak mówi łotr wiszący po lewej stronie krzyża, według pobożnej tradycji Gezmas imieniem. Nieszczęśliwy! Zaślepiony za życia! Ślepy jeszcze w godzinę śmierci! Żył w nienawiści Boga i bliźniego, umiera też w nienawiści i ginie na wieki!

A co czyni drugi łotr, ten wiszący po prawej stronie krzyża Chrystusowego? On widzi to, co wszyscy widzą — widzi człowieka niemocnego, który oddany w ręce ludu sam się wybawić nie może. To widzi Dyzma (tak się miał według tradycji nazywać) okiem zwykłego widza. Lecz w ostatniej chwili tknięty łaską Bożą — widzi więcej — widzi, że Ten, którego za zwykłego dotąd uważał człowieka, cierpi z takim spokojem, z takiem poddaniem się woli Bożej, jak żaden ze zwykłych ludzi cierpieć nie potrafi. Słyszy to, czego dotychczas nigdy nie słyszał — szłyszy, że ten, którego lud prześladuje i zeń szydzi, w tej samej chwili za ten lud się modli, o miłosierdzie Boże dlań błaga. A on samby tego nie potrafił, onby nie mógł modlić się za tych, co go karzą. Zatem ten, kto to czyni, nie jest zwykłym człowiekiem. On mówi, że jest Synem Bożym, więc to musi być prawdą, skoro za tę prawdę życie oddaje. Już nie ma Dyzma najmniejszej wątpliwości, że ten wiszący w pośrodku jest Synem Bożym.

Rozważcie drodzy słuchacze! Dyzma Bogiem uznaje tego, który nagi, wyśmiany, zelżony wisi na krzyżu! On uznaje Bogiem Jezusa, chociaż ani jednego nie widział cudu, on uznaje Go Bogiem, chociaż ani razu nie słyszał nauki Jego, on Bogiem Go uznaje chociaż nie widział Jego przemienienia na górze Tabor, choć nie słyszał, jak podczas chrztu w Jordanie, gdy niebiosa się otwarły, sam Ojciec Przedwieczny dał o Nim świadectwo: „Oto Syn mój najmilszy, w którym mi się upodobało!“

Lecz sama wiara jeszcze nie uszczęśliwia Dyzmy. On wierzy, że Jezus jest Bogiem, lecz ta wiara mu równocześnie powiada, że On jako Bóg będzie sędzią jego. A ja

przecież — myśli sobie łotr prawy — tylem Bogu winien, ile mu nie winien nikt z ludu.

Przecież nie było zbrodni, którejbym nie popełnił! Na rękach moich krew mordowanych współbraci, krzywda obdzieranych wdów i sierot! Oczy moje tyle razy patrzały z chciwością na cudzą własność! Uszy tyle razy wsłuchiwały się z lubością w krzyk i jęki rabowanych i mordowanych! Usta moje pełne były przekleństw i bluźnierstw! Nigdy na nich nie spoczęło słowo modlitwy! Nic tak nie zaspokajało powonienia mojego jak świeża krew ludzka, nic mnie tak nie cieszyło jak zbronia. A oto Ten, który razem ze mną wisi będzie moim sędzią. Za chwil kilka skonam i nie będę miał czasu Go przeprosić, nie będę miał czasu zniewagi wynagrodzić. Nagle pod wpływem łaski Bożej uderza go osobliwa myśl.... Toć On przecież za swych katów się modlił, toć On przecież musi być dobry i chętnie urazę daruje. Dyzma zaczyna nabierać ufności w Jego miłosierdzie...

Nie myśli, nie marzy nawet o tem, aby mu Bóg zupełnie winę odpuścił, lecz ufa, że nie będzie dla niego zbytnio surowy. Nie wpada w rozpacz, lecz słodką napawa się nadzieją. Z nadziei wyradza się miłość która wzrasta im bardziej lud poniewiera Jezusa. Kiedy spostrzegł, że do szyderców przyłączył się jego towarzysz z lewej strony i przekonał się, że się Jezus na niego nie gniewa, nie oburza, uznaje Jego bezmierną dobroć i czuje żal, że takiego dobrego Pana tyle razy uczynkami swemi obraził. Czemże Mu teraz w ostaniej godzinie za zniewagi uczynione wynagrodzi?! Gdyby mógł, toby zasłonił swą osobą Jezusa, by Mu lud nie bluźnił, gdyby mógł, chętnieby życie swe ofjarował, by Go od zniewag uchronić! Całemu rozmiętnionemu ludowi usta zatkać nie może, lecz przynajmniej uspokaja złośliwego towarzysza i odzywa się do niego fukaniem: „Ani się Boga boisz, gdyś tej kaźni podległ? a myć sprawiedliwie, boć godną zapłatę za uczynki odnosimy, lecz ten nic złego nie uczynił".

Cóż ma więcej dla konającego Jezusa uczynić? Cóż ma jeszcze więcej powiedzieć? Ujął się za Nim publicznie, przełamał pierwsze lody, ośmielił się nieco, a, sądząc, że czas najwyższy do przebłagania Mistrza swego i Boga, mówi nieśmiało sercem pełnem wiary, nadziei i miłosnego żalu: „Panie! Pomnij na mnie, gdy przyjdziesz do królestwa Twego!“ Łuk. 23, 42.

Dyzmo! Zbrodniarzu! Ty coś przez całe życie obrażał Boga, czy sądzisz, że On ci w jednej chwili twe zbrodnie przebaczy?!

Najmilsi! Słuchajcie co odpowie Chrystus na prośbę łotra prawego. Przebaczy mu, czyli go też potępi?... Nie! Chrystus nie może odwrócić się od Dyzmy, skoro ten sercem szczerem i upokorzonem do Niego się zwraca, bo sam przez proroka zapowiedział, że sercem skruszonem i upokorzonem nie wzgardzi. Nie czeka P. Jezus, aż Dyzma swą prośbę powtórzy, zwraca swą zbolałą głowę w stronę, po której łotr upokorzony wisi i głosem słodkim mówi: „Zaprawdę mówię tobie, dziś ze mną będziesz w raju!“

Ponieważeś mnie się nie zaparł w chwili, kiedy mnie wszyscy opuścili, ponieważ we mnie poniżonym i upokorzonym uznałeś Boga swego, ponieważ publicznie ująłeś się za mną i skarciłeś bluźniącego mi towarzysza twego, ponieważeś publicznie zbrodnie swe wyznał i przed całym wyspowiadałeś się światem, a wyspowiadałeś się z pokorą głęboką i z żalem szczerym, więc ci chętnie twe winy daruję — owszem więcej ci mówię — nie tylko winę ale i karę ci przebaczam i natychmiast po śmierci będziesz ze mną w raju.

O dziwna Twa dobroć Panie Jezu! O wielkie skutki ofiary krzyżowej! Ty więcej dajesz, niż on prosi! On w pokorze i żalu nie odważa się prosić więcej jak o wspomnienie, a Ty mu dajesz dla tej pokory i żalu zapewnienie! On Cię prosi o jedną tylko myśl w królestwie niebieskiem, a ty dajesz mu tegoż królestwa posiadanie, z krzyża do nieba, z potępienia do raju go pozywasz!

II.

Bracia drodzy! Tajemnica tych trzech krzyżów stojących na Kalwarji nie skończyła się, lecz powtarza się na każdy dzień i powtarzać się będzie aż do skończenia świata. Chrystus, jak przed wiekami, wisi na krzyżu a obok Niego już nie dwa krzyże zbrodniarzy, lecz cały widać las krzyżów. Co Go do krzyża przybija? Co Go dziś na krzyżu trzyma? Cóż to za gwoździe, które Boga-Człowieka po tylu wiekach do tego symbolicznego drzewa przybijają? To grzechy świata, grzechy moje, grzechy twoje! A któż wisi na tych nieprzeliczonych krzyżach, co okalają krzyż Zbawiciela? To cały ród ludzki, ukrzyżowany i przybity gwoździami boleści, smutku, choroby, ubóstwa, nędzy! Jedni wiszą po prawej stronie krzyża, drudzy po lewej. Szczęśliwi ci, co wiszą po prawicy, biedni co po lewicy.

Zastanów się dzisiaj człowiecze, po której znajdujesz się stronie? Czy po prawej czy po lewej?

Pomyśl człowiecze kim jesteś! Może nie łotr, lecz, że dużo zbrodni, dużo grzechów leży ci na sercu kamieniem, to rzecz pewna. Przypomnij je sobie wszystkie, te od dzieciństwa twego, te któreś nazbierał przez życie dojrzałe i nawet te, które padają na duszę twą od czasu do czasu w starości twojej. Sumienie, ten największy mściciel krzywdy Bożej nie daje ci spokoju. Śmiejesz się wprawdzie, ale w duszy na dnie kryje się robak, który cię gryzie! Możeś jeszcze więcej nieszczęśliwy?! Możeś doszedł do tego stanu, o którym powiada pismo św.: „Grzesznik, który popadł w głębokość grzechów, za nic je sobie ma". Dusza twa powleczona jakby pancerzem, którego już żadna siła, nawet łaska Boża przebić nie może. Biedny człowiecze! czy dla ciebie już niema ratunku?! Czyś na sercu swojem napisał te straszne słowa: „tu już nie mieszka nadzieja?!" Już nie myślisz nawet o tem, że leżysz w nałogu, już nawet nie przychodzi ci do głowy prośba o win przebaczenie, już zgodziłeś się z tą myślą, że na wieki od Boga odrzucony

będziesz! O jakżeś biedny, ty któryś stracił nadzieję w miłosierdzie Boże!! Zda ci się, że już wszystko dla ciebie przepadło, że jeszcze przed śmiercią i przed sądem jużeś osądzony i potępiony! Rozpacz cię pewnie ogarnia, może zły duch złe zamiary ci podsuwa?! Człowiecze! zanim się rozpaczy oddasz, chodź ze mną pod krzyż, wpatrz się w Jezusa i słuchaj słów, któremi On przemawia do prawego łotra: „dziś ze mną będziesz w raju. Dyzmo, ja ci dzisiaj twe występki, twe zbrodnie przebaczam, odpuszczam, bom zabaczył ostatnią iskierkę, która się tliła na dnie serca twego, iskierkę żalu". Więc idź i ty do tego dobrego Pana i wyznaj tak, jak łotr prawy: „Panie! jam grzeszny..... jam biedny.... jam Cię całe życie obrażał.... jam niegodny przemawiać do Ciebie... Panie! czy Ty mi możesz odpuścić?!... Panie! czy Ty mi możesz darować te wszystkie przewinienia moje, które duszę moją okryły?!" Panie! wspomnij na mnie, gdy będziesz w raju!

Ucisz się człowiecze! Posłuchaj co mówi Jezus do łotra prawego: „Dziś ze mną będziesz w raju!" Uznaj tylko we mnie sponiewieranym ukrzyżowanym Pana i Boga Twojego!

To pierwsze me żądanie. A drugie czego się od ciebie domagam: „ufaj synu, ufaj jak łotr dobry, że ci przewinienia twoje daruję, ufaj, bom ja mówił przez usta Izajasza — choćby grzechy wasze były jako szkarłat, jako śnieg wybieleją i choćby były czerwone jako karmazyn, będą białe jak wełna". Iz. I, 18. A z ufności zrodzi się miłość prawdziwa a z miłości wytryśnie żal szczery. Jedna łezka szczerego żalu, obmyje cię zupełnie w oczach moich i w oczach Ojca mego Niebieskiego!

Patrzże człowiecze, jak mało Pan Jezus od ciebie żąda! Będziesz więc tak zatwardziałym i tak upartym, że się nie zdobędziesz ani na jedną chwilę ciszy duchowej, ani na jedną łzę żalu serdecznego?! Jeśli tak jest, jeśli gardzisz miłosierdziem Bożem, to wiedz o tem, że niema dla ciebie ratunku!!

Patrz na drugą stronę, na lewą stronę krzyża Chrystusowego, patrz na lewego łotra! On także wisi tuż obok Pana Jezusa — na niego, podobnie jak na jego towarzysza z prawej strony, padają jasne spojżenia Zbawiciela, uderza łaska Boża, jak potężny młot!

Lecz jego już nie ogrzeją ciepłe promienie spojrzenia Jezusa, opoki jego duszy nie rozbije już młot łaski Bożej! Zamiast błagać o miłosierdzie, szydzi z swego Pana i Zbawcy i z szyderstwem na ustach kończy swe życie po to, by rozpocząć wieczną karę.

Najmilsi! Uważcie, że może jutro staniemy przed sądem Bożym! z czemże staniesz ty?!... Cóż ze sobą na sąd poniesiesz? Ileżeś zasług przez życie nazbierał?!... Może na duszy twej same nieprawości?!...

Powiesz, że Jezus prawemu łotrowi w ostatnim momencie przed śmiercią grzechy odpuścił i raj mu zapewnił, toć i mnie odpuści i niebo przedemną otworzy. Nie mów tak! bo jeden łotr się nawrócił, a drugi poszedł na wieczne potępienie! Św. Augustyn powiada: „unus est, ne desperes, solus est, ne præsumas“ — „Jeden się nawrócił, nie rozpaczaj, sam tylko się nawrócił, nie ufaj zbytecznie!“ Jakżeż ci człowiecze w godzinę śmierci myśleć o nawróceniu, kiedy z jednej strony choroba męczyć cię będzie, a z drugiej rozpacz i zwątpienie cię ogarnie?! Słuchaj człowiecze, co sam Bóg mówi o tych, którzy swe nawrócenie do końca odkładają: „wtenczas będą mnie wzywać, ale nie wysłucham, porwą się do szukania, ale mnie nie znajdą, dlatego, że nienawidzili prawa mojego, i bojaźni mojej do serca swego nie przypuścili“ Pr. I.

Więc dzisiaj, bracia drodzy! — Dzisiaj, bo dzisiaj czas przyjemny, bo dzisiaj dzień zbawienia! Patrz na Jezusa wiszącego na krzyżu i mów do Niego tak, jak mówił łotr prawy: „Panie wspomnij na mnie, gdy będziesz w raju“, a usłyszysz to samo co on usłyszał, „ufaj synu, dziś ze mną będziesz w raju!“ Amen.

KAZANIE III.

Matko! oto Syn Twój.
Synu! oto Matka Twoja.

Bracia drodzy! Przypatrzmy się dzisiaj, co się dzieje w dalszym ciągu na Kalwarji. P. Jezus pożegnał się już z grzesznikami, przebaczył łotrowi prawemu... Więcej już mówić nie może, bo Go siły coraz więcej opuszczają... Rany otwierają się coraz bardziej, a rozpalone coraz więcej promieniami słońca dokuczają boleśnie. A na niebie pokazują się chmury, które dzień w noc przemienią, które wkrótce zasłonią słońce, by nie patrzyło na to, co się dziać ma. Jezus zmęczony, ledwie żywy, zapewnie zamknie oczy, ułoży się do snu śmiertelnego. O nie! On nie chce utracić sposobności mówienia Im bliżej końca, tem wspanialsze wydobywa z pod serca dary dla swych dzieci. Już przebaczył katom, już przebaczył prawemu łotrowi, lecz Jego serce jeszcze niespokojne. I cóż nam Chryste Panie jeszcze zostawisz w testamencie?! Zostawiłeś nam naukę, która będzie zawsze dla nas pociechą, zostawiłeś nam Ciało i Krew Swoją, pod postaciami chleba i wina, nie bierzesz ze sobą nawet ostatniej koszuli, bo nawet ostatnią suknię zdarli z Ciebie oprawcy. Więc cóż nam zostawisz?! Zostawię wam to, co mam najdroższego, najbardziej ukochanego, zostawię wam Matkę moją! Miłość w swej szczodrobliwości granic nie ma! Daję wam więc Matkę moją... Na ziemi nie mam skarbów droższych nad Nią. Więc wam Ją oddaję... Jej serce przemienione mą Boską mocą, będzie dla was sercem najczulszej Matki! A oto Ona stoi pod krzyżem i wpatruje

się w oczy Swego najmilszego Syna. „Synu oto Matka Twoja — Matko oto Syn Twój!“ To testament Jezusa Chrystusa!

Przypatrzmy się dziś, w czasie rozważania naszego a) co Najświętsza Marja Panna wycierpiała, kiedy się stawała Matką naszą b) zobaczymy, że tylko pod krzyżem Ją spotkać możemy.

Marjo! Matko Boża! Ty sama nam serce otwórz Twoje i pozwól nam się przejrzeć w tem zwierciedle, w tej skarbnicy boleści Twojej! Marjo! pokaż nam dziś Twe serce bolejące, abyśmy i my nad Niem zaboleć mogli! My Cię prosimy o to. *Z. M.*

I.

Na Golgocie nie tylko sama stała zbrodnia! Było tam wielu żydów, którzy chcieli za wszelką cenę stracić Jezusa, byli grzesznicy i łotrowie, lecz też i cnota miała tam swych przedstawicieli. Popatrzmy, kto z osób życzliwych Chrystusowi znajduje się obok krzyża. Najbliżej, tuż u pnia krzyżowego upadłszy, wije się w bólu Marja Magdalena. Ona nie może się utulić w płaczu i jak niegdyś u stóp Jezusa klęczała, błagając o przebaczenie, tak teraz ze szlochem do nóg przedziurawionych gwoździami się rzuca. Jak je niegdyś łzami oblewała i ocierała włosami, tak teraz Jej ciepłe łzy mieszają się u stóp krzyża ze spływającą gorącą krwią Jej Pana i Mistrza.

Nieco opodal stoi gromadka niewiast jerozolimskich, a wśród nich młodzieniec o niewinnem, a smutnem obliczu. Ta grupa nie łączy się z szydercami, nie wygraża Mu pięściami, ani Go nie lży. Niewiasty, zasłoniwszy oczy, by nie patrzeć na zbrodnię, ronią łzy spokojne i ciche, lub też płaczą tym płaczem, co to człowiekiem szarpie tak, jakby chciał mu duszę z wnętrza wydrzeć.

Jedna tylko ze stojących pod krzyżem postaci nie płacze, nie szlocha. Stoi tuż naprzeciw krzyża, z okiem zupełnie suchem, nie zwilżonem ani jedną łezką, a gdy inne

skłania ból aż ku ziemi, bo nie chcą patrzeć wprost na przebolesną twarz Mistrza, Ona nie odwraca głowy swojej, ani spuszcza oka ku ziemi, ale patrzy wprost w Ukrzyżowanego i wpatruje się w zeszpecone męką oblicze. Kto owa niewiasta, co umie odważnie patrzeć w oczy bezmiernej boleści?! „A pod krzyżem stała Matka Jezusowa!“ Tak! To Matka Tego, który na krzyżu wisi, to Niepokalana, Przeczysta Matka Syna Bożego!

Skądżeś się tu wzięła Marjo?! We czwartek pożegnała się Matka z Synem Swoim w Bethanji, wiosce położonej tuż pod murami Jerozolimy. Odtąd straszne przechodzi chwile! Wie co Jezusa czeka, bo pamięta słowa Symeona starca: „Ten będzie postawion na powstanie i upadek wielu z Izraela, a duszę Twoją przeniknie miecz“. Od tej chwili już ani na moment nie schodzi krzyż z przed Jej oczu! Lecz nieszczęście, jeżeli jest jeszcze daleko od nas, nie sprawia wielkiej boleści. Dopiero kiedy uderzy w nas jak grom, boleść wżera się w trzewia duszy naszej. Widzi Marja krzyż tuż... tuż przed sobą. Przypomina sobie, że niedługo spełni się ofjara, że jutro będzie tym strasznym dniem, kiedy się proroctwo wypełni, a Jej kochany Jezus zawiśnie między niebem a ziemią. Nie może biec za swym Synem do Ogrojca, lecz w duchu przechodzi wszystkie boleści konania, wszystkie chwile Judaszowej zdrady, w duchu staje z Synem Swoim przed sądem niesrawiedliwym, duchem bawi z Nim w onej ciemnicy, gdzie złośliwe żołdactwo Go bije i plwa na twarz i szyderstwem duszę Jego rani. Ona to wszystko duchem przeżywa, a znając godność Boga-Człowieka, ocenia ogrom zniewagi Jemu wyrządzonej. Przed południem w piątek przyszedł do Niej — według pobożnej tradycji — Jan i doniósł Jej, że Piłat lękając się żydów wydał wyrok śmierci na Pana.

Właśnie porobiono przygotowania, aby Jezusa wyprowadzić na górę stracenia! Marja, Matka Najświętsza nie może dłużej pozostać w ukryciu. Jej Syna jedynego wiodą oprawcy dzisiaj na zabicie, to Ona musi być przy

Nim! Przecież Ona Go w stajence Betlejemskiej na rękach swych pieściła, Ona Go i na Golgocie na łonie Swem złożyć musi! Do sali sądowej, do pałacu Piłata Ją nie dopuścili, lecz przecież na drodze pozwolą zobaczyć Syna, ale pod krzyżową szubienicą stać Jej nie zabronią! Idzie więc Marja na miejsce, gdzie się odbywa męka najdroższego Syna. Zaszła drogę orszakowi i stanęła tuż przy ulicy, którą Go wieść mają. Właśnie się zbliża... O zgrozo! poznać Go zaledwie może, tak Go odmieniły bicze, tak Go okrwawiły ciernie, tak Go odmieniła krew!! Chce się do Niego zbliżyć, by Mu pomóc dźwigać ciężkie drzewo, lecz na próżno! Hardy żołnierz odpycha Ją swą pięścią! Zatoczyła się biedna, omal nie upadła... Idzie za Jezusem, idzie drogą, którą On swą Krwią Przenajświętszą znaczy... Chciałaby Ją, tę Krew Przenajświętszą zbierać w swą chustę, lecz tłum dziki, krwi żądny, popycha Ją coraz dalej i wiedzie aż na szczyt góry, na miejsce stracenia. Właśnie stoi wprost krzyża, patrzy w twarz Jezusa i przeżywa mękę Jego Swem najczulszem sercem macierzyńskiem.

Chcesz człowiecze zrozumieć boleść Matki Najświętszej, gdy pod krzyżem Syna swego stała, chcesz chociaż w przybliżeniu odczuć tę bezdenną przepaść, to całe morze Jej boleści?! Idź do matki ziemskiej i spytaj się ją, co się w jej sercu działo, gdy na konanie dziecięcia swego patrzyła?! Kochała matka maleństwo swoje, jedyny skarb swój, nie chciała go oddać za miljony! Wśród pieszczot niewinnych łza się nieraz polała po policzkach, a dusza wznosiła do Boga modlitwę: „Ojcze niebieski! nie bierz mi tego skarbu, bo to jedyna pociecha moja, cały mój majątek... Weźmij mi sławę, dobre imię, weźmij mi zdrowie i życie, a skarb ten mi zostaw!

A Bogu inaczej się spodobało, bo miał inne względem dziecięcia zamiary... I oto pewnej nocy zobaczyła dziwną mgłę w jego oczach, usłyszała jakiś dziwny kaszel w piersiach swego skarbu i odgadła, że nad kolebką wieje zimny powiew Anioła śmierci. Jakżeż szybko wstaje ze

swojej pościeli?! Porywa niemowlę, tuli je do łona, chce je ogrzać swem ciepłem, całuje gorączką spieczone wargi, myśląc, że swem własnem ciepłem rozgrzeje kostniejące ciałko, że swą duszą tchnie nowe życie w jego pierś, że ta zimna lodowata pani nie zdoła jej wydrzeć skarbu! Chce wołać ratunku, ale ust otworzyć nie może, bo je boleść zamknęła, chce biec po ratunek, lecz jej nogi odmawiają posłuszeństwa, wyciąga ręce, lecz one już tylko zimnego obejmują trupa, chce płakać, ale jej oko skamieniało, łza zamarzła pod powieką, serce zlodowaciało! I stoi jako kamienny posąg bez czucia, bez serca, zimna na wszystko, obojętna na pociechy!

Biedna niewiasto! Biedna matko! Któż twą boleść ocenić, kto twe serce zrozumieć potrafi?!

Najmilsi! To matka ziemska tak boleje po stracie swej dzieciny... A tu najczulsza z matek, Matka Najczystsza, bo Niepokalana, — a im serce czystsze, tem lepiej boleść odczuć zdoła — to Matka Syna, który był jedynie i wyłącznie Jej własnością, bo Go nie z męża, ale z Ducha św. poczęła, to Matka Syna, w którego żyłach nie płynie żadna inna, tylko Jej krew panieńska! A Syn to jaki? Matko ziemska! twe dziecię to człowiek zwykły! — Ono mogłoby być tak dobrze dla ciebie pociechą, jak też źródłem smutku — to twoje niemowlę nosiło może w sercu zaród złego... Syn Marji, to Syn Boży! Niemasz na Nim plamy, niemasz na Nim skazy, ni brudu grzechowego! Na takiego to Syna patrzy najczulsza z Matek w chwili, kiedy nie na miękkiej pościeli, lecz na twardem drzewie krzyża życie swe kończy! Patrzy na to Marja, a Jej duszę bolesne trapią myśli! Przypomina sobie... Ona brała to dziś skrwawione Ciało na Swe ręce z taką czcią, że żaden kapłan nie czci tak hostji Najświętszej! A teraz wolno Je dotykać bezkarnie każdemu, nawet zbrodniarzowi, wolno Je bić, wolno plwać na Nie... Ona Je, kiedy było jeszcze niemowlęciem, z taką pieczą kąpała, a teraz Ono całe skąpane w krwi własnej... Patrzy w oczy, w te oczy,

które się do Niej tak słodko uśmiechały... Teraz One zaszły łzą i krwią... Przypomina sobie... przyodziewała Go w szaty jak śnieg białe, a teraz suknię z Niego zdarli i rzucali o nią los... Dziecięcą główkę do serca tuliła, a teraz cała się ostrym cierniem jeży... Już Jej nie obejmie rękami, bo dłonie przedziurawione, do krzyża przybite!... Do snu Go w kolebce układała, a teraz kaci okrutni i złowrogi okrzyk ludu do snu śmiertelnego Mu wtóruje!! Wspomnienia te wstrząsają Nią do głębi, miecz boleści przenika Jej serce, rwie je, na śmierć rozdziera, lecz Ona umrzeć nie może!"

„Marjo! gdzieś stała?" woła św. Bernard „czy pod krzyżem?" „owszem i na krzyżu!" i cierpiałam tyle, że wolałabym tysiąc razy umrzeć! Stoję i patrzę, a umrzeć nie mogę! Cnciałabym Synowi memu ulżyć, lecz nie mogę!... Ofjara musi się dopełnić!...

Matko Boża! ja nigdy nie zrozumię Twej niezmiernej boleści!

II.

Pan Jezus zapewniwszy prawego łotra, że go jeszcze dzisiaj weźmie ze sobą do raju i wszystkie odpuści mu winy, zwraca swe oczy na osoby drogie pod krzyżem stojące. Widzi między innemi Swą najdroższą Matkę. Nikt nie pojmuje tak dobrze Jej cierpienia, jak On sam, bo czyta w Jej sercu jak w otwartej księdze. Rozumie, że Ona cierpi tak wiele, jak dotąd nie cierpiała żadna istota stworzona. Tak być musi, bo Ona przez cierpienie ma się stać współodkupicielką rodzaju ludzkiego, bo z tych cierpień ma się zebrać nieprzebrany skarbiec zasług dla wszystkich pokoleń. Spogląda na Nią z krzyża Syn, i myśli: „Matko moja! Ty najniewinniejsza, Niepokalana, musisz bardzo kochać ludzi, skoro tyle dla nich cierpisz... Tak! Ty ich bardzo miłujesz, bo tylko miłość dla nich, zdoła Cię utrzymać żywą pod krzyżem! A kiedy ich tak kochasz, to oddam Ci ich na własność niepodzielną,... Ty będziesz

dla nich tem, czem byłaś dla mnie za życia.... Ty staniesz się ich Matką najczulszą.... serce Twoje, które dotychczas jedynie dla mnie bije, przemieni się i będzie odtąd tą samą miłością darzyć wszystkich ludzi!"

A stał też podle krzyża ulubiony uczeń Jan, ten sam, który, przy ostatniej wieczerzy, na sercu P. Jezusa spoczywał Któż jest godniejszy stać się przedstawicielem całego ludzkiego plemienia? Czyjeż serce godniejsze, aby je wypełnić miłością synowską ku najdroższej Matce, jak nie serce tego niewinnego, czystego młodzieńca?!

I znów otwierają się usta, a Chrystus wypowie trzecie słowo swego testamentu... Zwracając się do Matki mówi: „Oto Syn Twój!" wskazując na Jana. Niewiasto! przepowiedziana jeszcze w raju, że nasieniem swojem zetrzesz głowę węża piekielnego — Ty odtąd będziesz Matką ludzi, tak dobrą jak byłaś dla mnie, tak słodką jak byłaś dla mnie! Niewiasto! bądź dla nich taką, a spokojnie zamknę oczy moje!

Zwraca się też do obok stojącego Jana i mówi: „Synu! oto Matka Twoja!"

Janie! oddaję Ci w spuściźnie to, co mam najdroższe, oddaję ci moją Matkę! Weźmij Ją pod swą opiekę i bądź dla Niej dobrym Synem!

I stało się to, co wyrażało słowa Chrystusowe, gdyż były one tak wszechmocne, jak te, które wymówił nad chlebem i winem przy ostatniej wieczerzy. Marja stała się Matką wszystkich ludzi, porodziła ich pod krzyżem do życia łaski! Jakżeż to poczęcie było odmiennem od onego poczęcia w Nazarecie, kiedy Jej Archanioł Gabrjel zwiastował, że będzie Matką Syna Bożego?! Wówczas spotkało Ją to w cichem i ulubionem domku nazareńskim, w południe najpogodniejsze, wśród słodkiego podczas modlitwy zachwytu. A te powtórne Jej macierzyństwo nastawało na Kalwarji, pod krzyżem Syna na nim rozpiętego, przy posępnem zmroku zaćmienia słońca, wśród Jej najgłębszego zanurzenia się w morzu cierpień, wśród zachwytów bole-

ści od wpatrywania się w umierającego w najstraszniejszych mękach Jezusa. Marja stała się Matką twoją człowiecze, otrzymując za Pana, sługę, za Nauczyciela, ucznia, za Syna Bożego, Syna Zebedeuszowego!

III.

Najmilsi! Historja trzeciego słowa na krzyżu wypowiedzianego przez Jezusa na krzyżu skończona. Marja stała się w duchu naszą Matką prawdziwą. Gdyby nam danem było przejrzeć Jej serce, zdziwilibyśmy się, jak wielką pała ono miłością. Po Bogu najwięcej miłuje nas Najświętsza Marja Panna, i gdyby było potrzeba, zapewne stanęłaby jeszcze pod krzyżem, przecierpiałaby jeszcze całe morze boleści! Tak, Ona spełnia doskonale obowiązki Matki względem nas. Ona nas ratuje przed nieprzyjaciółmi duszy i ciała, Ona nas osłania przed gniewem sprawiedliwego Boga i dobrze śpiewamy w pieśni: „Kiedy Ojciec zagniewany siecze, szczęśliwy, kto się do Matki uciecze!“ Ona rozdziela łaski i dary Boże między dzieci swoje, Ona asystuje przy karmieniu nas codziennem, Ciałem i Krwią Syna Swojego!

Powiedz człowiecze, czyś nigdy w życiu twem nie zaznał opieki tej przedobrej Matki?! Wtenczas, kiedyś najmniej może myślał o Bogu, wtedy, kiedyś stał nad przepaścią, Ona o tobie pamiętała, myślała i zginąć ci nie dała. A kiedyś w potrzebie zawołał: „Matko! ratuj!“ to Ona z obowiązku Swego stawała przed tronem Bożym i ratowała, bo nie słyszano, ażeby kiedy Marja opuściła tego, kto się do Niej z ufnością ucieka.

Lecz zastanów się nad tem, czy i jak spełniasz ty obowiązki względem twej Matki duchowej? Bo jeżeli Ona Matką twą, toś ty Jej dziecię, Jej syn, Jej córka. Spytasz się, jakie masz obowiązki względem Najświętszej Marji Panny? Te same, jakie ma dziecko względem matki ziemskiej. Matce należy się od dziecięcia w pierwszym rzędzie cześć, bo matka po Bogu najdroższa dziecięciu istota

I Matce Najświętszej winieneś cześć oddawać. Czcisz Ją zaś, jeżeli masz w sercu prawdziwe ku Niej nabożeństwo, czcisz Ją serdeczną modlitwą, czcisz Ją, jeśli w potrzebie z dziecięcą ufnością do Niej się uciekasz. Pomyśl, czyś obowiązki te względem twej Matki Niebieskiej zawsze i wszędzie wypełniał?! Pomyśl, czyś w chwilach pokus, słabości, upadków, wzywał Jej pomocy?!

Dziecko winno matce swej bezwzględne posłuszeństwo. A ty czy byłeś zawsze posłuszny tej Matce Niebieskiej? Ona już nawet nie rozkazuje, ale prosi, jak prosił Dawid za synem swym Absalonem: „Strzeżcie mi dziecięcia“ 2 Król, 18, 12.

Ona także prosi cię i błaga, zwłaszcza teraz w czasie postu wielkiego z pod krzyża Syna Swego do ciebie przemawia: „Dziecię moje ziemskie! nie odnawiaj ran Jezusowi memu, nie kalecz Go i nie katuj grzechami twojemi! On już tyle dla ciebie wycierpiał, nie dodawaj boleści do boleści Jego!“ A ty, co się synem Marji zowiesz, ty, co się masz za Jej córkę, czyś nadstawiał ucha na tę prośbę twej Matki niebieskiej?! Czyś był posłusznym Jej woli? Słuchaj, jak Ona dzisiaj do swego Ukrzyżowanego Jezusa przemawia: „Synu! gdym pod krzyżem Twoim na Kalwarji stała, siedem mieczów boleści zagłębiało się w serce moje, a dziś ranią twe serce tysiące a tysiące mieczów! A zadali mi te rany ci, których mi pod krzyżem jako dzieci oddałeś! Oni to, ci synowie, raniąc Cię grzechami, ranią boleśnie serce moje!“

Dziecię winno matce miłość. Nie masz dla matki większej zapłaty za cierpienia i boleści, wśród których dzięcię na świat wydała, nad serdeczny uśmiech dziecięcy, nad dziecięcą pieszczotę. A czy twoje serce bije miłością ku Najświętszej Marji Pannie?! Tam gdzie niema czci, gdzie niema posłuszeństwa, tam nie może być mowy o miłości!

Człowiecze! dziś kiedy duchem stoisz pod krzyżem obok Matki Bolesnej i rozważasz ten moment, kiedy Ona

cię przez boleść niezgłębioną do życia łaski porodziła, odgrzeb z głębin serca twego choć małą iskierkę czci, posłuszeństwa i miłości ku Niej! Zawołaj do Niej serdecznie: „Bolesna Matko Syna Bożego! a zarazem Matko moja! kocham Cię całą duszą moją!! Amen.

KAZANIE IV.

Boże mój! Boże mój!
czemuś mnie opuścił?!

Minęło niespełna trzydzieści trzy lat od chwili, kiedy na świecie dokonała się dziwna tajemnica. Ci, którzy pod krzyżem stali, pamiętają tę noc, w której „Słowo Ciałem się stało“. Północna ciemność zalewała ziemię, Jerozolima pogrążona była we śnie i nikt nawet nie myślał o tem, że w tej chwili dokonało się największe wydarzenie w świecie. Wśród orszaku białych aniołów, spoczął Chrystus w stajni między bydlętami, pasterze czuwający przy trzodach swoich przybyli, aby Mu pokłon oddać.

Minęło trzydzieści trzy lata od owej pamiętnej nocy, a jakżeż dziwna na ziemi stała się odmiana?!

W jasny dzień, w samo południe nastaje wielka ciemność. „A było jakoby o szóstej godzinie i stały się ciemności we wszystkiej ziemi, aż do dziewiątej godziny. I zaćmiło się słońce.“ Łuk. 23, 44—45. Powstały ciemności tak wielkie, że jak powiada Phlegon pisarz pogański, większej nigdy ludzie nie zaznali. Słońce zakryło swe oblicze jakoby zasłoną gęstemi chmurami, gwiazd nie było widać. Od zachodu, od morza powiał zimny wiatr, co aż do szpiku przejął każdego. Ziemia zaczęła się trząść w posadach swoich, jakby planety na nią padały, jakby nie mogła znieść ciężaru, który ją przygniatał. Skały poczęły pękać z hukiem i trzaskiem, jakiego nie słyszała Jerozolima nigdy przedtem, ani potem. Wewnątrz ziemi dał się słyszeć huk, akby się całe piekło w posadach swoich poruszało! Anio-

łowie, którzy przy żłóbku w jasnych jak słońce szatach stali, z uśmiechem niebiańskim, z pieśnią weselną na ustach, teraz zdziwieni tem, co zaszło, zda się, że się okryli czarnemi całunami na znak żałoby. Matka, co niegdyś nachylona nad żłóbkiem dziecię swe karmiła, teraz okryta smutkiem niezmiernym pod krzyżem i nawet do Syna zbliżyć się nie może. Tak miesza się razem płacz nieba z jękiem ziemi, z hukiem przerażonego piekła, z płaczem zasmuconych i zdziwionych aniołów, bezbrzeżną boleścią Matki, i zdaje się, że nadchodzi koniec świata. Poganin Dyonizy patrząc na to, woła: „albo świat się wali, albo Bóg umiera", a to tylko spełnia się proroctwo Joela: „Słońce i miesiąc zaćmią się a gwiazdy stracą jasność swoją, nad to Pan z Syonu zaryczy, a na Jeruzalem wyda głos swój tak, że zadrżą niebiosa i ziemia". Joel 3, 15—16.

A wśród tego nocnego dnia, wśród tego huku piorunów, szumu wiatru gwałtownego, ponad jęki stękającej od zbytniego ciężaru ziemi, ponad żałobną nutę zasmuconych aniołów, ponad wycie wściekającego się piekła, słychać donośny głos: „Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił?!" To już nie dziecię kwili od zimna, ale to mąż konający wśród największych, jakie pojąć można, boleści, skarży się słowy psalmisty i prosi Ojca niebieskiego, aby Mu ulżył boleści, bo zdzierżyć nie może.

Idąc w kolejnym porządku będziemy w dzisiejszej nauce rozważać, jakie to były te boleści, które z ust konającego Zbawcy, takie straszne słowa skargi wywiodły, a w drugiej części uprzytomnimy sobie, jak to P. Jezus mieszkający w sercach naszych, na każdy dzień przez złości nasze krzyżowany, ten sam okrzyk boleści ku Ojcu podnosi.

Jezu! daj nam dzisiaj zrozumieć, choć w malutkiej części te niezmierne bole, które Cię na krzyżu ściskały, daj nam to, abyśmy zrozumiawszy je, więcej Cię życiem naszem nie krzyżowali! Matko Bolesna wstaw się za nami do Syna swego! *Z. M.*

I.

Wyobraźmy sobie człowieka tonącego. Cóż to za straszna chwila, co za rozpacz musi targać nieszczęśliwym?! Z jednej strony rwie się całą siłą woli do życia, a z drugiej czuje, że to życie wisi na włosku. Chciałby się ratować, lecz nie ma żadnego sposobu. Fala zaczyna go zalewać, czuje, że coraz bardziej w toń się zapada i za chwil kilka spocznie w jej łonie na wieczny spoczynek. W tej walce przedśmiertnej dobywa się z piersi okrzyk przeraźliwy „ratunku!“ Lecz krzyk przebrzmiał, a ratunku nie sprowadził. Widząc, że wszystko stracone, poddaje się losowi i znika pod powierzchnią wody.

Tak tonął w głębinie boleści P. Jezus. Chociaż dobrowolnie poddał się temu zalewowi, chociaż stał się posłuszny Ojcu aż do śmierci, to mimo to cierpi i cierpi bardzo, tak, że podobnie jak tonący wzywa ratunku: „Ojcze! Ojcze! czemuś mnie opuścił?!“ Jeśli chcemy zrozumieć tę całą głębię boleści, w której się zatapiał P. Jezus na krzyżu, to musimy się zastanowić, jakie to rzeki składały się na ową topiel, z jakich źródeł wypływały te boleści, które Chrystusa na krzyżu zalewały.

Pierwszą przyczyną tego niezmiernego bolu, to ciało, które w tej chwili cierpi niewymowne katusze. Aby to zrozumieć musimy sobie uprzytomnić, że ciało Pana Jezusa bardziej odczuwało wszelkie cierpienia, aniżeli ciała innych ludzi. Jak płótno, im bielsze, tem prędzej na nim plamę zobaczysz, jak tkanina, im delikatniejsza, tem się prędzej niszczy, tak ciało, im delikatniejsze tem na ból wrażliwsze. A czyż mogło być więcej delikatne ciało nad to, które za sprawą Ducha św. przygotowane zostało z przeczystej krwi Niepokalanej Dziewicy Matki?

A to przedelikatne ciało na jakież Ono było wystawione męki?! Patrz! Całe zeszarpane podczas biczowania tak, że aż kości bieliły się i z pośród ran sterczały. Rana na ranie, ból na bolu siedział, tak, że nie było nawet miejsca na nową mękę. Od biczów nietknięta została

głowa, lecz za podszeptem szatańskim żołnierze i Jej nie przebaczyli. Koronę z ostrych cierni uplecioną wbijają na głowę przemocą, raniąc Ją aż do mózgu. Twierdzą niektórzy pobożni pisarze, że kolców tych było aż siedmdziesiąt trzy. Cóż to za straszny musiał być ból, kiedy te wszystkie kolce przebiły czaszkę i aż w mózg się wwierciły?!

A męka krzyżowa?! Ona była tak wielką, iż ją nazywali: „summum et supremum supplicium — najcięższą i ostatnią karą". Bywało dawniej we zwyczaju, że podejrzanych o zbrodnię brano na tortury, aby się do zbrodni przyznali. Między innemi rodzajami tortur, była i ta, iż podejrzanego wieszano na belce, przywiązując go pod ramiona powrozem. Była to tak straszliwa męka, że nawet najniewinniejszy przyznawał się do zbrodni, gdyż męki znieść nie mógł. A P. Jezus wisiał na krzyżu przez trzy godziny nie powrozem przywiązany, ale ostremi przybity gwoździami, na własnych opierając się ranach! Jak się więc wskutek ciężaru gwałtownie rozciągały żyły, jak wychodziły z leżysk swoich wszystkie stawy?! A że ta boleść była daleką od serca, więc omdlewał tylko, a umrzeć nie mógł i musiał cierpieć całą grozę męki, tak że się spełniło to, co powiedział Jeremiasz prorok: „tantum in me vertit et convertit manum suam — tylko na mnie wyciągnął i obrócił rękę swoją". Tr. 3, co się tłumaczy: tak mnie P. Bóg surowo dotknął, jakby prócz mnie jednego, nikogo innego karać nie miał.

Cierpi Jezus już od pojmania w ogrodzie, ale obecnie boleści miarę przechodzą, już ich znieść nie może, już Mu pierś tchu odmawia, już serce bije nierówno od wyprężenia całego ciała, od zbytecznego krwi upływu i dlatego daje Chrystus wyraz temu niezgłębionemu bólowi i woła do Ojca niebieskiego: „Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił?! Boże! nie zniosę tych nadmiernych cierpień! Boże! zmiłowania! Boże! miłosierdzia!"

Boleści ciała, to pierwszy strumień, który zalewał cierpiącego na krzyżu Jezusa. Lecz więcej niż ciało cierpiała dusza Jego.

A cóż duszy Chrystusa boleści sprawiało? Grzechy, które Mu przed oczyma stały. On znał najlepiej złość grzechu, On rozumiał, że grzech to bunt przeciw Bogu, że to zbrodnia, nad którą niema pod słońcem nic gorszego. Poznawał i widział, że te grzechy już nie zdaleka ale zblizka Go otaczają, bo „Bóg złożył Nań nieprawości wszystkich nas“ Iz. 45.

Czytamy w piśmie świętem w księdze Jozuego, jak lud ukarał Achana za to, że złamał przykazanie Boże i ze zdobyczy, która była przeznaczona na ofiarę Bogu, zabrał dla siebie jedną suknię karmazynową, dwieście syklów srebra i pręt złota, ważący pięćdziesiąt syklów. Wywiódł przeto wszystek Izrael Achana do doliny Achor i tam go ukamienował. Cały lud, kto tylko żył i zdolny był podnieść kamień, rzucał go na biednego Achana. Jakaż ciężka to była chwila dla nieszczęśnika, kiedy ginął pod kamiennym gradem, który padał z rąk własnego ludu?! Ale daleko cięższym, bez porównania straszniejszym był grad grzechów ludzkich, który na Chrystusa padał! Już nie jeden lud izraelski, ale cały świat, wszystkie narody, jakie kiedykolwiek na ziemi istniały i do końca świata istnieć będą, podniosły się przeciwko Niemu. Podniósł cały świat przeciw niewinnemu nie kamienie, ale stokroć od kamieni cięższe, grzechy! Wszystkie sprosności, wszelkie obrzydliwości i obmierzłości, jakie kiedykolwiek na świecie istniały i istnieć będą, otoczyły Jezusa jakoby jednym płaszczem. On najniewinniejszy! On, który niczem się tak nie brzydził jak grzechem, On, co się stał do nas podobnym we wszystkiem krom grzechu, On widzi się naraz oblanym grzechami całego świata!

Gdyby na księżniczkę — powiada ojciec Segneri — wychowaną wśród zapachu delikatnych kwiatów, przyzwyczajoną do nigdy nie splamionych, a najbogatszych strojów, gdyby na nią włożono łachman z człowieka nędznego, zarażonego straszliwym trądem, szatę pełną brzydkiej i cuchnącej ropy, jakby ona wiele cierpiała, jakby tę

suknię jaknajprędzej ze siebie zdjąć usiłowała? A co powiemy o duszy Chrystusowej? Ona, to sama woń kwiatów najdelikatniejszych, Ona przejrzysta i jasna, jak promień słońca! I na tę duszę zawdziewa świat straszliwy łachman, utkany z samych grzechów! To też wzdryga się na ten widok najczystsza dusza Chrystusowa. Jakby On chciał łachman ten odrzucić od siebie, jakby chciał przed nim się uchronić?!

Lecz nie może, bo „stał się posłuszny aż do śmierci, a śmierci krzyżowej" i tylko daje wyraz obrzydzenia i boleści swojej i woła do Ojca niebieskiego: „Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił?!"

Trzecie źródło, którego wody boleści zalewały najczulsze serce Jezusa, to poczucie, że ta Jego Krew Przenajświętsza w wielu wypadkach pójdzie na marne, że tylko niewielka cząstka ludzi będzie korzystać z ceny Krwi i męki Jego.

P. Jezus przewidując upadek Jerozolimy, płakał nad tem miastem. A teraz wisząc na krzyżu widzi w duchu upadek nie jednego miasta, ale całe szeregi miast, całe szeregi wiosek, pogrążone w rozpuście i zbytkach przeróżnych, ginących na wieki! A przecież On dlatego tylko tak straszne ponosi męki, aby je od wiecznej wyratować zaguby, a przecież On wylewa tyle Krwi Swej, że wystarczyłoby na odkupienie nie jednego, ale miljonów światów!

Kiedy do Józefa patrjarchy przyszli bracia, o których myślał, że zginęli, to Józef z wielkiej ku nim miłości nie mógł się od łez powstrzymać. Każdego z nich z osobna brał w ramiona, nad każdym z osobna płakał. Dlaczego? Z radości, że ukochanych braci widział całych i zdrowych. Jakżeż byłby płakał, gdyby Ich widział leżących na marach?! A Jezus widział swych braci w naturze ludzkiej, braci, których kochał nad własne życie, bo za nich życie dał, ginących, nie na chwilę, ale na całe wieki! To też wisząc na krzyżu obejmuje Chrystus każdego z tych ginących Sercem Swojem, nad każdym się smuci, nad każdym pła-

cze, nad każdym boleje, według słów psalmisty: „quae utilitas in sanguine meo — co za pożytek z krwi mojej?!“ Ps. 29.

Matka, która po ciężkich boleściach powiła żywe i zdrowe dziecię, zapomina dla radości o wszystkich poprzedzających uprzykrzeniach: „non meminit pressuram propter gaudium". Ale ta, która z jawnem niebezpieczeństwem życia podjąwszy uciski i boleści, gdy potem widzi, że nieżywego urodziła trupa, jakżeż narzeka i boleje jeszcze ciężej niż przedtem, bo niema czem by się pocieszyć mogła?! (Segneri).

Pan Jezus wprawdzie rodził na krzyżu wiele dzieci na żywot wieczny, ale ileż tam było trupów, które życia nie miały?! Toteż smucił się i bolał wielce i płakało serce Jego nad tymi, którzy byli zginęli i nie mógł znaleźć pociechy, bo — jak tłumaczą ojcowie święci, — w tej strasznej chwili, nawet Bóstwo z którego dotychczas czerpał pociechy, nie wpływało na złagodzenie boleści Jego. Sam Ojciec niebieski patrzał na Niego jako na Tego, który nosił na Sobie grzechy całego świata, z obrzydzeniem i chłostał Go całą siłą sprawiedliwości swojej.

Tak to te trzy źródła: boleść ciała, dochodząca do najwyższego stopnia, smutek duszy, którą otoczyły grzechy całego świata i widok tylu miljonów dusz idących na wieczne zatracenie, zlewały się w tej chwili w jeden potężny nurt i zalewały konającego Chrystusa. Jak podczas narodzenia Swojego kwilił w stajence, tak teraz niemocny, bo przybity do krzyża, kwili wśród nieprzejrzanych ciemności i woła: Ojcze ratuj!... Ojcze zmiłuj się!.. Ojcze!... jam Syn Twój!... Ojcze! czemuś mnie opuścił?!

II.

Najmilsi! Wsłuchajmy się dzisiaj w ten okropny krzyk, który Bóg-Człowiek na krzyżu z serca Swego wydawał, wsłuchajmy się dobrze w ten krzyk, od którego cała oniemiała ziemia, a który słysząc aniołowie, zaprzestali

śpiewać: „Hosanna!... święty!... święty!...“ a rozpoczęli nutę smutną: „już ginie, już kona nasz Pan i Bóg!“ Przejmijmy się temi myślami, które przed chwilą rozważaliśmy, a tak przejęci przenieśmy się z pod krzyża kalwaryjskiego, pod krzyż zatknięty w sercach ludzkich. Stanąwszy pod nim, zastanówmy się i rozważmy, ile cierpi P. Jezus na tym nowym krzyżu, który Mu wyciosała złość całego świata. Bo Pan Jezus wstępując do nieba w czterdziestym dniu po swojem zmartwychwstaniu, nie odszedł tej ziemi całkowicie. On został między nami i między nami mieszka. Myślicie zapewne, że mam na myśli ukrytego pod postaciami chleba i wina w Najświętszym Sakramencie Ołtarza? Zapewne! Lecz On mieszka nie tylko tu na ołtarzu, gdzie Go wskazuje ustawicznie płonąca lampka! Dla Niego każde ludzkie serce stanowi tebernakulum, każda dusza jest namiotem, pod którym ochotnie przebywa przez obecność łaski swojej. I kocha Jezus te mieszkania, te domki serc naszych, jak kocha swą własną Krew, bo On je sobie Krwią własną, na krzyżu przelaną, na własność kupił. A jednak ileż On w tych domkach swoich doznaje zniewag?! Ileż On w nich cierpi?! Śmiem powiedzieć, że nie mniej, jak wonczas, kiedy na krzyżu wisząc, wołał: „Eli!... Eli!... lama sabathani?!

Wprawdzie nie cierpi On tutaj na ciele, bo ciało Jego uwielbione już w niebie przebywa i cierpieniom więcej nie podlega, ale w mistyczny sposób cierpi na duszy dzisiaj te same boleści, które przechodził na krzyżu. Popatrzmy dzisiaj i rozglądnijmy się po świecie, a przekonamy się, że dziś panują takie same ciemności, jak wonczas, gdy Chrystus na Kalwarji konał. Jakto? — spytasz się — czy słońce zagasło? Niestety! — Tak! Zagasło słońce wiary, które dawniej tak cudownie oświecało dusze ludzkie. Zgasło to słońce, a jeżeli jeszcze nie zgasło zupełnie, to skryło się gdzieś poza chmury. W miejsce krzyża stawia się dziś złotego cielca, wiara ojców naszych, ta

wiara, która ich pędziła na męki i śmierć w obronie krzyża, dziś znacznie przygasła, jeżeli nie zamarła całkowicie. Przyznajemy się jeszcze ustami do tego, żeśmy wyznawcami Chrystusa, który na krzyżu za nas skonał, ale w sercu prawie, że tego nie czujemy. I wygląda u nas w duszy tak jakoś mroczno, jak po zachodzie słońca.

I wśród tych ciemności ducha wisi dzisiaj P. Jezus na krzyżu. Czy na jednym tylko?! Niestety! Krzyż kalwaryjski pomnożył się, jeden zamienił się w tysięce i miljony, rozrósł się w drzewo o miljonach konarów! Ile serc ludzkich, tyle dziś krzyżów dla Chrystusa! Jedne grube i ciężkie, drugie lżejsze, lecz wszystkie sprawiają Mu niewymowną boleść.

Wpatrz się człowiecze w serce twoje, a przekonasz się, że i w niem Chrystus ukrzyżowany. Jeśli masz choćby jeden grzech ciężki, to już jest on krzyżem dla Chrystusa. A mało jest podobno serc takich, któreby wolne były od grzechu!

Tak! Chrystus jest ukrzyżowany przez grzech w sercu twojem. Lecz czy tylko raz Go ukrzyżowałeś? Czyż nie dodawałeś zbrodni do zbrodni, grzechu do grzechu, raniąc za każdym razem boleśnie najczulsze serce Jezusa?! I jak ongiś z krzyża kalwaryjskiego modlił się i wołał do Ojca: „Ojcze Mój czemuś mnie opuścił?!“, tak dziś z duszy swej w ten sam sposób woła: „Ojcze Mój! Ojcze Mój! patrz jak ciężką mam dolę w duszy tego człowieka grzesznego!... Ojcze Mój! czemuś mnie opuścił?!“

Pytasz się człowiecze: „kiedyż ja ten głos słyszałem?“ Odpowiem ci. Słyszałeś go wtenczas, kiedy po dojściu do używania rozumu po raz pierwszy na grzech się odważyłeś, — słyszałeś ten głos niewinnego baranka, kiedy po dobrze odprawionej spowiedzi pierwszy raz na grzech ciężki zezwalałeś, — słyszysz i teraz w czasie tego kazania ten sam głos, jeśli masz choćby jeden tylko grzech śmiertelny na duszy.

I oto dziś po tylu latach, po tylu wylanych na nas łaskach i dobrodziejstwach Pan Jezus w tym samym co na Kalwarji znajduje się stanie! Dziś również wisi wśród

ciemności niewiary, dziś również opuszczony, dziś również sponiewierany, przerażony mnogością zbrodni ludzkich woła z głębi dusz okupionych Krwią własną: „Ojcze mój! Ojcze mój! czemuś mnie opuścił?!

Słyszysz człowiecze ten głos konającego mistycznie w sercu twem Jezusa?! I cóż nań odpowiesz?! I jakże postąpisz?! Czy zechcesz ulżyć Zbawcy mieszkającemu w sercu twojem?! Czy postanowisz dzisiaj zaprzestać grzechu?! „O grzechu! grzechu! jeszcze twojej złości nie uznawają ludzie — woła Ojciec Segneri — jeszcze przed tobą nie uciekają, jeszcze cię z serc swoich nie rugują, jeszcze do ciebie, jak do najmilszego specjału smak swój i apetyt zaostrzają! Możeż kto pragnąć trucizny, której najmniejsze skosztowanie śmierć przynosi — potest aliquis gustare, quod gustatum affert mortem?“ Job. 6. Podobnoż to w tem mieć upodobanie, co Boskie wydarło życie? Podobnoż, żeby kto tego nieprzyjaciela w domu swym przechowywał, na którego wypchnienie Bóg wszystkich sił, aż do ostatniego dobywał zgonu?

Albo życie trzeba odmienić, albo wiarę. Bo któż to razem pogodzi, wierzyć, że Bóg, aby grzech zniszczył, tak okrutnie na krzyżu umarł, a przecież ochotnie grzeszyć tak, jak gdyby historja męki Chrystusowej śmiechu godną była bajką?!“

Najmilsi! Wsłuchując się dzisiaj w czwarte słowo Chrystusa, które z krzyża w testamencie wyrzekł, wyrzeknijmy się grzechów! Niech Jezus błagający ratunku w cierpieniach swoich znajdzie odgłos w duszach naszych! Niech cierpiący Jezus zmieni dziś serca nasze! Amen.

KAZANIE V.

„Pragnę"!...

Jednym z największych bolów fizycznych jest pragnienie. Opowiadają o podróżnych, którzy podróżowali w krajach pustynnych, że z szalonego pragnienia w szał popadali. Widziano w czasie wojny żołnierzy umierających z ran, którzy na nic innego się nie żalili, tylko na brak wody, a pobojowisko wydawało tylko jeden cichy jęk „pić - wody" — I w piśmie świętem ewangelista chcąc przedstawić niezmierne utrapienie Łazarza cierpiącego męki piekielne, wkłada w usta jego prośbę o kroplę wody, którą by mógł ugasić nieznośne pragnienie. Chrystus, który przechodził całą skalę cierpień, nie oszczędził sobie i tej męki pragnienia. Pożaliwszy się przed Ojcem niebieskim na swe opuszczenie duchowe, otwiera po raz piąty wargi swoje i niby dziecko proszące matkę o pokarm, szepce cicho do otoczenia: „pragnę". Musiało istotnie pragnienie dokuczyć Zbawcy po nad miarę, kiedy nie skarży się ani na ból głowy okaleczonej ciernistemi kolcami, ani nie żali się na gwoździe, które szarpały żyły w rękach i nogach, ni na ból ściśniętego serca, lecz skarży się na nieznośną mękę pragnienia. Chrystus uczynił to, aby dopełnić miary kielicha, który Mu wypić polecił Ojciec niebieski.

Lecz jest i drugie pragnienie, nie mniej uciążliwe od fizycznego — pragnienie ducha. Jak pragnienie fizyczne osłabia cały organizm i jest przyczyną nieznośnej męki, tak pragnienie duchowe bolem napełnia wszystkie władze duszy. Chrystus Pan i tego drugiego pragnienia sobie nie

oszczędził. Patrząc z wysokości krzyża na cały świat, na wszystkie pokolenia, czuł w sercu Swojem przepotężny prąd, który wzruszał całem sercem Jego, a mianowicie pragnął, aby wszystkie te pokolenia, wszystkie bez wyjątku dusze uszczęśliwić. Jak sam mówił w przypowieści o dobrym posterzu, pragnął wziąć te dusze, niby owce na ramiona swoje, odnieść je do owczarni niebieskiej tak, aby żadnej z nich po drodze życia nie uronić. To też, gdy wymawiał słowo „pragnę", prosił nie tylko o napój, któryby zaspokoił pragnienie fizyczne, lecz równocześnie wyrażał pragnienie serca swego, żądzę zbawienia i uszczęśliwienia całej ludzkości. Oto co chciał Chrystus wyrazić w piątem słowie z krzyża do nas wypowiedzianem.

Najmilsi! Stańmy dzisiaj w duchu przed krzyżem. Uciszmy serca nasze, uspokójmy wszystkie pragnienia i żądze nasze, niech przez tych chwil kilka zalegnie w duszy naszej taka cisza, jaka zalegała Kalwarję przed nadciągającą burzą i zaćmieniem słońca, kiedy Chrystus pragnieniu Swojemu wyraz dawał. A w tej ciszy duchowej, w tem duchowem skupieniu usłyszymy i my to samo, co słyszeli wonczas stojący pod krzyżem. I do nas przemówi Chrystus: „pragnę",..... A my będziemy się starali nie tylko usłyszeć zbolałego Chrystusa, lecz także zrozumieć Jego pragnienie. Będziemy się starali wgłębić w Jego ból fizyczny, będziemy się starali pojąć o ile to umysł ludzki zdoła, głębię Jego pragnień duchowych, a pojąwszy je i zrozumiawszy, będziemy się starali ugasić pragnienie Jego nie octem, jak to uczynił żołnierz rzymski, lecz kryniczną wodą naszych serdecznych łez żalu. Przemów i do nas dobry Jezu, abyśmy pragnienie Twoje zrozumieć mogli, abyśmy je mogli ugasić! Wspieraj nas w tem Bolesna Matko. *Z. M.*

I.

Pan Jezus wypowiadając słowo „pragnę", wypowiedział je dlatego, bo rzeczywiście cierpiał nieznośne pragnienie. Ileż już przebył trudów, ile cierpienia od wiecze-

rzy, którą odprawił z uczniami w wieczerniku?! Już w ogrojcu podczas modlitwy krwawym pocąc się potem, musiał doznawać pragnienia. Przez całą noc poniewierany przez rozjuszone żołdactwo i przez motłoch żydowski, nie wziął do ust swoich ni pokarmu, ni napoju. A upalny dzień piątkowy?.... Od rana przeprowadzają Chrystusa po twardym bruku miasta, od Kajfasza do Heroda, potem do namiestnikowskiego pałacu Piłata. Pot obficie spływał z oblicza Jezusowego, i wzmagał coraz bardziej Jego pragnienie. Nie poskarżył się Chrystus ani razu, nie znalazł się też nikt, ktoby przechodzącemu mimo Jezusowi wyniósł z domu naczynie z wodą, aby mógł obmyć skrawioną głowę, potem okryte czoło, aby mógł zwilżyć zapiekły język. A dźwiganie krzyża na Kalwarję? Idzie Jezus twardem i ciężkiem obciążony drzewem, wśród upalnego południa, kiedy to promienie słoneczne prostopadle padając, paliły Go nieznośnie tak, iż — jak mówi tradycja — aż z osłabienia upadał na bolesnej drodze. Niewiasta pobożna ulitowała się nad Nim i — według tradycji pobożnej — twarz Mu chustą obtarła. Lepiejbyś uczyniła uczciwa niewiasto jerozolimska, gdybyś wyniosła ze sobą kubek wody i podała omdlewającemu z bolu Mistrzowi. I Szymon z Cyrene przymuszony przez żołnierzy pomaga Chrystusowi i krzyż za Nim niesie, lecz wody ni kropli nie podał. A trzygodzinne wiszenie na krzyżu między niebem a ziemią na własnych rozdartych rękach i nogach, na własnych ranach bolesnych? Ileż krwi z Niego wypłynęło a każda utracona kropla powiększa i wzmaga pragnienie. To też słusznie stosują do Niego słowa psalmisty: „język Jego przylgnął do podniebienia ściśniętego i suchego jak garnek w ogniu“ Ps. 22 — 16.

Lecz jeszcze druga przyczyna skłoniła Chrystusa do tego, że dał wyraz boleści swojej i wyrzekł słowo: „pragnę“. Przeglądając życie swoje całe, przechodząc w myśli wszystkie proroctwa, które się Jego tyczyły osoby, przypomniał sobie to, co przepowiadając mękę Jego, mówił o

Nim prorok i psalmista Pański Dawid: „i w pragnieniu napoją mnie octem". Ps. 68 — 22.

Musiało się wszystko wypełnić, co kiedykolwiek o Nim przepowiedzieli prorocy, więc i to, na pozór drobne proroctwo, dopełnionem być powinno. To też aby nie uszło uwagi, Chrystus sam je przypomina i podkreśla wymawiając słowo „pragnę".

Było prawo, że ginącemu za winy swe zbrodniarzowi niczego się w ostatniej chwili nie odmawia, każde jego pragnienie i życzenie musi być w pewnych granicach możliwości wypełnione. Jakżeż spełnią ludzie ostatnie życzenie Boga - Człowieka, ginącego nie za swoje, lecz za ludzkie zbrodnie?! Znają żołnierze rzymscy to prawo, bo już nieraz byli obecni przy egzekucjach, lecz względem Chrystusa będzie ono zastosowane wręcz w odmiennym kierunku. Z udaną gorliwością, usłyszawszy cichy szept Jezusa „pragnę" spieszą żołnierze, aby spełnić Jego ostatnie życzenie. I cóż Ci podadzą o Zbawicielu dla ochłody? Stało obok krzyża naczynie z octem rozpuszczonym wodą, służącym do obmycia rąk a obok gąbka, którą zmywali się oprawcy po dokonaniu egzekucji. Tuż rosło ziele hyzopem zwane. Ułamał tedy jeden z żołnierzy gałązkę hyzopu, gąbkę umaczał w occie, zatknął na końcu gałęzi i podał do ust Jezusowi. Pan Jezus dotknął wargami gąbki z octem, aby umartwić zmysł smaku, aby dopełnić przepowiadanego proroctwa, aby zawstydzić wreszcie całą ludzkość, iż nie miała godniejszego napoju dla konającego Odkupiciela, tylko gorzki kwas octowy. Brakło wina dla Tego, który winne macice obficie gronami obsypał..... brakło wody dla Tego, który dał źródła wód przeobfite, dla Tego, który codziennie rosą użyźnia pola i łąki, brakło kropli wody w chwili skonu. Ocet Mu podano po to tylko, aby eszcze wzmocnić pragnienie Jego, a i tego Mu żałowali niektórzy stojący pod krzyżem, bo wołali do żołnierza podającego Jezusowi gąbkę zanurzoną w occie: „zaniechaj! patrzajmy, jeśli przyjdzie Eljasz aby Go wybawił". Mat. 27 — 49.

Oto najmilsi, historja piątego słowa Chrystusowego wyrzeczonego na krzyżu. Dał Chrystus wyraz swemu bolowi fizycznemu, spełnił przepowiednię, dokonał testamentu!

II.

Lecz jak powiedziałem we wstępie, nie tylko fizyczne pragnienie dokuczało Chrystusowi na Krzyżu. Pragnienie ducha stokroć przykrzejsze od fizycznego, przenikało całą istotę Jego i wywołało na usta Jego to słowo „pragnę".

I czegoż pragnęło wonczas serce Jezusowe? Odpowiedź na to pytanie daje nam sam Zbawca, kiedy mówi sam o sobie: „przyszedłem rzucić ogień i czegoż chcę, niźli, aby był zapalon?"

O jakimże to ogniu myśli Chrystus Pan? Jakiż to ogień chcesz o Panie na ziemi zapalić? Odpowiada Chrystus. Chcę zapalić na ziemi pochodnię żywej wiary. Kiedy lud żydowski szedł przez pustynie do ziemi obiecanej, postępował przed nim słup ognia, który oświecał drogę, aby lud nie zabłądził wśród piasków pustyni. Podobnie będą szły przez pustkowie świata tego pokolenia za pokoleniami, do ziemi obiecanej i szczęsnej — do nieba. Trudno im będzie wśród ciemnej nocy, jaką niesie za sobą życie, dojść do przeznaczonego celu. Łatwo im zabłąkać się na krzyżujących się w życiu drogach. Więc pragnę dać im również taki słup gorejący, pochodnię, którąby im te drogi oświecała, pochodnię wiary. Pragnę by nauka moja, którą przez trzy lata wśród ludu głosiłem, rozszerzała się po całej ziemi, dochodziła aż do jej krańców, ogarniała wszystkie umysły!

Pragnę też aby prawdziwa nadzieja zapanowała w sercach ludzkich. Dusza ludzka pełza jak gadzina po ziemi, tarza się w jej prochu, kala się jej błotem, je młóto, które Pan zgotował dla zwierząt. A cel, przeznaczenie jej sięga wyżej. Ona, ta oblubienica Boża, z nieba wzięła swój początek i ku niebu już podczas swej ziemskiej wędrówki wzlatywać powinna, nadzieją niby nićmi złocistemi

wiązać się z niebem. Pragnę więc aby na ziemi rozpalił się płomień nadziei prawdziwej, aby biedne dusze oparły się w drodze życia nie o kruchy kij doczesności, lecz o złotą laskę ufności w Bogu.

I jakiż jeszcze chcesz ogień zapalić o Chryste?! Pragnę, — pragnę całą duszą moją rozpalić na ziemi ogień prawdziwej miłości. Świat jej dotychczas nie zna, serce ludzkie aż dotąd tej miłości, która jest właściwie jego życiem, nie pojmuje.

Miłość Boża, czyż ona przenika ludzką dusze? Niel Świat kłania się bałwanom, potworzył sobie bożki przeróżne, ulał cielce ze złota i tańczy przed nimi, wyniósł na ołtarze namiętności ludzkie i boską im oddaje cześć, umiłował bałwany, a serce jego mimo wszystko próżne, bo niespokojny jest duch ludzki, dopóki nie odpocznie w Bogu, bo tylko miłość Baga prawdziwego zdolna jest zaspokoić ludzkie serce i uczynić człowieka naprawdę szczęśliwym. Więc pragnę — pragnę tę miłość na świecie rozpalić, pragnę aby ona jak ogień wszystko palący, rozpaliła aż do białości wszystkie dusze.

Lecz krom miłości Bożej jest też sercu potrzebna miłość bliźniego. To drugi bardzo ważny nerw duszy. Bez niej życie ludzkie nie przedstawiałoby żadnej wartości, byłoby próżne, podobne do próżnego garnka. Więc i ten płomień pragnę rozpalić na świecie. Dotychczas serce ludzkie prawie że nie znało prawdziwej miłości bliźniego. To co pod tym wyrazem świat rozumiał, było tylko chucią zmysłową, a nie miłością skąpaną w Bogu i przepojoną Bogiem. Nienawiść panowała nie tylko pomiędzy pojedynczymi ludźmi, lecz także między narodami, klasami społecznemi. Prawo odwetu, prawo zemsty było uświęcone. Oko za oko — ząb za ząb, to zasada, którą się kierował dotychczas nawet wybrany przez Boga lud żydowski. Człowiek niewolnik traktowany przez pana na równi ze zwierzęciem. Samarytanin, który się ulitował nad leżącym w rowie żydowinem, poranionym przez zbójców był

tylko wyjątkiem, który oświecał niby meteor jasny całe dzieje dotychczasowe ludzkości. A cóż mnie do krzyża przybiło?! Co sprawiło, że z wiszącego na krzyżu śmieją się i urągają ci sami, którzy, gdym dla nich był pożyteczny i cuda czynił, obwoływali mnie królem?! Brak prawdziwej miłości, po Bożemu pojętej miłości bliźniego. Więc pragnę — pragnę aby po świecie rozszerzył się ogień święty, ogień dobrze pojętej, po Bożemu zrozumianej miłości bliźniego. Pragnę — aby ta miłość zbliżyła ku sobie i pojedyncze serca i dusze narodów całych i dusze klas społecznych, pragnę, aby pokój zapanował na ziemi!

Pragnę wreszcie, aby na niwie serc ludzkich uprawione i przeorane pługiem wiary, nadziei i miłości zakwitły obficie kwiaty cnót wszelakich. A nadewszystko, aby w sercach ludzkich rodziła się cnota czystości i niewinności. Jam baranek niepokalany, czysty i bez skazy, Matka moja, stojąca tuż koło mnie pod krzyżem, Niepokalana Dziewica, to też niema dla mnie większej radości jak spoglądanie na dusze czyste i niewinne. Dlatego to właśnie i oddałem mej Matce za syna stojącego tuż obok Jana, bo On niewinny i bez skazy. Dlatego On, a nie kto inny spoczywał na mych piersiach w wieczerniku, dlatego właśnie, że niewinny i bez skazy, On tylko ze wszystkich uczniów moich miał odwagę przyjść aż na Kalwarję, stanąć pod krzyżem i patrzeć śmiało w oczy nieprzyjaciołom moim. Więc pragnę — pragnę bardzo, aby ta cnota kwitła na zagonach ludzkich serc, gdyż chcę się jako baranek niepokalany paść wśród białych lilij!

Najmilsi! Oto czego pragnął Chrystus Pan na krzyżu. Te uczucia nurtowały Boskie serce Zbawiciela, przejmowały je, przenikały aż do głębi, wstrząsały każdym nerwem Jego wewnętrznej istoty i sprawiały Mu tak dotkliwy ból ducha, że wymawiając słowo „pragnę“ skarżył się nie tylko na ból fizyczny, rodzący się z pragnienia cielesnego, lecz także ten ból duchowy, jaki sprawia pragnienie moralne.

III.

Najmilsi! Oburzaliśmy się w duchu, gdyśmy rozważali w pierwszej części jak żołnierz rzymski zamiast wody podał konającemu Zbawcy gąbkę nasyconą octem dla zaspokojenia pragnienia Jego. Uważmy, że i dziś Chrystus wisi na krzyżu rozpięty i przygwożdżony grzechami naszemi. I dziś, podobnie jak wonczas w czasie swego na twardym łożu boleści konania, cierpi pragnienie duchowe, bo On zawsze, wczoraj i dziś i po wszystkie czasy ten sam, a Jego Boskie Serce te same przenikają uczucia. I czemże dziś świat zaspokaja pragnienie Chrystusowe? Czemże łagodzi to nieznośne cierpienie, które się w sercu Jego rodzi? Czy podaje Mu świat kryniczną wodę, którąby istotnie mogła zaspokoić serce Jego, czy też może za przykładem nielitościwego żołnierza ocet Mu podaje?

Rozglądnijmy się po świecie, wglądnijmy w własne nasze dusze, a znajdziemy odpowiedź na to pytanie.

Pragnie Chrystus wiary żywej, a cóż Mu świat dzisiejszy daje? Czyż dziś podobnie jak przed śmiercią Chrystusową nie panuje w duszach zabobon i bałwochwalstwo? Czyż dziś, podobnie jak dawniej przed męką Chrystusową, nie brodzi umysł ludzki w ciemnościach niewiary? Popatrz człowiecze w duszę swoją, a przekonasz się może, że i u ciebie, któryś uczniem Jezusa, zabobon wiarę przewyższa! A więc podajesz pragnącemu Jezusowi zamiast wody, ocet!

On pragnie tak samo dziś, jak ongi na krzyżu, aby ludzkie serca nadzieją, tą drugą Bożą cnotą, wiązały się z niebem a odrywały się od ziemi. A w czemże zatopiła się dzisiejsza dusza świata? Niestety! nie ku niebu ona wylatuje, ale się przyczepiła, przywarła każdym nerwem do ziemi, jakby ziemia była jej prawdziwą ojczyzną. Opancerzyła się złotem, uwalała się błotem, i tak idzie drogą życia podobna do jakiegoś dziwoląga. Ona, córa Boża, i ostrzyca aniołów, stała się pośmiewiskiem wszechświata!

Spojrzyj i ty w siebie, zagłąb się w własną duszę, a przekonasz się, że i ona dziwoląg i pośmiewisko! To ocet dla pragnącego Jezusa!

Pragnie — pragnie i dziś Chrystus, aby miłość prawdziwa rozpalała ludzkie serca. A czy świat, czy dusza współczesna zrozumiała to pragnienie Chrystusowe? Popatrz człowiecze po świecie i przypatrz się jak wygląda miłość Boża? Zamiast w Bogu zanurza się ludzka dusza w własnej namiętności! Zamiast spełniać Boże rozkazy i przykazania, robi to, co dogadza jej żądzy. Przykazanie Boże stało się dzisiaj nic nie znaczącem, wytartym liczmanem.

A jakaż dzisiaj miłość ku bliźnim? Słowo „bliźni" wywołuje na ustach uśmiech. Zamiast miłości bliźniego zapanował egoizm, samolubstwo. To co dzisiejsza dusza miłością nazywa, jest tylko czystą rują zmysłów! A miłość społeczna? Przypatrzmy się walkom klas społecznych, przypatrzmy się nowoczesnemu niewolnictwu, tułającemu się po podziemnych lochach kopalń i po ziejących ogniem fabrykach, przypatrzmy się nowoczesnemu handlowi niewolnikami, handlowi żywym towarem, policzmy wszystkie atomy krwi wylanej w walkach bratobójczych, a będziemy mieli obraz społecznej miłości. Popatrz i ty człowiecze w swą duszę, a przekonasz się, że i w niej nie Boży pali się ogień, ale szatański. To ocet, który podajesz pragnącemu Zbawicielowi!

A czemże zasiane zagony ludzkich serc? Czy cnotami? Czy Chrystus kochający się w niewinności i czystości, znajdzie wśród dzisiejszych dusz miejsce spoczynku, wytchnienia, miejsce, na któremby mógł ugasić pragnienie swego serca? Popatrz człowiecze po dzisiejszym świecie, przypatrz się dzisiejszemu bezwstydowi, który się rozsiadł w domu, na ulicy, w przybytkach sztuki, w salach tanecznych, i z szyderczym chichotem przemawia do tłumów: „jam jest... ja chcę żyć... ja będę... ja nasycę serce twoje... ja cię zrobię szczęśliwym, ludzki tłumie!"

Oto co świat daje pragnącemu Chrystusowi. Ocet i jeszcze raz ocet! Popatrz we własne serce człowiecze, zrób ścisły z sobą rachunek, zapytaj się, czyś i ty pragnącego Zbawcę octem bezwstydu nie poił?

Najmilsi! Skończone rozważanie nasze. Stawcie się żywo jeszcze raz myślą pod krzyżem, wsłuchajcie się w szept bolesny Chrystusa, wymawiającego słowo „pragnę", zrozumcie głębię boleści Jego, tej strasznej dla nas niepojętej katuszy pragnienia fizycznego i duchowego, a przekonawszy się, żeście i wy w życiu waszem nieraz Chrystusa octem poili, wylejcie dzisiaj choćby jedną łezkę żalu serdecznego i podajcie tę kroplę pragnącemu Chrystusowi, a ona zaspokoi pragnienie Jego i wam da szczęście, spokój ducha. Amen.

KAZANIE VI.

Wykonało się.

Było miejsce bardzo niebezpieczne dla starożytnych żeglarzy, tak zwana zatoka magellańska. Każdy okręt, który przez nią przepływał, albo rozbijał się o skały, albo ciągniony wirem morskim szedł na dno. Miejsce to dlatego było tak niebezpieczne, bo schodziły się w niem dwa przeciwne prądy, które tworzyły wir, co wszystko wciągał w głębię morską. To też nawet najbieglejsi wioślarze zdala omijali to niebezpieczne miejsce.

Najmilsi! I w czasie istnienia naszego każdy z nas natrafić musi na miejsce również niebezpieczne jak ona zatoka morska, miejsce, w którem schodzą się dwa przeciwne prądy t. j. czas doczesny i wieczność! Straszne to miejsce i niebezpieczne, tem straszniejsze, że go nikt z ludzi ominąć nie może, bo to jedyny gościniec, jedyna droga, którą człowiek pchany siłą przeznaczenia iść musi. To godzina śmierci, to łoże konania!

Do tego to miejsca przyszedł właśnie P. Jezus. On przecież był pewny, że z chwilą śmierci skończą się Jego cierpienia cielesne, a zacznie się wieczne bytowanie w chwale niebieskiej. A jednak kiedy doszedł na rozstajną drogę życia doczesnego i wieczności, kiedy śmierć przed sobą zobaczył, szuka ukojenia i pociechy w swem przeszłem życiu. Zwraca tedy uwagę swoją na ubiegłe trzydzieści trzy lata swego życia, aby się przekonać, czy nie zaniedbał którego ze zleconych Mu przez Ojca obowiązków. Lecz pociesza się, bo widzi, że wszystko aż do joty najdoskonalej wypełnił. I stąd czerpie w ostatniej chwili pociechę i jakby

dla własnego upewnienia się i pocieszenia otwiera po raz szósty usta swoje i wypowiada szóste słowo swojego testamentu: „wykonało się". Chce przez to słowo P. Jezus powiedzieć, iż z jednej stony dokonało się pasmo dni Jego życia doczesnego, a z drugiej, że wykonało się to wszystko, co Mu było polecone przez Ojca niebieskiego.

Lecz Chrystus wypowiadając to słowo, ma jeszcze co innego na myśli. On obejmuje wzrokiem swej duszy wszystkie pokolenia i jako troskliwy o dobro swych dzieci ojciec, chce je napomnieć, chce zwrócić ich uwagę na to najniebezpieczniejsze miejsce, którem się kończy droga każdego człowieka, chce ich zrobić uważnymi na godzinę śmierci. Mówiąc to szóste słowo: „wykonało się", chce ci powiedzieć człowiecze, że i dla ciebie nadejdzie chwila, w której sobie będziesz musiał powiedzieć: „wykonało się" — wykonało się pasmo dni moich. Przyjdzie chwila, w której będziesz sobie musiał postawić pytanie, czy się też wykonało w życiu wszystko, do czego się było obowiązanym.

Ważna to chwila, bo ona stanowi o całej wieczności! Straszne to miejsce, bo w niem łączą się w przeraźliwy wir dwa prądy — czas i wieczność! Każdy w tem miejscu być musi, bo niemasz innego gościńca nad ten jeden jedyny! Straszne to miejsce dla nas, którzyśmy niebardzo wprawni w żeglowaniu po tak niebezpiecznych miejscach, jeśli straszne było nawet dla Pana Jezusa!

Stąd to dziś, kiedy nam przychodzi rozważać tę prawdę, jak Pan Jezus szukał pociechy w ostatniej godzinie swego życia w spełnieniu włożonych nań obowiązków, nie od rzeczy będzie, jeśli i my przypomnimy sobie podczas dzisiejszego rozważania jak straszną będzie dla nas ta ostatnia chwila i jeśli sobie uprzytomnimy, czy byśmy dzisiaj stanąwszy w obliczu śmierci, spokojnie mogli spojrzeć w oczy Sędziemu Wiekuistemu i powiedzieć: „wykonało się".

To też z uwagą posłuchajcie nauki dzisiejszej i proście Jezusa utajonego w Najświętszym Sakramencie o łaskę potrzebną przez przyczynę Najśw. Marji Panny. *Z. M.*

I.

Było tedy naczynie postawione octu pełne. A oni gąbkę pełną octu obłożywszy hizopem podali do ust Jego. Jezus tedy, gdy wziął ocet, rzekł: „wykonało się“ Jan 19.

Co się wykonało? O czem to mówi Pan Jezus? On mówi o swem na ziemię posłannictwie, myśli o zadaniu danem Mu przez Ojca przedwiecznego. Zastanawia się w tej chwili, czy wypełnił tak wszystko jak mu było zlecone, czy spełniły się aż do ostatniej litery zapowiedzi proroków tyczące się jego osoby. Sumienie daje Mu świadectwo, że wszystko wypełnione jaknajdokładniej, bo nawet proroctwo zapowiadające, że Go w pragnieniu octem napoją, właśnie przed chwilą się urzeczywistniło.

Według tłumaczenia ojców kościoła to szóste słowo Jezusowe odnosiło się do nieba, do ziemi i do piekieł. A najpierw podniósł Pan Jezus myśl swoją do nieba. Tam widzi Ojca swego najukochańszego, Boga Przedwiecznego i do Niego zwraca swą myśl i swe słowo cierpiący Zbawiciel. Jemu to tłumaczy się, zdaje rachunek z tego co czynił, z tego co wykonał. Mówi do Niego: „Ojcze! cokolwiek rozkazałeś mi, cokolwiek przepowiedziałeś o mnie przez proroków, wszystko to wykonałem, wszystko się na mnie wypełniło. Przepowiedziałeś, że się narodzę w Betlejem z Przeczystej Panienki, że gwiazda oświeci moją kolebkę, że trzej Mędrcy z dalekiego wschodu przyjdą, aby mi pokłon oddać, że Heród na mnie zasadzki czynić będzie i stało się tak, jak przepowiedziałeś. Nie pomylono się w tych proroctwach ani o jotę jedną. Przepowiadałeś, że przejdę przez ziemię dobrze czyniąc, że będę uzdrawiał chore i wskrzeszał umarłe i uwalniał od szatanów opętane i karmił głodne i pocieszał strapione, oto to wszystko jak najdokładniej się wykonało. Przepowiedziałeś, że mnie właśni bracia w nienawiści mieć będą, że mnie najbliżsi zdradzą, a czy to się nie wypełniło? Mówili prorocy za Twojem natchnieniem, że mnie naród własny ubiczuje, że

mnie ukoronuje koroną z ciernia uwitą, że mnie między dwoma łotrami na krzyżu powiesi, a oto właśnie proroctwo to w tej chwili się wypełnia. Mówił Izajasz, że przebiją ręce moje i nogi moje, a oto przebite. Coś mi Ojcze mój rozkazał, spełniłem — coś na mnie włożył, zniosłem, czem mnie doknąłeś, wycierpiałem — coś żądał ode mnie, dałem Ci, bom się stał „posłuszny aż do śmierci, a śmierci krzyżowej". Filip 2, 8 — „wykonałem sprawę, którąś mi zlecił". Jan 17, 4 — Ojcze! wszystko się wykonało!"

Z nieba przenosi Pan Jezus myśl swą na ziemię. Z rusztowania krzyża widzi świat cały, przegląda ziemię od końca do końca, patrzy na wszystkie pokolenia, które trwać będą aż do skończenia świata. Zwraca się tedy do ziemi i mówi: „wykonało się". Ziemio! człowiecze! wykonało się wszystko, co dla ciebie wykonanem być miało. Dla ciebie — Ja Wielki stałem się małym, dla ciebie przyjąłem postać sługi, dla ciebie żyłem na ziemi bez okazywania mej chwały, w ubóstwie, w poniewierce, dla ciebie cierpiałem. Dałem ci naukę nową, tak wzniosłą, że wznioślejszą być nie może, wskazałem ci drogę do celu, do nieba, do oglądania Boga, a drogę tak prostą, tak pewną, że prostszej, pewniejszej nikt ci wskazać nie mógł, wysłużyłem ci łaski, wysłużyłem ci dary, jakie tylko wymarzyć sobie mogłeś. Dla ciebie przecież ustanowiłem sakramenta święte, te siedm źródeł, z których ustawicznie płynąć będzie woda żywa na twoje pokrzepienie, na twoje obmycie. Miałeś długi względem Boga, zapłaciłem krwią własną — miałeś brudy, obmyłem je. Jesteś taraz czysty jak anioł, że niema nic czystszego pod słońcem. Ciesz się więc ziemio! Raduj się ludzki rodzie! Wszystko co na tobie ciężyło zostało zdjęte, usunięte zostały wszystkie nędze twoje, wszystkio zadanie, którem miał względem ciebie wykonałem — „wykonało się!"

Zwraca też naostatek Chrystus swe oczy w inną jeszcze stronę, zwraca myśl swą do tych bram przeraźliwych u których strach przejmuje każdego zbliżającego się, zwraca

się do tego, który podstępem i z dradą ludzki ród o zgubę przyprawił, zwraca się do siedliska kar wiecznych i mówi: „szatanie! ty coś sądził, że się z Bogiem panowaniem nad światem podzielisz! — szatanie! ty coś uwiódł rodzaj ludzki i tak długo w strasznej trzymałeś go niewoli — szatanie! ty coś się chełpił z twej potęgi i mocy, ty już kończysz panowanie swoje, dla ciebie nadszedł czas upadku! Wykonało się już panowanie twoje! Tyś pod drzewem ludzi oszukał, ty też na drzewie zwyciężony zostałeś! Sądziłeś, że mnie zgubisz przez Judaszów, Kajfaszów, Piłatów, że mnie w proch zetrzesz i złamiesz, a sam nad światem panować będziesz. O jakżeś nierozumny! jak nieroztropny! To wszystko, przez co mnie zgubić zamyślałeś, ciebie samego zwycięża. Ja konaniem mojem i smiercią moją tobie władzę nad światem odbieram, ten krzyż, któryś zgotował dla poniżenia mego, zetrze głowę twoją. Szatanie! wykonało się, wykonało się wszystko i wszystko! Odtąd, kto się przed tobą krzyżem zasłoni, wolnym będzie od napaści twojej. Szatanie! Dokonało się panowanie twoje!!“

Tak to najmilsi! Pan Jezus z wysokości krzyża podnosił umysł swój ku niebu, zwracał go potem na ziemię, a wreszcie ku bramom piekielnym, a ze wszech stron otrzymał świadectwo, iż wypełnił wszystko, co Mu było zlecone. „Wykonało się“! To też pocieszony tem odda za chwilę spokojny i bez bojaźni ducha swego w ręce Ojca niebieskiego pewny, że po cierpieniu i hańbie czeka Go radość i chwała wiekuista!

II.

Poco Pan Jezus powiedział to słowo: „wykonało się?“ Nie tylko dla siebie, lecz i dla naszej wypowiedział je nauki. Chce nam przez to powiedzieć, że i dla nas nadejdzie chwila, w której sobie powiemy „wykonało się“, wykonało się życie nasze. Prawda to niezaprzeczona, że nadejdzie chwila, w której sobie każdy z nas to słowo będzie musiał powtórzyć. Jest to tak pewnem, jak pewnem

jest to, że jest Bóg. Jezus tę prawdę często głosił, duch święty ją podyktował: „statutum est homini semel mori — postanowiono człowiekowi raz umrzeć“, rozum ci człowiecze o tem mówi, że to co się składa z części, w części rozlecieć się musi, prawo naturalne powiada, że wszystko co się rodzi, musi ginąć i nie widziałeś, aby to co się urodziło, było wieczne i niema wyjątku od tego prawa ogólnego, Niema nikogo, któryby się z pod tego prawa wyłamał. Cóż więc z tego wypływa? Jakież znaczenie tego prawa? Leży ono jak na dłoni. Wszyscy ludzie bez wyjątku pomarli, dla wszystkich przyszła chwila, kiedy sobie powiedzieć musieli: „wykonało się“, więc i na mnie przyjdzie ta sama chwila tak pewnie, jak pewnem jest to, że obecnie żyję, jak pewnem jest, że tutaj jestem, że w tym kościele stoję, że słońce świeci w dzień, a gwiazdy w nocy niebo oświecają.

Tak jest, to prawda — myślisz sobie, że przyjdzie i na mnie ostatnia godzina. I cóż w tem nadzwyczajnego? Wszyscy to przechodzili, więc i ja przejść muszę. Zaproszę sobie kapłana, obżałuję grzechy moje, które mi w ostatniej godzinie będą odpuszczone, choćby były największe, napiszę testament, pożegnam się z najbliższymi, wymówię jeszcze raz imiona („Jezus, Marja i Józef“) i zasnę spokojnie. Tak rozumujesz człowiecze, a ja ci powiem, że rozumowanie twoje jest co najmniej nieroztropne. Bo jak pewnem jest z jednej strony że umrzesz, tak z drugiej strony niepewnem jest, wśród jakich odbędzie się to okoliczności. Czy wiesz kiedy nastąpi ta chwila? Dzisiaj... jutro... w tym tygodniu... w tym miesiącu... tego roku... za lat dziesięć..., za pięćdziesiąt... ja nie wiem... ty także nie wiesz... Bóg jeden wie! Chcesz wiedzieć gdzie to nastąpi? może w tem mieście... może w innem... może w tej wiosce... może w drugiej... może w domu... może w polu... może między ludźmi... może w samotności... ja nie wiem... ty nie wiesz... Bóg jeden wie! Chciałbyś może wiedzieć jak umrzesz? czy śmiercią natu-

ralną po długiej chorobie, czy nagle, czy się utopisz... czy cię może piorun w polu przy pracy zabije... ty nie wiesz, ja nie wiem... Bóg jeden wie!

A w jakim stanie ja umrę zapytasz? Czy w stanie łaski, czy w stanie grzechu? Ja nie wiem — ty nie wiesz, Bóg jeden wie!

Tę tylko prawdę pamiętaj, którą Pan Jezus podkreśla, iż śmierć jako złodziej przychodzi, wtenczas, kiedy się jej najmniej spodziewać będziesz! Oto człowiecze widzisz najwyraźniej tę prawdę niewzruszoną, iż kiedyś musisz powtórzyć to słowo, które wyrzekł Jezus na krzyżu. „wykonało się", z tą tylko różnicą, że Pan Jezus wiedział wśród jakich nastąpi to okoliczności, ty zaś, tego nie wiesz.

Niechże ci się człowiecze zdaje, że już przyszła na ciebie ta chwila. Jakżeż ona będzie straszną, jeśli na jej widok sam Chrystus się przeraził?! Straszną jest rzeczą dla człowieka patrzeć w bezdenną przepaść. Kiedy stoisz nad przepaścią, której dna dojrzeć nie możesz, w głowie ci się mąci i lęk cię ogarnia na samą myśl, że mógłbyś w nią wpaść. A w tej ostatniej chwili zda ci się, że stoisz nad przepaścią, której dna zobaczyć nie można. Spojrzysz wonczas w tę głębinę niezmierzoną, tajemniczą i dreszcz przejdzie po twych kościach zbolałych, w głowie zacznie się mącić, oczy zymykać będziesz i będziesz jak ten człowiek, który spada z wysokości, a dna dosięgnąć nie może! Przypomni ci się wonczas to, co przez życie całe uważałeś za wymysł ludzki, za głupstwo, za fraszkę, przypomni ci się piekło, przejdzie duszę twoją w tym momencie coś, jakby ukłucie szpilką, przyjdzie ci myśl, że to głupstwo może się na prawdzie opiera. Będziesz się starał tę myśl od siebie oddalić, lecz ona brzęczeć będzie jak natrętna mucha. I strach cię ogarnie i będziesz się trząsł jak liść osikowy nawet ty, któryś był w życiu tak odważny! Zlękniesz się i niemy wzrok po obecnych wodzić będziesz, lecz u nikogo nie znajdziesz pociechy. Jedne twarze obojętne, drugie zapłakane, lecz to cię nie pocieszy! A wśród

tego chaosu przeróżnych myśli, wśród tych zgryzot duchowych i bojaźni, nasunie ci się na myśl to słowo, które dziś słyszałeś wymówione z krzyża przez Zbawiciela „wykonało się".

I spytasz się czy wykonało się wszystko w twem życiu, do czego byłeś obowiązany. Pytania jedne po drugich będą stawać przed tobą i pukać do twej duszy. Czy wykonałem obowiązki względem Boga? Czy miałem zawsze wiarę żywą w Boga, jednego w istocie, troistego w osobach... Czym miał wiarę żywą we wszystko, co Bóg objawił, a kościół do wierzenia podaje?... Czym Bogu zawsze cześć należną oddawał?... Czym pokładał w życiu ufność w Opatrzność Boską?... Czym te obowiązki wykonywał? Czy się wszystko wykonało? A sumienie odpowie: „nie... nie... nie bardzo!... nie zupełnie! Wiele tu było usterek, wiele błędów, wiele grzechów!"

Miałem po Bogu na ziemi matkę — kościół święty. Miałem też względem niego obowiązki. Czym je wykonał?... Czym zachowywał święta przepisane?... Czym w niedziele i święta słuchał nabożnie mszy św., czym też może z lenistwa lub dla rozrywki opuszczał te praktyki? Czy posty przepisane były zachowane? Czy się to wszystko wykonało — zapyta sumienie — czy wykonało się?!

A obowiązki względem bliźnich moich?... Obowiązki względem rodziny najbliższej? Ojciec, matka, mąż, żona, dzieci, sługi i służebnice — czy względem nich nigdy nie zawiniłem?! Czy się tu wszystko wykonało?

Miałem też obowiązki względem samego siebie, miałem jako chrześcijanin obowiązek walczyć z ciałem, światem i czartem. Jakożem wykonał tę powinność przyjętą na chrzcie świętym?... Jakożem umartwiał ciało moje?... Jakożem zwyciężał chucie moje?... Jakożem zachował czystość odpowiednią stanowi mojemu? Czym unikał złych towarzystw, bluźnierczych kompanij?... Walczyłem należycie z wszelkiemi pokusami?

A sumienie może powie, — o tak! ono z pewnością powie: „nie wykonało się“, nie stało się tak, jak Bóg żądał ode mnie. Usłyszysz wonczas pusty śmiech szatana i głos sumienia, jak tysiąckrotnie odbite echo tego słowa, które Chrystus na krzyżu wymówił, tylko w sensie odwrotnym: „nie wykonało się“!...

III.

I cóż wtenczas poczniesz z sobą biedny człowiecze?! Popadniesz w stan zwątpienia i niepewności. Nie będziesz wiedział, dokąd się obrócić masz. Iść naprzód, pędzić dalej w tę przepaść niezmierzoną jest rzeczą straszną, cofać się niepodobna, stać na miejscu nie można, bo śmierć upornie obok stoi, nade mną sędzia Bóg zagniewany, przede mną grób otwarty dla ciała, piekło może dla duszy, wewnątrz potępia sumienie, zewnątrz szatan naciera! To wszystko, co jest koło mnie trzeba opuścić, a krewni i znajomi zaledwie do grobu odprowodzą. Za mną czas upłyniony, który nigdy nie wróci, prze demną niezmierzona wieczność, która nigdy końca mieć nie będzie! Strach i zwątpienie mnie ogarną, a wśród tego powtarza się ustawicznie, jak refren nigdy nieskończony: „nie wykonało się... nie wykonało się obowiązków swoich!... ale wykonało się... wykonało się... wykonało się pasmo dni i trzeba się zabierać w krainę daleką nieznaną!

Najmilsi! Wsłuchajmy się jeszcze raz w to szóste słowo Chrystusowe z krzyża wypowiedziane, rzućmy jasny promień światła na duszę naszą, uprzytomnijmy sobie tę prawdę, że przyjdzie chwila, gdy wykonają się dni nasze i kiedy stanie przed nami pytanie zadane nam przez własne sumienie, czyśmy wykonali wszystkie obowiązki nasze, a zrozumiemy, że chwila ta będzie bardzo groźną, że ten ostatni etap życia naszego będzie tą morską cieśniną, w której wiry niebezpieczne zatopić mogą nawet njsilniejszy okręt. Jeśli się tego miejsca bał sam Chrystus i szukał ukojenia w własnem sumieniu, jeśli święci tacy, jak św.

Hilarjon uspokajali się w tym momencie słowami: „duszo moja! ośmdziesiąt lat służyłaś wiernie Bogu, a teraz się lękasz wyjść z ciała“, to cóż będzie się dziać z nami biednymi, grzesznymi ludźmi?!

Cóż nam więc czynić należy, aby ta chwila ostatnia nie była dla nas tak groźną?! Często nam w życiu trzeba powtarzać to słowo Chrystusowe: „wykonało się“ i stawiać sobie pytanie czy my wykonujemy obowiązki nasze na każdy dzień.

A dziś chodźmy wszyscy pod krzyż i ślubujmy konającemu Jezusowi, iż wszystko wykonamy, czego żąda od nas wola Boża! Amen.

KAZANIE NA WIELKI PIĄTEK I.

Ojcze! W ręce Twoje
polecam ducha mego!

Czemu dziś tak jakoś smutno na świecie? Zamilkł dzwon na wieży kościelnej, który codziennie zwołuje ludzi swym spiżowym głosem do swiątnicy pańskiej na modlitwę. Ołtarze obnażone, światło na nich nie płonie. Organ, który tonami napełniał codziennie kościół, zamilkł oniemiały. Najświętsza ofiara, która się codziennie ku niebu wznosiła, dzisiaj się nie odprawia. Kapłan odprawia ceremonję kościelną na hostji poświęconej dnia poprzedniego. Do ołtarza zbliża się w szatach żałobnych. I w duszy człowiekowi jakoś dzisiaj dziwnie. Nikt nie może przejść obok kościoła, aby doń nie wstąpić. Matka bierze za rękę dziecię prowadzi w progi świątyni, i na kolanach sunie się ku postaci Ukrzyżowanego. Ten, który już dawno z duszy swojej wiarę wyrzucił, dziś porwany jakimś niewidzialnym prądem, niesiony ogólną falą, która przez świat płynie, idzie do kościoła i w zadumie wpatruje się w Zbawiciela. I słońce dzisiaj, o ile świeci, zdaje się, że ma ciemniejsze promienie niż zwykle. Cała natura nastroiła się żałobnie i zda się odprawiać smutne nabożeństwo. Czemu to wszystko? Bo dziś wielki piątek! A czemże on różni się od innych dni w roku, czemu on wielkim się nazywa? Dzisiaj świat obchodzi pamięć śmierci Chrystusowej! W piątek przed laty prawie 2 tysiące Chrystus na Kalwarji po trzygodzinnym konaniu na krzyżu wyrzekł głosem potężnym słowa: „Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mego“ — i skonał. To też świat

cały obchodzi pogrzeb Zbawiciela ze smutkiem i boleścią. Nie tylko dusza ludzka jest smutna, lecz smutna jest nawet martwa natura. Zdaje się, że dzisiaj i w niebie cisza zalega, że chóry anielskie, które przed tronem Przedwiecznego „święty... święty... święty“... śpiewają, dzisiaj zamilkły, że święte duchy, co przybytki pańskie zamieszkują, złożyły godowe szaty jasne, a kirem na znak żałoby się okryły. Dziś pamiątka zgonu Jezusa na krzyżu! Największe zdarzenie, jakie zaszło w dziejach ludzkości, punkt zwrotny dla ludzkiej duszy!

Chodziliśmy przez cały czas wielkopostny pod krzyż Chrystusowy, nadstawialiśmy uszu na słowa Jego ostatniej woli, sercem odczuwaliśmy boleści Jego, rozważaliśmy znaczenie słów do nas wyrzeczonych, więc pójdźmy i dzisiaj na Kalwarję i wsłuchajmy się w ostatnie słowo Jego testamentu. Przypatrzmy się śmierci Jego, rozważymy jej skutki i zastanowimy się, czyśmy z tej męki Chrystusowej i śmierci Jego krzyżowej korzyści dla dusz naszych odnieśli. Uproś nam do tego potrzebną łaskę Najświętsza Boża Rodzicielko, my Cię prosimy *Z. M.*

I.

„I stały się ciemności po wszystkiej ziemi aż do dziewiątej godziny. I zaćmiło się słońce, a zasłona kościelna rozdarła się w poły“. Łuk. Tak! Zaćmiło się słońce, bo nie chciało patrzeć na to, jak gasną oczy Syna Bożego, tego, który rzekł: „niech się stanie światło i stało się światło.“ Zaćmiło się słońce, bo nie chciało patrzeć na ten krwiożerczy tłum ludzki, co stał pod krzyżem i naigrawał się z boleści tego, który wskrzeszał chore i kładł ręce na niemocne, a dobrze się mieli. Zaćmiło się słońce, bo chciało przed wszelkiem stworzeniem ukryć zbrodnię, której się dopuszczał człowiek ten, co się królem stworzenia zowie.

I rozdarła się na poły zasłona w kościele. Dotychczas zasłona oddzielała miejsce „Świętych“ od „Świętego — Świętych“. Raz tylko do roku arcykapłan wstępował do

tego miejsca, a nikomu innemu wstępować nie było wolno. Lecz teraz już ofiary starozakonne straciły swą moc, bo z krzyża wznosi się ofiara najczystsza, ofiara, wobec której niknie wartość ofiar starozakonnych aż do zera. Już teraz będzie wolno nie tylko arcykapłanowi, lecz każdemu pojedynczemu człowiekowi wstępować do miejsca Świętego — Świętych, każda dusza będzie mogła na każdy czas osobiście do Boga się zbliżać, ze Stwórcą swym rozmawiać.

A Jezus zawoławszy głosem wielkim rzekł: „Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mojego". A to rzekłszy skonał. Chwila, na którą wieki całe czekały, moment, jakiego świat nie zaznał ni przedtem ni potem, aż do skończenia czasów, aż do tej chwili, kiedy się odezwie trąba archanielska, zwołująca na sąd wszystkie pokolenia! Jezus zawołał głosem wielkim, potężnym tak, że wśród chaosu i burzy, jaka w naturze panowała, było doskonale słychać głos Jego. Chciał światu przez to pokazać, że On jest Panem życia i śmierci i że oddając ducha swojego, oddaje go zupełnie dobrowolnie. Zawołał Jezus głosem wielkim, bo chciał aby głos Jego, to ostatnie odezwanie się w czasie ziemskiego pobytu, doszło do najdalszych krańców ziemi, aby je usłyszały wszystkie uszy, aby się odbiło echem o wszystkie serca! Ojcze! — mówi Chrystus — w ręce Twoje oddaję ducha mego!... Ja Twój Syn, druga Osoba Boska... Słowo przedwieczne, rowny Tobie co do istoty, Ja, którym z polecenia Twojego i dla wypełnienia woli Twojej przyjął na się postać sługi, Ja, który stałem się ludziom podobnym we wszystkiem, krom grzechu, spełniwszy wolę Twoją aż do samego końca wracam do Ciebie, od którego wyszedłem. Ciało moje skrwawione, zbite, oplwane, niemocne, zostanie tymczasem jeszcze na ziemi, lecz ducha mego utrapionego, zanurzonego w męce aż do ostatnich granic możliwości oddaję Tobie... oddaję w ręce Twoje, bo chcę wypocząć po trudzie i pracy na łonie Twem przedwiecznem.

A to mówiąc skonał. Skonał ten, który był pociechą ludzkości, opuścił głowę na piersi swoje ten, który był pociechą Aniołów, przestało bić serce tego, który sercem tylko żył, miłość głosił i miłość zalecał. Skonał Zbawca świata!

Rozpoczęły się dziać dziwne rzeczy. Wśród nieprzeniknionych ciemności dało się uczuć trzęsienie ziemi. Poczuła ziemia, że w wnętrze jej zagłębiło się zbawcze drzewo krzyża, poczuła, że bezcenna krew Zbawiciela, okup za grzechy, zmieszała się z nią i uświęciła ją. Zadrżała przeto z radości, bo jeszcze nigdy dotychczas takich wartości w łonie swem nie czuła. I rozstąpiły się skały, a jak mówią ewangeliści, otwarły się groby i umarli z nich powstawali, ukazując się na ulicach Jerozolimy.

Padł strach na rzeszę, która z taką cierpliwością przed niedawnym czasem szła na Kalwarję, spodziewając się nie codziennego widowiska. Ci sami, którzy przed chwilą szydzili z cierpiącego, mówiąc, jeśliś Boży Syn, zstąp z krzyża, ci sami, którzy wołali do żołnierza podającego Mu gąbkę octem napojoną: „zaniechaj Go — zobaczymy czy przyjdzie Eljasz, aby Go uwolnić," teraz czują, że dopuścili się zbrodni na niewinnym. Faryzeusze i starszyzna, którzy niedawno podburzali lud przeciwko znienawidzonemu nauczycielowi, teraz spuściwszy wstydliwie głowy, aby nie patrzeć w oczy bałamuconego ludu, wracają bocznemi ulicami do domostw swoich. Już pod krzyżem niema prawie nikogo, bo jak mówi św. Łukasz: „wszystka rzesza tych, którzy wspólnie byli przy tym widoku i widzieli, co się działo, wracali się bijąc piersi swoje." Tylko rotmistrz rzymski, setnik Longin, musiał pełnić swą służbę aż do końca wraz z poddanym mu oddziałem żołnierzy. Dotychczas nie rozumiał on o co żydom chodzi, nie rozumieli też i jego podwładni i dlatego szydzili zeń i ubierali Go w koronę cierniową i szkarłatny płaszcz. Teraz pojęli, że to nie zwykły zbrodzień zawisł na krzyżu, lecz że to był Bóg, a w każdym razie człowiek

sprawiedliwy. Setnik widząc co się działo, chwalił Boga mówiąc: „prawdziwie ten człowiek był sprawiedliwy.“ Zbliżał się dzień święty. Według prawa nie wolno było zostawiać ciał niepogrzebanych. Trzeba się było przekonać, czy skazańcy żyją jeszcze, czy też już umarli. Żołnierze zbliżyli się do konających po dwóch stronach złoczyńców i przekonali się, że śmierć nie zmogła jeszcze ich silnych organizmów. To też w myśl ustawie połamali golenie jednemu i drugiemu. Skoro zbliżyli się do Jezusa, zobaczyli że już duch ciało opuścił. To też nie łamali kości Jego, lecz Longin dla stwierdzenia, czy śmierć istotnie nastąpiła, ściągnął włócznię i zagłębił jej ostrze w boku Jezusowym. I natychmiast wypłynęła z przebitego serca Jezusowego krew pomieszana z wodą, znak niechybny, że duch się od ciała oddzielił. Już żołnierze po dokonaniu swego zadania odeszli równym krokiem do koszar i tylko ci, którzy kochali Jezusa zostali jeszcze na Kalwarji, aby zdjąć ciało Jego z krzyża i uczcić Je pogrzebem.

Ustało trzęsienie ziemi... skończyło się zaćmienie słońca... rozstąpiły się chmury, a z poza nich jasne promienie ozłociły napowrót ziemię. Na Kalwarji zaległa cisza, tylko gdzieś opodal słychać było krzątanie się ludzi i szloch pobożnych niewiast. To Józef z Arymatei odprawiał pogrzeb Jezusa, odnosząc zwłoki do nowego w skale wykutego grobu.

Tak dokonało się odkupienie świata, spełniła się ofiara wielkopiątkowa!

II.

Najmilsi! A jakież są skutki tej śmierci Jezusa na krzyżu?! Pomyślmy dziś o tem, zastanówmy się dzisiaj pokrótce, jaki to niepojęty przewrót w świecie wywołała tragedja krzyżowa.

Na Kalwarji stanął krzyż, stanął jako znak odgraniczający dwa różne okresy czasów. Jednym ramieniem wskazuje ku przeszłości, ku przeszłości ciemnej, ponurej, wprost

strasznej. Gniew z tej strony tylko wieje i przekleństwo Boże. Jeśli się wsłuchasz uważnie, to dojdzie uszu twych głos zagniewanego Boga wyrzeczony w raju po upadku człowieka: „Przeklęta będzie ziemia w dziele twojem". Jeżeli się wsłuchasz w tę nieogarniętą przestrzeń czasów, to usłyszysz to straszne, wyrzeczone do człowieka przed potopem słowo: „żal mi, żem uczynił człowieka". Wsłuchaj się dobrze w ten miniony okres czasu, a usłyszysz to straszne zdanie, które wyklucza wszelkie miłosierdzie: „oko za oko — ząb za ząb." Z tej strony gdzie wyciągnięte jedno ramię krzyża Chrystusowego, po stronie przeszłości, nie płynie nic innego prócz lęku, groźby i bezwzględnej sprawiedliwości. Tylko jeden promyczek nadziei przenika tę ciemność, raz tylko odzywa się głos zmiłowania: „Położę nieprzyjaźń między tobą a niewiastą, między nasieniem twojem a nasieniem Jej — Ona zetrze głowę twoją, a ty czychać będziesz na piętę Jej".

A drugie ramię krzyża Chrystusowego wskazuje wprost przeciwną stronę — ku przyszłości. A przyszłość ta będzie jasna, jak jasną jest góra Kalwarja po ustąpieniu ciemności, po ustaniu zaćmienia słońca. Odtąd świat będzie żył pod znakiem miłosierdzia i miłości, pod znakiem krzyża Chrystusowego! Z chwilą, kiedy Chrystus wymówił swe ostatnie słowo na krzyżu, oddając ducha swego w ręce niebieskiego Ojca, zostało przekreślone słowo przekleństwa wyrzeczone do człowieka w raju, cyrograf potępienia wydany na niego i ciążący na nim przez nieskończone wieki, przedarł się na krzyżu na dwie połowy, jak przedarła się zasłona w świątyni i już po nim żaden ślad nie pozostał, niewola w wolność się przemieniła, lęk ustąpił radości, na miejsce sprawiedliwości bezwzględnej, nastąpił okres miłości.

Przenieś się człowiecze myślą do nieba. Ono dotychczas było zamknięte. Wrzeciądze jego pozostawały nieruchome, gdyż wejście doń było wzbronione. Nawet dusze sprawiedliwych starego zakonu nie miały tam wstępu, jak długo

nie był wyrównany rachunek między Bogiem a światem, jak długo okup za grzech nie został zapłacony. A oto teraz, zaledwo się dokonała ofiara krzyżowa, zaledwie duch Zbawcy powrócił na łono Ojca Swojego, a oto podnoszą się bramy niebieskie, otwierają się wrzeciądze wrót: „Atollite portas principes vestras et elevamini portae aeternales et introibit rex gloriae — podnoście książęta bramy wasze, podnoście się bramy wieczyste a wnijdzie król chwały!“

Zwróćmy oczy nasze ku bramom piekielnym. Dotychczas stały one naoścież, bo przez nie przechodziły całe szeregi potępionych dusz. Nie było łaski, nie było miłosierdzia, dusza ludzka splamiona grzechem nie znała środków, któreby ją napowrót oczyścić mogły i dlatego w przeważnej części ginęła na wieki. Lecz zaledwo krzyż na Kalwarji stanął, ledwie pierwsza kropla Krwi ofiarnej w ziemię wsiąkła, a już zamykają się przeklęte bramy, bo już od tej chwili opróżnią się drogi wiodące na potępienie, a zaroją się od dusz jasnych gościńce ku niebu wiodące.

Spoglądnimy jeszcze w jedno miejsce, rzućmy okiem ducha w te nieprzejrzane otchłanie, gdzie dusze sprawiedliwych czekały na okup, który miał za nich złożyć Chrystus na krzyżu. Zaledwo Jezus skłonił głowę swoją i umarł, aliści w otchłaniach tych radość niepomierna, bo sam Zbawiciel duchem swoim do otchłani wstępuje, aby pocieszyć tęskniące, aby je z więzienia na wolność wyprowadzić, aby z ciemności na światło je wywieść, aby je wyprowadzić w blaski niebieskie. Oto skutki spełnionej ofiary na krzyżu, skutki, których człowiek rozumem ogarnąć nie może! Dusza ludzka z niewolnicy przeklętej i potępionej królewną i panią się staje, ze sługi staje się Bożą córą, zrzuca z siebie suknię ciemną potępienia, stroi się w jasne szaty łaski. Odtąd pójdzie już ona prostym szlakiem ku szczęściu, a ile razy w drodze się zabłąka, wystarczy jej spojrzeć na krzyż, a on ramieniem swem dobrą wskaże jej drogę.

III.

A teraz, skorośmy się przypatrzyli śmierci Jezusa na krzyżu, skorośmy przy Bożej pomocy zrozumieli jakie to skutki śmierć ta pociągnęła za sobą, wejdźmy jeszcze raz w głąb serca naszego i starajmy się odpowiedzieć na pytanie, jakeśmy z tej Chrystusowej śmierci krzyżowej korzystali. Kim ty jesteś człowiecze? Istotę przez Boga stworzoną, opatrzoną duszą nieśmiertelną, a za tę duszę twoją Chrystus na krzyżu konał i za nią okup krwawy Ojcu niebieskiemu przynosił. Jakiż więc masz względem niej obowiązek? Masz ją zbawić, masz ją do szczęśliwej doprowadzić wieczności!

Pytasz się jak to uczynić? Podnieś oczy na krzyż i patrz choćby przez chwilkę na skamieniałą z boleści, zmarłą postać Jezusa. Zobaczysz w niej jeden szczegół, który nie może ujść uwagi twojej. Oto w sercu Jezusa otwarta włócznią Longina rana. Czemu Jezus (bo nic tu się nie dzieje bez celu) czemu — powtarzam — ten Jezus kazał sobie Longinowi włócznią bok otwierać? Uczynił to dlatego, bo chciał aby z otwartego serca Jego płynęły ustawicznie, po wszystkie czasy, zdroje łask na świat cały! Z rany tej otwartej płynęły niby ze źródła, które nigdy nie wysycha, siedem strumieni wody żywej, siedem strumieni łaski, siedem sakramentów świętych. W nich dusza rozpoczynająca drogę życia doczesnego może się obmyć z dziedzicznego obciążenia, z winy pierworodnej. Kiedy po drodze życia zaczyna słabnąć, siły swe tracić, to w tej krynicznej wodzie, w tym zdroju łaski płynącem z otwartego serca Jezusowego, może się dusza posilić, aby nie ustała w drodze. W różnych okolicznościach życia, kiedy duszy wzmocnienia potrzeba, aby mogła spełnić obowiązki względem Boga, bliźniego i samej siebie, stamtąd, z tej otwartej bramy płynie moc i siła. Kiedy jej przyjdzie po życiu doczesnem żegnać się z ciałem, aby odejść na sąd, to również w krzyżu jej siła, w krzy-

żu jej moc, z rany Serca Jezusowego wspomożenie!

Widzisz więc człowiecze, że Jezus zostawił ci sposoby i środki dostateczne, aż nazbyt dostateczne do zbawienia duszy twojej!

A czy ty korzystałeś z tych zdrojów łaski?! Popatrz dziś na otwartą ranę Jezusowego serca, przypomnij sobie, czyś często w nią duchem się zagłębiał? Przypomnij sobie dzisiaj stojąc tu wobec skonanego Chrystusa, czyś często serce swoje nadstawiał niby puhar, aby je napełnić kryniczną wodą łaski? Pomyśl... zastanów się, wejdź dzisiaj w siebie... odpowiedz sobie tutaj wobec Jezusa na krzyżu rozpiętego na pytania: „czym ja zawsze, ile razy w drodze życia się zbrukałem, biegłem do serca Jezusowego by się w wodzie łaski z brudów życia oczyścić?!... Czym zawsze, gdym był głodny, gdy serce moje spalone używaniem rzeczy doczesnych od pragnienia konało, czym biegł do serca Jezusowego, aby pragnienie duszy mej ugasić?!... A w ciężkich chwilach życia mojego, w chwilach rozpaczy, w chwilach rozterki wewnętrznej, czym się zbliżał do Jezusowego serca, aby znaleźć w niem moc i siłę wytrwania?!" „Co mi na te pytania mówi dzisiaj serce moje? Może ono mi powie, żem tak często w życiu przechodził mimo źródła wody żywej, a pragnienia duszy nie ugasiłem?!... Może ono mi powie, żem był brudny a nie myłem szaty duszy mej tam, gdzie było pod dostatkiem wody żywej?!... Tyle razy może w życiu mojem deptałem po owocach męki Jezusowej?!

Dziś już szmat życia mojego upłynął, już nie jeden wielki piątek przeszedł ponad głową moją, a dusza moja, ta dusza, którą zbawić mam, brudna, głodna łaski Bożej, spragniona napoju żywego, a ja nad nią miłosierdzia nie mam?!" Czy nie tak ci odpowiada dzisiaj dusza twoja na te pytania, które — chcesz czy nie chcesz — wobec krzyża Chrystusowego na myśl ci przychodzą. Jeśli tak, to rzuć się w otwartą ranę Jezusowego serca, bo ją Longin dla

ciebie otworzył. Dziś w wielki piątek, może ostatni w życiu twojem, obejmij rękami twardy słup krzyża, przylgnij do niego ciałem i duszą, a z krwi Jezusowej wypłynie dla ciebie ochłoda w życiu doczesnem i zbawienie wieczne. Amen.

KAZANIE NA WIELKI PIĄTEK II.

Wielki piątek! Powtarza dziś każdy człowiek — wielki piątek! idą te wyrazy niby prąd elektryczny przez duszę człowieka, wzruszają, wstrząsają jej istotą aż do głębi, z szybkością iskry elektrycznej obiegają świat cały, a wszędzie jednakowy wywierają skutek — wszędzie ożywiają uśpione dusze, wstrząsają nawet ospałe, zimne, kamienne, zamarłe serca!

Wielki piątek! Pyta się dziecię swej matki: „Mamo, czemu to dzisiaj w domu tak jakoś smutno? Czemu nie widzę zwykłego uśmiechu na twej twarzy?“ odpowiada matka: „Dziecino — dziś wielki piątek!“ I znowu: „Czemu to dzisiaj w kościele tchnie jakimś smutkiem?“ Zamilknął dzwon, który codziennie, niby wspólna wszystkich modlitwa wznosił się ku niebu. Ołtarze ogołocone z wszelkich ozdób wieją jakby zimnym chłodnym wiatru powiewem na duszę człowieka. Kapłani nie odprawiają mszy świętej i zda się że anioł śmierci usiadł na stopniach ołtarzy i powtarza słowa: „Introibo ad altare Dei — wnijdę do ołtarza Pańskiego“. W bocznej kaplicy, w potokach światła spoczywa nagi bolesny Chrystus. Przychodzą ludzie, suną się ku Niemu na kolanach, nachylają się nad wizerunkiem Ukrzyżowanego i w milczeniu całują ręce, nogi i bok. A taka dziwna powaga i melancholja osiadła na ich czołach. Tylko wzdychania i szepty jakieś niejasne napełniają świątynię. Czemu to? Co to wszystko ma znaczyć? Cóż to za dzień dziwny, który zmienia tak bardzo zwykły rzeczy porządek? Odpowiedź na ten szereg pytań bardzo krótka: „Dziś wielki piątek!“

I znowu dalsze pytanie: „A cóż to ten wielki piątek znaczy, czemże on się różni od innych piątków w roku?“ To dzień, w którym kościół katolicki obchodzi pamiątkę śmierci Odkupiciela świata Jezusa Chrystusa. Przed wielu wiekami w tym dniu zawisł On na krzyżu. Wśród męki i boleści straszliwej, wyrzekłszy słowo: Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mego“ skonał Chrystus Pan. Słowa Jego nie przebrzmiały, nie przemknęły jak strzała i nie przepadły w czasie. Uwięzły one na harfie, której strunami są ludzkie serca. Zaklęta ta harfa oparta jednym końcem o gwiazdy podniebne, a drugim o podwodne mórz głębiny, licząca tyle miljonów strun, ile jest ludzkich serc, milczy przez rok cały. Lecz, gdy przyjdzie dzień wielkiego piątku, kiedy z przestrzeni nieokreślonej głos doleci: Christus mortus est pro nobis — Chrystus za nas umarł“ to instrument ten Boży natychmiast się rozśpiewa. Drga na nim każda struna, każda, choćby najdrobniejsza. Płynie po ziemi pieśń, wzbija się aż pod niebiosa! Ale jakaż ona dziwna?! Radość i smutek, żal i wesele, spływają na świat ze strun tej dziwnej Bożej harfy. Tak! Bo dzień wielkiego piątku, to dzień bezmiernego smutku a zarazem bezgranicznego wesela. Smutek i żal rodzi się w duszy, bo dnia dzisiejszego obchodzi świat wspomnienie najstraszniejszej zbrodni, jakiej się wciągu tyle wiekowego istnienia dopuścił, zbrodni Bogobójstwa. Więc wstydzi się świat czynu swego i spuszcza głowę ku ziemi i żalem się zalewa. Lecz w dniu dzisiejszym stał się cud nad cudy. Po wielowiekowej niewoli spadły łańcuchy z dusz miljonów — zawarte bramy niebieskie otwarły się naoścież, a każdy, kto tylko zechce, może przez nie do nieba wstępować. Z Kalwarji wzniósł się dym ofiarny aż ku niebu i rozbroił gniew Boży. Już Bóg dla świata nie karzącym sędzią, ale miłującym ojcem. I stąd w duszach radość i wesele się rodzi. Wielki piątek, to dzień najgłębszego smutku i najwyższej radości!

Pospieszmy dzisiaj myślą na Kalwarję i przypatrzmy się tej bezcennej ofierze, zastanówmy się też nad Jej dla świata skutkami.

O Chryste! za nas na krzyżu rozpięty! Dodaj nam mocy i siły, byśmy na tę krwawą żertwę z współczuciem patrzeć mogli, byśmy też z owoców Jej korzystali dostatecznie.

Marjo! Przebolesna Matko! bądź przy nas i wstawiaj się za nami! *Z. M.*

I.

Człowiek czuł konieczną potrzebę wyrażenia uczuć swoich zapomocą jakiegoś widomego znaku. Uczucia, które rozpierały duszę jego, nie mogły pozostać w ukryciu. Jak lawa ognistego wulkanu, gdy się zbytnio wzbierze, podnosi się do góry i wylewa nazewnątrz, tak uczucie, które się w sercu kryje, jeśli zbytnio wzbierze, przerywa skorupę duszy i jawi się nazewnątrz. Nic tak dokładnie nie wyraża uczucia uwielbienia, czci Bożej, wdzięczności za odebrane łaski, kornego błagania o przebaczenie win, cichej prośby o potrzebne dary, jak ofiara. Stąd też człowiek od samego zarania swego na ziemi pobytu, wyrażał swe ku Bogu uczucia przez ofiarę. Pismo święte opowiada o pierwszych przodkach naszych, że składali Bogu ofiarę z majętności swoich, z owoców ziemi i trzód. Przed oczyma naszemi staje piękny obraz, jak to jeden z pierwszych mieszkańców ziemi pali pierwszy owoc swej własnej pracy na ofiarę Panu, a dym jej wznosi się ku górze jako miła woń. Za tą pierwszą poszły inne ofiary, które człowiek w ciągu bytowania swego składa Bogu, party jakąś wrodzoną, w sercu drzemiącą siłą.

Otwórzmy historję ludu wybranego. Świątynia i ofiara, to treść jej cała. Na każdy dzień stawał Arcykapłan przed ołtarzem Pana Zastępów, ofiarował chleb pokładny, palił na ofiarę zwierzęta, chcąc przez to wyrazić, że człowiek powinien za grzechy swoje być tak startym przez

Boga, jak ono stworzenie nierozumne i że tylko z Bożego miłosierdzia żyje na tej ziemi. I nie tylko lud żydowski, lecz także wszystkie ludy pogańskie składały bóstwu ofiarę. Wprawdzie nie znały one Boga prawdziwego, mieszkały w cieniu śmierci, ale wrodzonym instynktem odczuwały potrzebę ofiary bóstwu składanej. Grecy naród bardzo wysoko wykształcony, składali nawet ofiary pod adresem Boga prawdziwego mimo, że Go jeszcze nie pojmowali. Na świątyniach ich czytamy napis: „Deo ignoto — Bogu nieznajomemu". Inne narody mniej oświecone popadały w grube pod tym względem błędy, a przy ofiarach posługiwały się życiem ludzkiem Ileż to takich ofiar niewinnych dziatek pożarł bożek pogański Moloch! Krótko za Ablem i Kainem poszła ludzkość cała. Z całej ziemi podnosiły się ku niebu dymy ofiar i kadzideł. Jedne z nich szły niby ta czysta ofiara Abla ku górze, ku niebu — drugie pochodzące z ofiar zbrodniczych, z oszołomionych i opętanych serc ludzkich snuły się po ziemi, ciężarne przekleństwem. I między niebem a ziemią utworzył się cały wał dymów ofiarnych. Z dymem tym łączył się krzyk i prośba i błaganie biednych serc ludzkich, cierpiących niezmiernie wskutek Bożego przekleństwa. Ale niebo nie było łaskawe. Od chwili, kiedy po pierwszym grzechu padło pierwsze przekleństwo, ni raz jeden nie padł na ziemię jaśniejszy promień światła. Jakaś zmora dusiła ziemię, dręczyła serca! Ciężko —... ciężko było na świecie!!

Ofiary nie mogły przejednać sprawiedliwego gniewu Boga!! Aż przyszedł wielki piątek, pamiętny dla świata całego dzień!

Na górze Kalwarji, na tej samej górze, na której przed wiekami Abraham miał złożyć ofiarę Bogu z niewinnego chłopięcia swego Izaaka, miała spłonąć ofiara najczystsza i najświętsza, jaką kiedykolwiek ziemia widziała.

Syn Boży, Bóg człowiek miał złożyć ofiarę z samego siebie!

Wstąpmy na Golgotę i przypatrzmy się tej ofierze, zobaczmy kapłana, który ją składał, — przypatrzmy się żertwie, ofierze samej — spojrzyjmy na ołtarz, na którym się ofiara dokonać miała, poznajmy ogień, który miał zniszczyć ofiarę. Pójdźmy duchem na tę krwawą mszę św. i obaczmy, kto do tej krwawej mszy usługiwał, kto ministrował. Pójdźmy tam na górę i przypatrzmy się temu pierwszemu podniesieniu.

Cóż to za kapłan, który tę pierwszą krwawą mszę św. odprawia?! Kapłan to dziwny, kapłan, jakiego ani przed Nim ziemia nie miała, ani po Nim mieć nie będzie. Kapłanem tym jest Jezus Chrystus. On umyślnie dla odprawienia tej krwawej mszy opuścił niebiosa, zstąpił na ziemię, przyoblekł się w ludzkie ciało, okrył się ludzką naturą niby całunem, żył przez lat trzydzieści i trzy, jak by się gotował do tej krwawej ofiary. A gdy przyszedł czas od wieków przejrzany, wstąpił na Kalwarję, bo tam miała się odbyć ta przedziwna żertwa!

Lecz jakiż będzie przedmiot ofiary? Dotychczas świat składał Bogu ofiarę z owoców ziemi lub z żywego dobytku swego. A jakąż ofiarę poniesie na Kalwarję Chrystus Pan? Co złoży na ołtarzu ten pierwszy kapłan nowego zakonu? O! to już cud nad cudy!! Kapłan jest zarazem i ofiarą. Patrz człowiecze! On sam kładzie się na ołtarzu niby baranek niewinny a cichy. Podaje ręce swoje i nogi swoje na krzyż, wyciąga się na nim. Patrz! Już podniesiony do góry.... Patrz! już w tej pierwszej mszy świętej nastąpiło podniesienie!.... Spojrzyj na tę żywą hostję!.... Chrystusa żywe ciało i Chrystusowa żywa krew!.... Jezus, sam kapłan i ofiara zarazem, rozciągnął swe dłonie na krzyżu, jakby je ku Ojcu swojemu wyciągał!.... Słuchaj słów ofiarnych: „Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mego!".

I jak podczas podniesienia w naszych kościołach wszystko milknie i cisza świątynię zalega, a tylko głos dzwonu zwraca ludowi uwagę na ważność tej chwili, tak i podczas tego pierwszego podniesienia umilkła cała natura.

Niebo zasłoniło się czarnemi chmurami, umilkli wszyscy, co pod krzyżem stali.... tylko gromy i pioruny co się złoskotem po niebie przewalały, dawały światu całemu, niebu i ziemi znak, że się odbywa podniesienie żywej hostji za okup świata.

Chcesz widzieć ołtarz, na którym się spełniła krwawa ofiara? Prosty on bardzo i pojedynczy, zrobiony z dwóch kowałków, z dwóch nieociosanych, sękatych bierwion drzewa! Krzyż! Oto ołtarz nowego zakonu.... zatknięty na górze Kalwarji stoi, dźwigając na sobie przeczystą ofiarę!!

Kiedy Abraham wstępował na górę Moriah, by ofiarować syna swego Izaaka, to wziął z sobą drzewo na ołtarz i ogień którym miał spalić ofiarę. Bo do istoty każdej ofiary należy jej zniszczenie, a nic nie potrafi tak niszczyć jak ogień. A jakimże to ogniem pali Chrystus kapłan krwawą ofiarę?!... Cóż to za ogień, który ją spali i zniszczy?.... w jakiemże naczyniu wyniesie ten kapłan nowego zakonu ogień, ofiarny na górę?.... W własnym sercu wyniósł Chrystus ogień niszczący ofiarę — a ogień to niezwyczajny, nie ten, który tylko z zewnątrz pali — to ogień, który pali od wnętrza, to ogień niepojętej miłości ku biednym ludziom! Ten to ogień miłości, który rozpierał serce naszego Boskiego Zbawcy, spalił ofiarę na krzyżu. O! bo nie gwoździe, nie żołnierze, nie straże żydowskie przybiły Jezusa na krzyż!! Nie!!... to sprawił miłości Bożej ogień!

Oto pierwsza i jedyna msza św. krwawa! Bóg kapłanem i Bóg ofiarą! Ołtarzem krzyż prosty! Ogień co ofiarę niszczy — niezmierzona miłość! Ministrują przy tej ofierze aniołowie z Najświętszą i Najboleśniejszą Matką Marją.... Serafini przeczystemi sercami swemi niby kadzielnicami najczystszemi kadzą Panu wonią miłości,... Pioruny przecinające widnokrąg od wschodu do zachodu, zastępują miejsce gorejących na ołtarzu świec!.... czarna chmura, która się od zachodu toczy, to całun żałobny jedyny na który się ziemia zdobyła!

O! Zaiste! wielkie są sprawy Boże — nieogarnione ludzkim rozumem! Wielki i pamiętny dzień piątkowy, w którym się spełniła krwawa ofiara na okup świata!!....

II.

Opowiada historja święta, że po potopie, który zalał całą ziemię, stanęła arka na górze, która jak niektórzy powiadają zwała się Ararat. Noe wyszedł z korabia wespół z rodziną swoją i wyprowadził wszelkie stworzenia żyjące, które z rozkazu Bożego zachował na rozmnożenie życia na ziemi. I cóż było pierwszą i najważniejszą sprawą dla Noego po opuszczeniu arki? Oto na górze, na której arka stanęła, zbudował ołtarz Panu „a wziąwszy z każdego bydła i ptactwa czystego, ofiarował całopalenie na ołtarzu". „I zawoniał Pan wonność wdzięczności i rzekł: żadną miarą więcej nie będę przeklinał ziemię dla ludzi". Gen. 8,20 — 21.

„Postanowię przymierze z wami i żadną miarą więcej nie będzie zagubione wszelkie ciało wodami potopu. — Łuk mój położę na obłokach i będzie znakiem przymierza między mną a między ziemią. A gdy okryję obłokami niebo, ukaże się łuk mój na obłokach i wspomnę na przymierze moje z wami.... I nie będą więcej wody potopu ku wygładzeniu wszelkiego ciała". Gen. 9, 12 — 15.

Jakżeż się musiała bardzo podobać ofiara Noego Panu, kiedy aż znak widomy położył na niebie?! Tęcza siedmiobarwna, przecudna, niby wstęga łącząca niebo z ziemią ukazała się na obłokach, a Bóg przyrzekł, że już więcej ludu potopem karał nie będzie. Oto skutek ofiary!

A jakiż skutek sprawiła ofiara krzyżowa?

Jezus Chrystus, który mógł o sobie powiedzieć: „któż z was dowiedzie na mnie grzechu" złożył z własnego życia ofiarę na Kalwarji. Już nie dym z owoców ziemi, nie dym z czystych bydląt podnosił się ku górze, ku niebiosom, ale dym z krwi Jezusowej przeobficie przelanej! Czyż Bóg Ojciec będzie obojętnem okiem patrzał na tę przecudną, przeczystą, nieskończonej wartości ofiarę?! czyż

nie przyjmie jej ochotnem sercem, czyż nie zawrze z ludem, z światem całym przymierza?! czy nie zawiesi na nieboskłonie tęczy cudnemi blaskami siejącej? Patrz człowiecze okiem wiary na to, co się dzieje na Kalwarji i rozważ skutki przeczystej ofiary. Zamknął Pan Jezus swe Boskie oczy, zwiesił na pierś głowę, cierniem okrytą — po raz ostatni uderzyło serce — ostatni ciężki oddech podniósł Jego pierś — otwarły się usta, jakby na nich zamarły słowa pożegnania, jakby jaszcze po śmierci chciały mówić: „To dla ciebie ludu, to dla wszystkich na ziemi żyjących“ — i skonał...

A oto równocześnie rozległ się po niebie przepotężny głos: „atollite portas principes vestras et alavamini portae aeternales — podnoście bramy książęta wasze i otwórzcie się bramy wieczyste!“ Bramy nieba! Wy tak długo zamknięte zaworą grzechu bramy, podnoście się, bo ofiara dokonana, i człowiek, ten niewidzialny dotychczas w niebiesiech gość, wnijdzie tam natychmiast! On już napowrót będzie synem Bożym, On znowu będzie niebieskiej chwały dziedzicem! Bramy piekielne! Wy bramy straszliwe, na których napisane przekleństwa słowo: „kto tu wszedł, nie wraca — dla tych, którzy tutaj wstąpili, ustaje nadzieja“ zawrzyjcie się!! Już tutaj więcej dobrowolnie nikt nie pójdzie!... Człowiek odkupiony! Człowiek obmyty krwią baranka niepokalanego, więc go musi ominąć anioł wieczystej śmierci!... I zawarły się bramy piekielne, a otwarły niebieskie wrota. I ukazała się tęcza łącząca niebo z ziemią... To droga, którą dusze ludzkie mają iść z ziemi do nieba. O jakież dziwne blaski biją z tej drogi...! To cnoty ludzkie tak mienią się i błyszczą!

Bóg przejednany — Niebo otwarte! — Piekło zamknięte! — Między niebem a ziemią zbudowana z kolorów tęczy droga, którą odtąd aż do skończenia świata ludzkie dusze do krainy wiecznego szczęścia iść będą.

Oto skutki ofiary krzyżowej! Oto dzieło wielkiego — istotnie wielkiego piątku!!!

III.

Kiedy Najświętsza Panna Marja czterdziestego dnia po Narodzinach Jezusa zaniosła dziecię swe najdroższe do świątyni, aby złożyć przepisaną prawem Mojżesza ofiarę, starzec Symeon duchem wieszczym, duchem Bożym natchniony wyrzekł o tem dziecięciu, o Jego przyszłych losach i o Jego końcu życia słowa grozą przejmujące. Słowa te przeszyły niby miecz ostry duszę Marji, przeszywają też i do dziś każde uczciwe ludzkie serce. Mówi Symeon do Matki Bożej: „Oto On położon jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu i na znak, któremu sprzeciwiać się będą“ Łuk. 3, 34. Straszne i groźne to słowa! Jakto? ten Jezus, Bóg-człowiek co dobrowolnie z życia swego składa ofiarę za grzechy świata, ten Jezus, którego serce tak okropnie gorzało miłością ku ludziom, ten Jezus miałżeby być dla kogokolwiek kamieniem obrażenia? miałżeby wedle przepowiedni Symeona być dla wielu przyczyną upadku! On, który przyszedł zbawiać, miałżeby potępiać?! A jednak proroctwo to spełniło się prędzej niż sobie kto myśleć może.

Patrz człowiecze! Na Kalwarji umiera Pan Jezus! Dziwne okoliczności towarzyszą Jego śmierci. Ciemność zaległa całą ziemię, jakby natura sama płaszczem smutku po swoim Stwórcy się okryła. Skała pęka wśród ogromnego huku i ziemia się trzęsie — w skorupie ziemskiej tworzą się szczeliny. Otwierają się groby, a z ich wnętrza wychodzą umarli i ukazują się na ulicach Jerozolimy. W świątyni przedarła się zasłona, która oddzielała najświętsze miejsce od reszty przybytku. Pobledli ze strachu nieprzyjaciele Chrystusa. Lęk przejął ich słabe dusze. Oni co przed godziną jeszcze stali hardo naprzeciw krzyża i szydzili z Jezusa, teraz szczękają z bojaźni zębami i trzęsą się na całem ciele niby liść drzewa wiatrem jesiennym trącany. Czy upadną u stóp krzyża i będą błagać przebaczenia?... Żydowie padnijcie do nóg Jezusowych, uderzcie

czołem o stopę krzyża!! Jezus jeszcze nie skonał, to wam może przebaczy — może ostatnie skłonienie głową będzie dla was znakiem łaski?! On i nieprzyjaciołom swoim przebaczyć może i chce. W świeżej i ciepłej jeszcze krwi, która się pod krzyżem rumieni, obmyjcie wasze dusze. Nie! Oni się tylko boją, ale nie kochają i dlatego nie skłonią swej duszy. Niektórzy tylko biją się w piersi swoje — setnik poganin, człowiek obcy, on tylko wraca z pod krzyża i mówi: „Prawdziwie był to Boży Syn!“ Ale tych tylko garstka.

Dla nich krzyż i ofiara spełniona wyszła na zbawienie — reszta tłumu, mimo iż widzieli znaki, odeszła owiana strachem, czekając, rychło burza przejdzie, gotowi, gdyby się okazja trafiła, pójść po raz wtóry na Kalwarję i po raz wtóry patrzeć na mękę krzyżowanego Chrystusa. Starsi poszli z pod krzyża do Piłata prosić o straż dla pilnowania zwłok Ukrzyżowanego. Serca ich widok krzyża jeszcze bardziej zatwardził. O biedni oni!... Idą z pod krzyża, źródła miłości, z nienawiścią w sercu!... Idą ze spuszczonemi głowami, a za nimi głos gromu, który powietrze przeszywa jakby wołał: „Potępieńcy!!“ O! Dla nich krzyż i Jezus na nim rozpięty, na potępienie — potępienie wieczne!!

Najmilsi! Kalwarja ze swą męczeńską historją nie skończyła się jeszcze i nie skończy się nigdy... przenigdy!! Krzyż wbity w skałę Golgoty zbrodniczą ręką w piątkowy dzień stać będzie aż do końca świata — ofiara złożona w wielki piątek, ta pierwsza krwawa msza, ona powtarzać się będzie codzień na wszyskich miejscach aż do skończenia świata. Dopiero, gdy na nieboskłonie wpośród obłoków ukaże się krzyż jasny, jako znak Syna człowieczego przychodzącego na sąd, dopiero wtedy ustąpi krzyż Kalwarji! Przedtem nikt go nie wyrwie! Będą się wściekać niektórzy, — będą zęby zaciskać, będą się odgrażać pięściami, będą pluć, będą bluźnić, będą się miotać, by ten znak wydrzeć! i zarzucić gdzieś tak, żeby pamięć o nim zaginęła! Niestety! zmęczą się, spienią, lecz znaku krzyża nie wydrą!!

Przez wieki całe będzie on stał na Kalwarji, a na nim bladą śmiercią spowita bolesna postać bolesnego Chrystusa, jako znak, któremu sprzeciwiać się będą, jako znak — jednym na powstanie — a drugim na upadek! Nikt kto się na świat narodzi, nie może przejść przez życie, żeby na krzyż nie natknął. Albo się skłoni i krzyż podejmie i uściśnie i na barki weźmie i dla tego będzie krzyż na zbawienie, albo się od krzyża odwróci i bluźnił mu będzie, a dla niego krzyż będzie na potępienie!

Przyjacielu! Dziś wielki piątek. Przed oczyma duszy twojej staje krzyż z Jezusem bolesnym, konającym. Odeszli z pod krzyża żydzi, odeszli nieprzyjaciele. Została tylko Marja Matka Bolesna i przyjaciele Jezusowi. Usiądź koło Marji, która na kolanach trzyma martwe zwłoki Syna i wpatrz się w krzyż co stoi na Kalwarji! Popatrz na nogi! ręce przebite Jezusowe, spojrzyj na serce otwarte, popatrz na usta blade, i oczy przymknięte, mgłą przysłonione. Popatrz na siebie i spytaj się — czy ten Jezus, którego Marja na łonie trzyma, będzie dla ciebie na zbawienie, czy na potępienie?! Czy ten, krwią Boską oblany krzyż zaświeci ci kiedyś przed skonaniem na zbawienie, czy na potępienie?! Pytam się ciebie w imieniu Jezusa Chrystusa — Człowiecze! czy Jezus jest dla ciebie zbawieniem? — czy potępieniem?!! Odpowiedz! odpowiedz dziś w wielki piątek przy martwem ciele Jezusa — Zbawcy twojego.

Był dotychczas na potępienie, lecz dziś się odmieni i będzie ci na zbawienie!

Jezu! spojrzyj z krzyża! Skłoń głowę! przebacz! Marjo wstaw się za nami... Amen.

REKOLEKCJE

DLA WOJSKOWYCH — OFICERÓW — WZGLĘDNIE
DLA INTELIGENCJI.

I.

RELIGJA

POJĘCIE RELIGJI — JEJ ISTOTA — WPŁYW RELIGJI NA ŻYCIE.

Wstęp — Na jednym z grobowców celtyckich czytamy napis pochodzący od druidów t. j. kapłanów osnowy: „świat opiera się na trzech rzeczach — mieczu, księdze i harfie". Przetłumaczywszy to na język codzienny, powiemy — „świat opiera się na sile, ustawodawstwie i sztuce". Tak jest! Jeżeli się chociaż pobieżnie wpatrzymy w dzieje ludzkości, to się o prawdzie powyższego epitafjum przekonać możemy. Po wszystkie czasy, wszystkie społeczeństwa, które żyły i rozwijały się, musiały mieć pewną siłę, która ich zasłaniała przed zachłannością sąsiadów — musiały mieć dla swego wewnętrznego rozwoju prawo — a dla uprzyjemnienia i ozłocenia szarego życia, musiały mieć sztukę.

Reguły i zasady, któremi się narody utrzymują, są zawsze te same. Nil novi sub sole!: Jak dusza ludzka jest odwieczną i odwieczne prawa myślenia, tak i prawa te są odwieczne. Więc mają one zastosowanie i do naszych czasów i do wieków przyszłych, po wszystkie czasy. Według tych zasad, pierwszą podstawą dobrze zorganizowanego społeczeństwa, to siła.

Siła ta, to nie coś oderwanego, to nie jakaś „niewiadoma" w równaniu, ale to wykwit siły społeczeństwa, ujęty w formy i reguły — to, co my nazywamy „wojskiem".

Obecnie żyjemy w okresie, gdzie najwyższe duchy ludzkości dążą do zniesienia siły zbrojnej, do ograniczenia

jej możliwie największego. Zdaje się jednak, że to utopja, która się w różnych „treuga Dei“ i „w pokojach wieczystych“ nieraz w dziejach powtarzały. I widzimy, że mimo tych pokojowych dążeń krew się obficie leje w różnych stronach świata i w różnych końcach globu wznoszą się pożary, które mogą znów, jak temu lat kilkanaście, rozpalić świat.

A my Polacy, którzyśmy opatrznościowo odrodzoną Ojczyznę otrzymali — czy możemy liczyć na to, iż nam sąsiedzi nasi pozwolą spokojnie żyć i spokojnie się rozwijać?

Daj to Boże! Lecz z tego, co codziennie obserwujemy, trudno się oddawać słodkiej nadziei. Musimy i my oprzeć się na tem odwiecznem prawie, któreśmy na owym celtyckim grobowcu odczytali i życie nasze narodowe i społeczne, nasz byt państwowy — samodzielny, oprzeć w pierwszym rzędzie na mieczu t. j. na sile zbrojnej.

I wy tutaj zebrani jesteście w Ojczyźnie naszej tym mieczem, na którym spoczywa porządek. — Wy stanowicie zrąb gmachu ojczystego. — Wy macie być i jesteście tymi budowniczymi, którzy z żołnierzy polskich, synów tej ziemi, niby z pojedynczych cegiełek kładziecie fundament pod gmach odrodzonej Ojczyzny!

Ważność tej pracy widoczna! Jaki fundament, taki gmach! Stąd też odpowiedzialność wielka — odpowiedzialność przed współczesnymi — i przed przyszłością.

Do tej pracy trzeba się przygotować i to nie tylko fizycznie, ale też duchowo. My wiemy wszyscy i to dokładnie, co znaczą siły ducha „siły moralne“, które w nas drzemią — one tylko prowadzą do zwycięstwa!

Otóż rzeczą moją będzie w tych kilku godzinach, które mi Panowie ofiarowali, siły te, które w każdym z nas są, o ile kto nie jest kaleką duchowym — ale przyprószone popiołem opieszałości, na wierzch wydobyć — te ukryte skarby odkopać i puścić je w ruch — rozpocząć handel tem złotem szczerem. Proszę tylko w tej

pracy być mi pomocą przez poddawanie dusz na uderzenie, tego Bożego istotnie kilofa, — słowa.

Regulamin służby wewn. (Zarys) Cz. I-sza § 12 brzmi: „w twardem życiu żołnierskiem zasady moralności i religji są ostoją podtrzymującą w chwilach niebezpieczeństwa. Prawdziwy żołnierz polski oceni zawsze ich znaczenie, dlatego również nie obrazi nigdy uczuć religijnych swych towarzyszy broni innego wyznania".

Jasno stąd wynika, że fundamentem, podstawę wychowania żołnierskiego chcą widzieć przełożone władze nasze nie w czem innem, tylko w religji. Zwłaszcza u nas, w naszej armji polskiej, gdzie religja zrosła się z narodowością, jak wierzch z podszewką — gdzie młodzieniec wstępujący w szeregi przynosi z sobą ogromny zasób tego budulca — religijnego życia — nie można się przy wychowaniu żołnierza na czem innem opierać, jak tylko na religji. Ale, aby budowniczy umiał korzystać z tego materjału, aby umiał nim dysponować, trzeba, aby sam był religijnym, aby sprawa religji nie była mu obojętną, a co gorsze obcą. Stąd też moją pracę górniczą w duszach waszych rozpocznę od tego, że będę się starał życie religijne, które może osłabło ożywić — z głębin duszy na światło dzienne wydostać.

b) Pierwsze pytanie — Co to jest religja? W tej dziedzinie znajdujemy ogromnie bogatą literaturę, zwłaszcza z ostatnich czasów. Z rozwojem ludoznawstwa, z rozwojem geologji i paleontologji zaczęli różni badacze szperać w duszy zmarłych już epok, badać zwyczaje i obyczaje ludów już dziś zamarłych, zaczęli czytać w wnętrzu ziemi, niby w księdze, w której pojedyncze warstwy stanowią karty pojedyncze i nie mogli się nie natknąć na wierzenia, na kult, na religję. Owszem, na każdej z tych kart najbardziej rzuca się badaczom danych epok — religja tej epoki. I dzisiaj mamy już całe bibljoteki tej najnowszej może umiejętności — nauki o religjach różnych narodów. Aczkolwiek definicje różnych uczonych filizo-

fów, o ile chodzi o religję nie są między sobą zgodne i zupełnie innego zapatrywania pod tym względem jest n. p. Kant, a innego jeszcze Feuerbach, a jeszcze innego Schopenhauer i inni filozofowie i uczeni, to jednak wszyscy w tem są zgodni, że początki religji, podobnie jak początki ludzkiej mowy prowadzą do wspólnej kolebki, że religja tak ludów kulturalnych, jako też ludów stojących na pierwszym szczeblu rozwoju mają ze sobą pewne wspólne znamiona, wspólne cechy, a co z tego wynika, że jest ona nie czemś narzuconem z zewnątrz, niby farba na płótno, nie czemś co się ludzkiej duszy narzuciło z biegiem wieków dla jej czy to ujarzmienia i utrzymania jej w karbach, jak chcą jedni, czy też dla ułatwienia jej znoszenia cierpliwego boleści i smutków, jak chcą inni, czy też znów dla zbierania w niej niby w skrzyni tradycji i podań najstarszych, jak chcą inni, lecz, że ona obchodzi narodziny swoje razem z narodzinami ludzkiej duszy, że jest tak starą, jak starą jest dusza ludzka. To też widzimy, że zaraz u kolebki ludzkiego rodzaju podnosi się dym ofiarny z ziemi ku niebu na znak, że religja jest tak starą, jak starym ludzki ród. („Kain i Abel“)

Owszem, im bardziej zbliżamy się do kolebki rodzaju ludzkiego, tem ta religja wspólna ludzkości całej występuje w szacie więcej królewskiej, chociaż pojedynczej. I nic dziwnego, bo i dusza pierwotna była królewską, pojedynczą i czuła jeszcze te więzy już wprawdzie potargane, które ją z bóstwem łączyły.

A religja — to nic innego, tylko ta wieża odwieczna między bóstwem a duszą. Ongiś, u samego początku, była dusza, to tchnienie Boże w wszechświat, obdarzona przez Boga po królewsku, mało — po Bożemu! Jako emenacja bóstwa, jako cząstka Prabytu, obdarzona była i rozumem jasnym, który zdolen był pomieścić w sobie, posiąść i ogarnąć wszystkie tajnie i głębiny bóstwa, gdyż dla niej tajemnic nie było! Silną była dusza ludzka i skłonną do dobrego, iść za Bożym rozkazem było dla niej

łatwo! Lecz nastąpił jakiś kataklizm — największy ze wszystkich, jaki się kiedykolwiek pod słońcem zdarzył. Dusza oderwała się od pnia swego, niby liść jesienny odrywa się od drzewa. I podobnie jak jesienny liść wpada w błoto i marnieje podeptany ludzką stopą i wmieszany w glinę rozmokłą, tak i dusza ludzka wpadła w błoto nędzy! Ale jej władze zasadnicze pozostały. Pozostał jej rozum — który dąży do poznania prawdy. Idzie on przez wieki i pyta się ciągle: „gdzie prawda?“ i gdy trafi na głębinę, na tajemnicę, pyta się: „dlaczego to?“ i gdy zbłądzi wśród tej odwiecznej wędrówki zadaje pytanie: „a którędy droga?!“ Pozostała jej wola, tylko że słaba! Ongiś była ona jak młody junak, dla którego niema, żadnych przeszkód, niema trudności, którychby się bać potrzebował. Teraz wola staruszka, słaba, która na każdy powiew wiatru uważać musi, aby ją nie zawiało, bo jedno zawianie, to śmierć. Pozostało jej uczucie! Dawniej było ono niby biegun magnetu nastawionego ustawicznie na jeden punkt, w jednym kierunku — dziś linje działania tego magnetu — uczucia, rozszczepiły się, zróżniczkowały. Uczucie kieruje się nie zawsze ku temu co dobre i miłości warte, ale się rzuca na wszystko, co pospolite, a nawet na wszystko, co mało warte, na wszystkie minusy.

Te trzy władze ducha ludzkiego, aczkolwiek wskutek tego przedwiecznego kataklizmu zmienione, osłabione, pozostały i drzemią w istocie ludzkiej, w ludzkiej jaźni, w tem mojem „Ja“.

Z nawyknienia, poświadomie, przypominając sobie, jakby przez sen owe nieskończenie miłe chwile, spędzone na łonie Bożem przed katastrofą, jaka się jej, jak mówią źródła wszystkich religij, z jej własnej winy przydarzyła, — zwraca się ku bóstwu odruchowo, bezwiednie, tak, jak się zwracają bezwiednie pączki pękającego na wiosnę krzewu ku słońcu. Poświadomie, bezwiednie dusza ludzka tęskni za tym stosunkiem, jaki panował ongiś między Bo-

giem, źródłem jej bytu a nią, najwspanialszym tworem bóstwa, owocem twórczej myśli Bożej.

I na tem polega religja. Dusza rwie się do Boga — szuka drogi powrotnej do Niego — nie chce zrywać stosunków z Nim. To, co mówią teologowie „religja, to stosunek człowieka do Boga". Wszystkie inne definicje — a jest ich bardzo, bardzo wiele, bo każdy uczony i każdy badacz zagadnień religijnych, uważa sobie za punkt honoru swoją własną postawić definicję — są fałszywe i nie odpowiadają potrzebie duszy ludzkiej.

c) Dalsza kwestja, która się nam w toku naszego rozważania narzuca, to pytanie, w której władzy ducha ludzkiego ogniskuje się zasadniczo nasz stosunek do Boga, Sprawa ta jest ważna, gdyż wielu badaczy zadań religijnych, (lecz o tych nam nie chodzi) a także wielu ludzi, zwykłych śmiertelników, — jednak myślących, zastanawiając się nad istotą religji w teorji, a następnie chcąc wieść życie religijne praktycznie, starają się wykryć jej właściwą siedzibę w różnych władzach duszy. Jedni widzą w religji przejaw umysłowości i na tej podstawie postawił Luter tezę, zasadę: „Wierz! a chociażbyś popełnił największe zbrodnie, będziesz usprawiedliwion". Inni uważają religję jako przejaw woli. Na tej podstawie postawił filozof królewiecki Kant zasadę: „nie zbiór pewnych nauk, jako objawienie, lecz całokształt wszystkich naszych obowiązków, jako nakazów Boskich, a subjektywnie postulat, by spełniać je jako takie — to religja". Inni jeszcze, a tych plejada największa przekazują całą sprawę religji sercu, inaczej uczuciu, czynią z niej wyłączną dziedzinę wyobraźni, płód chorego marzycielskiego serca.

Żadna z tych hipotez, żadne z tych przypuszczeń nie ma racji. Dusza cała, a więc ze wszystkiemi swojemi władzami od Boga pochodzi i dlatego cała, wszystkiemi swojemi członami, wszystkiemi władzami i mocami swojemi ku Niemu się zwraca. Stąd siedzibą religji, która, jak wiemy, jest niczem innem tylko rełacją duszy do Bóstwa, są wszyst-

kie władze duszy a więc i rozum i wola i uczucie. Lecz każda z tych władz ma specjalną funkcję w tym stosunku do Bóstwa, ma szczególniejsze zadanie.

Rozum ma poznać Boga, bo jakżeż ja mam pozostawać w stosunku do czegoś nieznanego? Nie chodzi tu o poznanie prawd religijnych, o poznanie dogmatów, bo może być ktoś teologicznie bardzo wykształconym, a nie będzie człowiekiem religijnym, bo gdy wiedza nie znajduje oddźwięku w woli i nie wydziela uczuć religijnych, gdy człowiek ma tylko Boga w głowie, a nie w sercu, nie może być mowy o religji. Niemniej jednak wykluczenie pierwiastku rozumowego pozbawia religję silnej, jednolitej podstawy i wyradza bezmyślność, marzycielstwo, wywołuje rozdźwięk i sprowadza najzgubniejsze zboczenia religijne.

Wola ma za zadanie uznać Boga, skoro Go rozum poznał. Aczkolwiek więc religja nie oznacza tego samego co moralność, to przecież przez to, iż „dobrowolnie“ uznaje Boga za Boga, Stwórcę wszechrzeczy, jest ona stosunkiem moralnym, dobrowolnym i dlatego rzeczą, aktem woli. Bez woli niema nawet wiary, chociaż ta napozór wydaje się być tylko pracą poznania a więc rozumu. A takie akty ducha religijnego jak cześć, uwielbienie, posłuszeństwo, ufność, miłość nie mogą się rodzić z czego innego, tylko z woli A wreszcie uczucie objawia już bezpośrednio istnienie Boga

Wszelką, chociażby najniedoskonalszą myśl o Bogu, wyprzedzić musi uczucie. Jakżeż bowiem znalazłaby dusza Boga drogą myślenia, gdyby Go nie przeczuła uczuciem? Twórcza siła Boża rzuca bezustannie w wszechświat promienie a to promieniowanie mocy Bożej twórczej, jest tak silne, że je dusza musi odczuć.

Tak więc widzimy, że w religji wszystkie władze duszy mają wyznaczone swoje zadanie, wszystkie odgrywają pewną rolę — a więc i wola i rozum i uczucie. Niby struny rozpięte na insrumencie zawsze gotowe do drgań, milczą, dopóki ich nie szarpnie dłoń mistrza, a gdy je targnie, dźwięczą i melodję wydają i łączą się z sobą w akordy —

tak i te władze duszy są nastrojone na pewien ton religijny. Gdy je pobudzi do drgania jakaś przyczyna zewnętrzna, wydają z siebie muzykę najcudowniejszą, jaka jest pod słońcem hymn na cześć Boga, pieśń religijną „Hosanna!“ I kłoni się duch ludzki w wierze głębokiej przed „Nieogarniętym i Niepojętym“ i ufność swą dziecięcą w Nim składa i miłością, niby najlotniejszym ptakiem, aż ku najwyższym szczytom Praistnienia wylata. I gra na tej z promieni słońca sporządzonej harfie dusza ludzka hymn uwielbienia i bezwzględnej czci i poddaństwa bezgranicznego!

I to jest religja.

d) Lecz dość nam teorji — przejdźmy do praktyki. Każdy człowiek mądry zbliżając się do pewnego przedmiotu stawia sobie pytanie: „i cóż mi z tego?“ „na co mi się to przydać może?“ Kiedyśmy się przypatrzyli tej cudownej harfie (aby nie wyjść z porównania) na której duch ludzki pieśń religji na cześć bóstwa wygrywa, musimy sobie również postawić pytanie: „co mi z tego? na co mi się to przydać może?“ Czy nie lepiejby było rzucić tym instrumentem o skałę i rozbić go w kawałki?

Nie! jeszcze raz nie!! bo on ci człowiecze koniecznie w życiu potrzebny. Bez tego instrumentu, bez tej harfy, życie twoje byłoby ciemne i nędzne i smutne. Co ci człowiecze daje w życiu religja? Światło — i to światło prawdziwe! W drodze życia, w tem pielgrzymowaniu naszem doczesnem natrafiamy co chwilę na zagadki — na sprawy ciemne, tak, że śmiało powiedzieć można, że jesteśmy prawie otoczeni samemi zagadkami. Jest ich pełno w naturze, a gdy wejdę w krainę ducha, gdy się zacznę zagłębiać w te przepastne głębiny bytu, przeznaczenia, losu, nieszczęścia, cierpienia, to widzę, że kroczę wśród ciemności, że idę jak ślepiec nieszczęsny, że błądzę po manowcach i drogi prawdy znaleźć nie mogę. Szukam tedy światła u mędrców i filozofów, ale każdy co innego mi powiada i każdy inną mi daje radę na drogę życia. Ich światła, to błędne ogniki, które się nad moczarami

życia unoszą. Wabią, ciągną za sobą, ale ciągną w topiel, w niezgruntowany moczar — a kiedy się do nich zbliżę, znikają nagle — a wtenczas jeszcze większy mnie mrok ogarnia. I gdzież znajdę światło rzetelne, światło prawdziwe, pochodnię jasną, przy której blasku mógłbym wyjść z ciemności na świat jasny, gdzie znajdę światło, które potrafi mi oświecić ścieżkę mojego żywota? Tylko religja daje mi tę pochodnię. Na rozum mój, na władze poznania, na ten słabiutki kaganek, jaki jako człowiek wyniosłem z tej katastrofy, z tego kataklizmu przedwiecznego, religja, której źródło u Boga, rzuca ogromny refleks światła Bożego i, o dziwo! pod wpływem tego refleksu, Bożego światła ten słaby kaganek mój, rozum, władza poznania nabiera blasków, nabiera światła tak intenzywnego, że przy jego sile znikają wszelkie zagadki życia, przy świetle tem widzę doskonale drogę, którą mam iść. Już się nie potykam o kamienie, nie wpadam w doły, nie grzęznę w przydrożnym błocie, nie chodzę po topielach i mokradłach, ale idę drogą prostą i pewną do celu. Tak! religja daje mi w życiu światło prawdziwe.

Religja daje moc i siłę woli. Okaleczał człowiek w czasie owego upadku, kiedy się przeciw Bogu buntował. Idzie przez życie jak kaleka — lada przeszkoda obala go o ziemię. Lada pokusa łamie wolę niby słaby patyk. A na drodze życia piętrzą się trudności. To nie szeroki i wygodny gościniec, ta droga życia ludzkiego. Sam Chrystus nazwał ją drogą wąską i ciernistą i pełną wybojów. Nie różowem kwieciem słana ta droga, lecz wysłana nędzą, biedą, niedostatkiem. I ból szarpie przechodnia, ból dojmujący i ranić cię przychodzi. A wola słaba! „Chciałabym, — chciałabym“ powtarza wola, a tak jej trudno wymówić to silne męskie „chcę — i muszę.“ I skądże umocnienie woli? Religja, która łączy duszę moją z źródłem mocy wszelkiej, sprowadzi na wolę moją umocnienie. Kiedy na Apostoła narodów, św. Pawła, uderzały fale pokus i chciały Go sprowadzić z drogi dobrej na bezdroża, skarży się na

słabość swoją i na niedołęstwo swoje — lecz podniósł wolę swoją ku Bogu, połączył ją ze źródłem mocy, z bóstwem i nastąpiła nagła przemiana, metamorfoza. I ten sam, który się żali i narzeka na słabość swoją i mówi: „czuję zakon w członkach moich, sprzeciwiający się zakonowi Bożemu", wzmocniony religją woła: „wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia!"

I dla mnie niema innego sposobu, na wzmocnienie słabej woli mojej! I ja, jeżeli chcę jako tako przejść przez życie, a nie mogę złamać się i nie popaść w całkowity bezwład, jeśli chcę przezwyciężyć wszystkie cierpienia i bóle, które życie pod nogi mi rzuca, nie mam innego sposobu, tylko przy pomocy religji, niby zapomocą kontaktu, który łączy pojedyncze motory z źródłem siły elektrycznej, połączyć się z źródłem mocy wszelkiej, z Bogiem, wzmocnić wolę, aby już nie mówiła „chciałabym", lecz żeby sobie powiedziała mocno „chcę — i muszę". A wtedy przejdę przez twardą drogę życia i zwyciężę wszelkie przeszkody, jakie mi ono pod nogi rzuca.

Religja wzmacnia wolę, tę słabą ludzką wolę.

Uczucie, to organ duszy, dążący do zgromadzenia i do objęcia w posiadanie najwięcej dobra, a przez to zgotowania sobie w tym stanie posiadania jak największej masy dóbr — szczęścia. Stąd to ta władza duszy naszej podobna jest do młynka, który czyści zboże. Zadaniem jego jest oddzielić czyste ziarno i zgromadzić je na jedno miejsce, a plewy i wszelkie nieczystości zgromadzić osobno. Stara ona się zgromadzić wszystko co dobre, co przyjemne, na jedno miejsce i posiąść tę całą sumę dobra, zaś to co nieprzyjemne, niemiłe, niedobre, bolesne, stara się oddalić z duszy ludzkiej, wydzielić tak, aby dusza tego wszystkiego nie widziała.

Lecz jakże trudna praca tej trzeciej władzy duszy — uczucia?! Pod skrzydła tej maszyny wydzielczej i rozdzielczej pcha się więcej zła niż dobra. Przelicz wszystkie chwile życia swojego i zobacz — dużo w nich było chwil

jasnych? Zobaczysz że niewiele, a i te nieliczne momenty szybko przemijają! Ileż za to było w życiu łez, cierpienia i bólu? I jakżeż serce nasze może znieść te wszystkie dolegliwości życia? Jakżeż się nie ma wypaczyć uczucie, które, dążąc całą żywiołową siłą do szczęścia, znajduje na swej drodze nędzę?

I znów pomaga tu człowiekowi religja, która każe się cieszyć, gdy nam słońce szczęścia świeci, ale również zabrania rozpaczy, gdy ból swe szpony w miąż serca zapuści. Gdy nas męka zbyt do ziemi przygniecie, przychodzi do nas religja niby stara doświadczona matka i na rozgorączkowaną głowę swe ręce kładzie i ucisza i uspokaja i na zaświaty wskazuje, jako na kres bólu, a początek prawdziwego, żadną zmianą nie zagrożonego szczęścia. Gdyby jej nie było, tej Bożej pocieszycielki, to życie utraciłoby wszelki uśmiech, wszelką nadzieję i z chwilą kiedy się życie zaczyna, zaczynałoby się równocześnie prawdziwe piekło. Jest więc religja dla uczucia, tego trzeciego organu duszy naszej, niezbędną dźwignią, której nic zastąpić nie może.

Powiedział nasz Krasiński: „filozofja, (którą niektórzy chcą mieć jako namiastkę religji) dobra jest przy zabawie — lecz gdy cios na człowieka padnie, tylko w religji może człowiek znaleźć prawdziwą pociechę.

Oto, czem jest religja dla rozumu, dla woli i dla uczucia!

Nie jest ona, jak z powyższego wynika, ani aktem samego rozumu (poznania), ani aktem samej woli, ani też nie ogranicza się, jak wielu tego chce, li tylko na samem uczuciu, ale ogarnia wszystkie władze duszy naszej, przenika całego człowieka i łączy go z Bogiem, źródłem bytu i końcem, do którego przez życie dążymy.

Mimo, że religja jest niezbędnie człowiekowi potrzebną, mimo, iż ona tem dla duszy, czem słońce i powietrze dla życia fizycznego, mimo to bardzo wielu ludzi odrzuca ją jako balast, jako ciężar zbyteczny, który należy

za wszelką cenę z taczki naszego żywota usunąć! Wielu, a zwłaszcza ludzi młodych, uważa religję za coś, co nie odpowiada ich godności i odrzucają ją twierdząc, że do przejścia przez życie wystarczą im zdrowe muszkuły, zdrowe nerwy i zdrowe zwoje mózgowe. I idą przez życie i nadrabiają miną i śmieją się często z tych, którzy w religji szukają oparcia. Ale jakże często i oni, ci najwięksi przeciwnicy wszelkiej metafizyki w życiu, gdy ich los do ziemi przyciśnie, wołają w ciszy i osamotnieniu: „Boże! Boże! czemuś mnie opuścił?“ Bo nikt nie może iść drogą życia, niosąc w piersi swej zamiast serca, kamień! I dlatego to, kiedy się w czasie wojny walił świat cały na biedne ludzkie głowy i kiedy pokłosie śmierci bujnie zasłało łany życia, świat, t. z. człowiek, to znaczy jeszcze dokładniej — dusza ludzka — prawie bezwiednie nawróciła się do Tego, który ją umacnia, do Boga, a życie religijne, które zamarło prawie wśród uciech i rozkoszy, automatycznie się ożywiło.

A w obecnych ciężkich czasach, które przeżywamy nie tylko my w Polsce, ale cała Europa, a nawet cały świat, jakie mamy lekarstwo na uzdrowienie chorych naszych stosunków?

Szukamy lekarzy — cudotwórców, szukamy lekarstwa na nędzę społeczną u różnych znachorów — a o jednem nie pamiętamy, a mianowicie, że źródło dobra i zła jest w nas, wewnątrz nas, a nie nazewnątrz — nie poza nami. Uzdrówmy duszę naszą, wyprowadźmy ją z zapowietrzonych ciemnic na światło, jakie rzuca religja — dajmy jej odetchnąć świeżem powietrzem, które tylko z religji płynie, a stosunki społeczne się zmienią i znów jakie takie szczęście wróci na świat!

A szczególnie Wy, których Opatrzność powołała na budowniczych ojczystego gmachu — miejcie religję, bo bez niej nie będziecie mieć siły do pracy — i szczepcie ją na duszach powierzonej Wam młodzieży, bo inaczej

z dusz tych młodych popłynie ku Wam zemsta, która Was zmiecie i pracę Waszą zniszczy i ojczyznę może napowrót w grób położyć.

Nie daj tego Boże! Amen.

II.

SZATA ZEWNĘTRZNA RELIGJI.

DOGMAT — MORAŁ — KULT.

a) W poprzedniem rozważaniu przypatrywaliśmy się religji z podmiotowego punktu widzenia i stwierdziliśmy, że subjektem, podmiotem religji jest cały człowiek, wszystkie władze jego ducha, a więc rozum, wola i uczucie kierują nas do jednego bieguna, niby igła magnetyczna, do szczęścia.

Lecz te władze ducha ludzkiego, które są same w sobie niedostrzegalne, starają się objawić nazewnątrz, na wszelki sposób, gdy inaczej ich istnienie nie byłoby niczem uzasadnione. Uzupełnieniem zupełnie naturalnem i logicznie konsekwentnem podmiotu jest przedmiot. Widzimy to wszędzie, a już zasadniczo w myśleniu ludzkiem, którego to myślenia ludzkiego zasady i podstawy mamy w regułach gramatycznych naszej mowy. Najprostsza forma myślenia wyraża się nazewnątrz przez trzy czynniki nierozdzielne a mianowicie: „podmiot — ja“, „orzeczenie — czynność“, „chcę“ i przedmiot: „dobra“. Przedmiot stanowi formę widzialną, zewnętrzną, do której podmiot przez czyn, przez działanie zdąża.

Ta sama reguła, którą dostrzegamy w najzasadniejszej formie wyrażenia naszej myśli, przez mowę odnosi się też do religji. Dusza ze wszystkiemi swojemi władzami jako podmiot, przez czynność swoją — pracą swoją religijną wewnętrzną, dąży do przedmiotu, niby do formy zewnętrznej, do uchwytnego kształtu, którym się nazewnątrz przejawia.

A teraz pytanie, co jest przejawem religji, powiedzmy ściślej duszy religijnej nazewnątrz? co jest przedmiotem religji, lub jeszcze ściślej, co to jest religja pod względem przedmiotowym?

Odpowiedź będzie brzmiała: przedmiotem religji będzie dogmat, morał i kult. Dogmat będzie przedmiotem rozumu, morał przedmiotem woli, a kult przedmiotem uczucia. Lecz tak, jak w podmiotowem rozważaniu religji widzieliśmy, że praca władz duszy nie da się rozdzielić ściśle i rozgraniczyć tak, aby jedna władza nie mogła wkroczyć na teren działania drugiej władzy, ale one się niejako zazębiają, jedna zachodzi na drugą, rozum wpływa na wolę, wola znów na uczucie i przeciwnie, tak też i w przedmiocie religji, któryśmy powyżej podali, a więc między owocem rozumu i poznania — dogmatem, a owocem woli, — morałem — i owocem uczucia — kultem — nie dadzą się przeprowadzić ścisłe rozgraniczenia i to ujawnienie się ducha religijnego nazewnątrz, stanowi również pewną nierozdzielną całość — dogmat, morał i kult zazębiają się między sobą tak, że się jeden bez drugiego pomyśleć nie da i jeden bez drugiego istnieć nie może.

Przedmiot religji, a więc dogmat, jako owoc poznania, morał, jako owoc woli i kult, jako owoc uczucia był, jest i będzie po wszystkie czasy najwięcej sporną sprawą pomiędzy różnymi myślicielami, filozofami, a nawet twórcami różnych religij. I w naszej epoce toczy się na tem polu obfita wymiana zdań i myśli. Dla wielu i to bardzo wielu już nie jakichś tam głębokich myślicieli, ale dla wielu przeciętnych zjadaczy chleba stanowią takie pojęcia jak dogmat, morał, kult religijny, kamień obrażenia. Wielu też nie chcąc się na tym kamieniu potknąć i upaść, uważają za stosowne ominąć go. To też nad sprawami takiemi wcale się nie zastanawiają, idą przez życie jakby ślepcy, nie zdając sobie z tego sprawy, że jednak kiedyś na ten kamień natrafią, może dopiero wtenczas, kiedy na śmiertelnej pościeli leżeć będą, że gdy zobaczą dopiero przy

świetle płonącej w drżącej przedśmiertnemi drgawkami dłoni — gromnicy — i że się na nim potkną, ale może na wieczność całą.

Dlatego też, kiedyśmy się zebrali tutaj na poważne rozważanie, przypatrzmy się bliżej temu, co wielu uważa w życiu za kamień obrażenia, a przekonamy się, że ten kamień nie taki olbrzymi, że się go nie musi omijać, owszem on jest tem, co nam drogę życia ułatwia, czyniąc ją pewną i bezpieczną.

b) DOGMAT.

W nauce operujemy tak zwanemi pewnikami naukowemi i hipotezami. Pewniki są to prawdy niewzruszone, na których oparty ludzki umysł dochodzi do wniosków pewnych, niezmiennych. Pewniki naukowe są tak ważne i tak nieugięte, że oparty na nich umysł osiąga rezultaty wprost nieprawdopodobne. Taki n. astronom, oparty na kilku pewnikach matematycznych i na pewniku o krążeniu ciał niebieskich około własnej osi, a tym ruchem wirowym naokoło słońca, oblicza z jak największą dokładnością na całe lata naprzód zaćmienia, pojawienia się planet wędrownych i t. p. Takie same pewniki znajdujemy i w innych dziedzinach ludzkiej spekulacji. Hipotezy w przeciwieństwie do pewników są to przypuszczenia, dylematy. Mogą one być tak dobrze plusami jak minusami, można je tak dobrze zatwierdzić twierdzeniem, jak przekreślić negacją. Nauka posługuje się czasem i hipotezą, przypuszczeniem, a o ile hipoteza jest zgodna z rzeczywistością, wtedy wnioski, na jej podstawie wyprowadzone, są słuszne i z prawdą zgodne, o ile znów przeciwnie, hipoteza rzeczywistości nie odpowiada, to i wniosek, na jej wysnuty podstawie, będzie fałszywy, sprzeczny z rzeczywistością.

Tem, czem w nauce jest pewnik, tem w religji jest dogmat, zaś czem w nauce jest przypuszczenie, hipoteza, tem w religji są równe mniej lub więcej do prawdy po-

dobne teorje różnych twórców filizoficznych, czy religijnych systemów.

Jeżeli w nauce są dopuszczone pewniki, na których się może umysł ludzki oprzeć, niby na opoce, na skale, a tak wsparty rozwijać przeróżne tajnie i zagadki natury, to czyż nie jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby w sprawie tak ważnej, jak stosunek człowieka do Boga nie było pewników? Jeżeli zapomocą pewników naukowych rozwiązuje człowiek zagadki natury, czyż nie jest sprawą o całe niebo ważniejszą, aby mógł na podstawie pewników religijnych rozwiązywać tajniki prabytu, tajemnice przeznaczenia i rozwiązywać te wszystkie pytania, które się umysłowi ludzkiemu odnośnie spraw wiekuistych z taką bezwzględną narzucają siłą?!

To też, podobnie, jak w nauce, tak samo i w religji są pewniki niewzruszone, dogmaty. Że jest Bóg jeden, że jest Bóg sędzią sprawiedliwym, który za dobre nagradza, a za złe karze, że są trzy Boskie osoby, czyli Trójca święta, że druga osoba Boska stała się człowiekiem, aby nas przez mękę i śmierć swoją odkupić i wiecznie zbawić, że do zbawienia potrzebna jest pomoc, łaska Boża i że bez tej pomocy na drodze do zbawienia ani kroku uczynić nie możemy, że dusza ludzka jest nieśmiertelna — to wszystko są pewniki religijne, to są prawdy niewzruszone, na których oparty ludzki umysł dochodzi na drodze prostego, zupełnie logicznego rozumowania do wniosków, tyczących się przeznaczenia, nieśmiertelności, wiekuistego bytu w Bogu, zapłaty i kary za uczynki.

W jaki sposób przychodzi człowiek do pewników religijnych, czyli do dogmatów? Po części poznaje je światłem naturalnego rozumu — po części zaś zostały mu te prawdy przez Opatrzność w czasie wskazane — czyli objawione. Człowiek wychodząc z tego miejsca, które biblja rajem zowie, a które my przetłumaczywszy na nasz język miejscem szczęścia w Bogu nazwiemy, nie stracił zupełnie i całkowicie poczucia i świadomości tego niezmiernego

szczęścia, jakiego zażywał duch ludzki w kolebce swojej. Podświadomie niósł i niesie on to poczucie w czasie wędrowania swego. Duch ludzki, aczkolwiek dla niego słońce prawdy wiekuistej zaszło i skryło się za górę występku, widzi jednak refleks tego zachodzącego słońca prawdy i w zorzach jego domyśla się podświadomie tych prawd, które ongiś były dla niego jasne i zrozumiałe. Stąd to, te zasadnicze i podstawowe pewniki o istnieniu Bóstwa, o Jego nieskończonej doskonałości, o Jego sprawiedliwości są u wszystkich ludów te same, bez względu na to, na jakim stopniu kultury i cywilizacji dany naród się znajduje. O bóstwie wogóle takie samo pojęcie będzie miał człowiek z Taszmanji — czy z Paryża. Znać, że przy narodzinach swoich duch ludzki w wspólnej spoczywał kolebce.

Lecz światło to, które duch ludzki wziął z sobą na drogę życia, było zbyt słabe. Jak wspomniałem, było to tylko słabe odbicie, słaby refleks, przy którym duch nie mógł poznać wszystkiej prawdy, a nie znając jej musiałby daremnie błądzić po niezmierzonych ścieżkach życia, nie trafiając do celu.

Zależało to teraz od Boga samego, czy zechce lepiej oświecić błądzącego człowieka, czy też zostawić go jego własnemu losowi, jaki sobie dobrowolnie przez odstępstwo od Boga zgotował. I Bóg dobry w zamiarach swoich przedwiecznych ulitował się nad człowiekiem i postanowił mu oświecić drogę życia przez objawienie.

Wyraz ten, objawienie, ma bardzo wielu nieprzyjaciół. Przypatrzmy mu się bliżej a mianowicie: „co on znaczy“ a następnie, czy to, co on oznacza jest możliwe, tak ze strony Boga, jak ze strony człowieka,

Objawienie oznacza podanie człowiekowi do wiadomości tych prawd Bożych, które mu do dojścia do celu ostatecznego są konieczne, a których on własnym, słabym rozumem odkryć i posiąść nie mógł. Oto objawienie! Pytam się teraz — czy ono t. zn. objawienie, było możliwe ze strony Boga? Czy Bóg miał środki, miał sposoby na

to, aby mógł wejść z człowiekiem w bliższe stosunki, aby, mówiąc zupełnie poprostu, mógł się z człowiekiem porozumieć? Odpowiedź na to pytanie nie będzie trudna. Jakżeżby było coś dla Boga niemożliwe? Jakżeżby Stwórca nie mógł się porozumieć ze stworzeniem? Negacja, zaprzeczenie tego, to czysty absurd. Zaprzeczenie tej możliwości byłoby chęcią ograniczenia Stwórcy przez stworzenie, mistrza przez dzieło, co, jak wspomniałem, byłoby czystym absurdem — nonsensem. Bóg mógł i chciał wejść z człowiekiem w stosunki, Bóg mógł i chciał mu się objawić. Że zaś Bóg w działaniu swojem nazewnątrz, na świat, używa zwyczajnie sposobów i środków najbardziej prostych, najbardziej pojedynczych, a jako wyjątek, który potwierdza tylko regułę, używa środków nadzwyczajnych, więc i przy tej akcji nazewnątrz, jaką jest objawienie, użył środków najprostszych, użył człowieka. Wybierając z pomiędzy ludzi jednostki już do tego celu przed wiekami przez Niego przeznaczone, oświecał ich umysły w pewnym kierunku, a ludzie ci oświeceni przez Boga, światło to Boże przelewali na całe pokolenia. Tak, Bóg używał patrjarchów, proroków, a wreszcie gdy przyszło, — jak mówi ewangelja, — wypełnienie czasów, zesłał Syna Swojego — Boże Słowo — na ziemię i przez Niego, niby przez najwiarygodniejszego posłańca przekazał ludzkości prawdę — „Jam jest prawda i żywot".

A teraz odpowiedź na drugie pytanie. Czy człowiek potrzebował tego objawienia i czy mógł je rozpoznać i przyjąć do wiadomości? Tak! Potrzebował objawienia, gdyż bez niego, jak znów świadczy ewangelja — „mieszkał w ciemnościach i w cieniu śmierci" — a mógł je przyjąć, gdyż organ poznania prawdy, rozum ludzki, aczkolwiek znacznie osłabiony w tej przedwiecznej katastrofie buntu ducha przeciw Bogu, nie zamarł całkowicie. Mógł zatem przyjąć to światło, które Bóg w dobroci swojej nieskończonej na niego zsyłał i którem mu ścieżki żywota oświecał.

Konkluzja! Objawienie było możliwe tak ze strony Boga, jak i ze strony człowieka. A że ono było, wskazują na to wieki! Człowiek te przesyłane mu w ciągu wieków promienie światła Bożego zbierał, ujmował w pewne formy (dogmaty) i składał je jako skarbiec najdroższy dla idących drogami życia przyszłych pokoleń.

A teraz znowu nowe pytanie. A gdzież człowiek zachowywał i przechowywał te wielkie Boże tajemnice, te emanacje światła Bożego nazewnątrz? Odpowiedź: Przed przyjściem Chrystusa, w t. zw. Starym Testamencie w Synagodze, która była figurą i obrazem kościoła Chrystusowego — w N. Testamencie po przyjściu Chrystusa w kościele. Chrystus sam tę skarbnicę na Bożą prawdę ustanowił, gdy rzekł: „dana mi jest wszelka władza na niebie i na ziemi — idąc na cały świat, nauczajcie wszystkie narody — chrzcząc je w Imię Ojca, Syna i Ducha — którym odpuścicie grzechy..." I dziś tą skarbnicą objawienia Bożego dotychczasowego i źródłem, którego i nadal objawienie Boże na świat popłynie — to kościół Chrystusowy.

Kościół te objawienia Boże, te prawdy święte, któremi Bóg chce oświecić drogę podróżującego do celu ostatecznego ludzkości, ujmuje w formę zewnętrzną, w dogmat i podaje je, niby jasne pochodnie, przy których blasku duch ludzki bezpiecznie ku Bogu, swemu ostatecznemu celowi dążyć może.

Oto dogmat! Na zarzuty — stawiane przez bardzo wielu, że kościół jest pod względem nauczania prawd Bożych, w dogmatach swoich, nieustępliwy, że wskutek tego brak w nim postępu i t. p. — odpowiem słowami naszego Sienkiewicza z dzieła „Bez dogmatu". Zmieniają się państwa, formy rządu, zapatrywania i systemy filozoficzne, a msza zawsze ta sama. W tej t. zw. nieustępliwości kościoła leży jego siła — bo prawdy Boże są niezmienne i kościół zmieniający je według ducha czasu i zachcianek ludzkich, sam siebieby potępił, sam siebieby osądził!

c) MORAŁ.

Moralność, to drugi przedmiot, do którego dąży dusza religijna — to przedmiot woli, aczkolwiek i inne władze w nim partycypują. Na czem polega moralność? Odpowiedź — moralność polega na dostosowaniu uczynków do prawa.

A cóż to jest prawo? Jest to norma ustanowiona przez uprawnionego prawodawcę, według której układać się muszą czyny, aby mogły osiągnąć cel, przez prawodawcę dla dobra społeczeństwa wyznaczony. Stąd wynika, że różna powinna być moralność, jak różne są prawa i prawodawcy, jak różne są cele, do których społeczeństwo zdąża. Różne też są rodzaje prawa. — Mamy prawo naturalne, wypisane palcem Bożym na sercach naszych. To podstawa wszelkiego prawa. Jest pozytywne prawo Boże, objawione ludziom w biegu wieków, ujęte w ścisłą formę, w dziesięć Bożych przykazań. Jest prawo ludzkie i to stosownie do tego od kogo pochodzi i do jakiego celu zdąża, podwójne. O ile tyczy się wewnętrznej duchowej strony człowieka i ma zapewnić człowiekowi pewną sumę dóbr duchowej natury, będzie prawem władzy duchownej, w naszych warunkach władzy kościelnej, która powołana jest przez Opatrzność do troszczenia się o duchową stronę człowieka, o ile zaś dotyczy materjalnej, fizycznej strony i ma za zadanie dostarczyć, przysporzyć człowiekowi pewnej sumy dóbr fizycznych, materjalnych, będzie prawem władzy świeckiej, bez względu na to, jaką formę ta władza przybierze, a więc czy to będzie władza monarchiczna, czy republikańska, czy jakakolwiek inna. A prócz tych zasadniczych rodzajów prawa, każde społeczeństwo, każde stowarzyszenie, które sobie osiągnięcie pewnego celu postawiło za zadanie, ujmuje swoją organizację w formę prawa partykularnego, odpowiadającego jak najlepiej celowi, do którego realizacji dane stowarzyszenie najprostszą chce zmierzać drogą.

Prawo, to zatem pierwszy element składowy moralu — moralności.

Drugim elementem jest ludzki czyn. I tutaj znów musimy postawić pewną zasadę, a mianowicie, czy ludzki czyn jest z natury swej skłonny do dostosowania się do reguły moralności czyli do prawa, czy też przeciwnie jest pod tym względem swobodny i ma możność albo dostosowania się do prawa, lub też pominięcia go i pójścia zupełnie inną drogą, aniżeli prawo żąda. Postawmy tę kwestję tak, jak ona zwykle bywa stawiana i zadajmy sobie pytanie, „czy człowiek ma wolę i czy ta wola jest wolną, czy też działa pod przymusem?“ Od trafnej odpowiedzi na to pytanie zależy zrozumienie moralności. Bo jeśli stwierdzimy, że wola ludzka działa pod przymusem, to czyny z niej zrodzone będą konieczne, a wtedy nie może być mowy o prawdziwym morale, o prawdziwej moralności — jeżeli przeciwnie uznamy, że czyny ludzkie są wypływem wolnej woli, wtedy będziemy mówić o moralności. A więc kwestja — czy człowiek działa pod bezwzględnym przymusem, czy też przeciwnie jest w działaniu swem wolny.

Zwolenników pierwszej tezy, a mianowicie, że wola ludzka działa pod przymusem, jest bardzo wielu. Teorja t. zw. dziedziczności, zrodzona przez słynnego kryminologa włoskiego Lombroso, a polegająca na tem, że każdy człowiek przychodzi na świat obciążony grzechami swoich przodków, sięgających w dalekie nieraz, ubiegłe pokolenia, i że na skutek tego działa pod koniecznym przymusem, nie da się utrzymać w całej rozciągłości. Bezsprzecznie istnieją i działają na człowieka jakieś nieznane, nieokreślone motory wewnętrzne, które pobudzają go do działania, niezgodne z prawem i porządkiem społecznym. Bezsprzeczną jest sprawą, że człowiek sam stawia się dobrowolnie, bez żadnego przymusu od zewnątrz w takie położenie, że za dalsze czyny rodzące się koniecznie z czynu pierwszego nie odpowiada. Najprostszy przykład będzie n. p. człowiek pijany, który w stanie nieświadomości albo

znacznie osłabionej świadomości zabija drugiego. Tak! to są prawdy, których nikt nie przeczy. Ale z drugiej strony i to jest prawdą, że nawet chorą wolę — a więc tę tak zwaną obciężoną prawem dziedziczności, czy też podlegającą wskutek nabytych nałogów różnym wadom, można leczyć, wolę można gimnastykować i hartować tak, jak się hartuje i gimnastykuje członki ciała.

Prawdą też jest i tego nikt zaprzeczyć nie może, że o ile się w społeczeństwie znajduje człowiek o złej czy chorej woli i nie chce się poddać porządkowi społecznemu, to się go społeczeństwo samorzutnie pozbywa jako szkodnika i nazywa rzecz po imieniu mówiąc: „to warjat“ i odsyła go do szpitala, albo: „to zbrodniarz“ i odsyła go do więzienia. Gdyby nie było wolnej woli, działanie to odruchowe społeczeństwa, tkwiące gdzieś na dnie jego zbiorowej duszy jako kategoryczny absolut, byłoby właśnie największą zbrodnią. Twierdzimy zatem, na co się zresztą zgadzają wszyscy poważni myśliciele ludzkości, że wola ludzka aczkolwiek osłabiona, nie jest martwą i sztywną, lecz jest żywą, ruchliwą i wolną w czynach, które rodzi.

A teraz po tych rozważaniach o prawie, jako o pierwszym elemencie morału i o czynach rodzących się z wolnej woli ludzkiej, jako o drugim tegoż morału elemencie, wracamy do tego, cośmy na samym początku powiedzieli, że moralność — morał rodzi się z uzgodnieniem czynów, z przepisami prawa.

I na to się wszyscy godzą. To określenie nie znajduje prawie przeciwników. Jest jednak jedno, czego nie chce uznać świat dzisiejszy, a mianowicie nie chce uznać w morale sankcji, jaką daje religja, Bóg, a uznaje tylko sankcję, jaką daje człowiek — prawodawca. Świat uznaje tylko stronę materjalną morału, uznaną przez rozum. Powiada on: „tak jest; dla ładu społecznego należy chować to lub inne prawo, gdyż bez tego współżycie byłoby niemożliwe“. A zatem skoro ja rozumem moim uznałem prawo za potrzebne, więc się mu poddaję. Rozum mój jest

zatem sankcją prawa, a sankcja nadaje mu właściwej treści i mocy, bo bez sankcji t. j. kary za przestępek, lub nagrody za czyn dobry, szlachetny, prawo byłoby bezduszne, beztreściwe, owoc z wierzchu piękny, wewnątrz zjedzony zgnilizną. Otóż sankcję prawu bezwzględną, ten pierwiastek formalny w morale, przyczynę absolutnego obowiązku i rękojmię osiągnięcia celów zakreślonych przez prawo, daje dopiero religja. Na niej oparta moralność jest dopiero żywą, przenika duszę i rodzi czyny wielkie, z pobudek tkwiących głęboko w duszy, a nie takich tylko powierzchownych i zewnętrznych jak korzyść lub strata materjalna. Tak trzeba w życiu rozumieć morał, który nas obowiązuje, czy my chcemy, czy nie chcemy.

d) KULT.

Doszliśmy do wniosku, że religja, aczkolwiek polega na poznaniu Boga, jako nieodzownej przesłance i podwalinie (dogmat) i wymaga, jako koniecznego skutku odpowiedniego podporządkowania woli (morał) toć jako uwieńczenie swoje i koronę domaga się czci bożej, kultu, który wynika i całkiem naturalnie, bezprzymusowo wypływa z trzeciej władzy naszej duszy, z uczucia. Ta cześć boża, kult, to właśnie wewnętrzny stan duszy naszej. Lecz siłą rzeczy odzwierciedla się w części zmysłowej człowieka, objawia się nazewnątrz jako pewne widzialne formy zewnętrzne, jako pewne symbole i znaki.

Człowiek, którego dusza poznawszy rozumem Boga, uznawszy Go wolą swoją za Istotę Najwyższą, której się czynami poddać trzeba, przejęta jest uczuciem czci ku Niemu, nie może uczucia tego zagrzebać w głębinach serca, bo ono bez jej wiedzy nawet i woli przerwie skorupę zewnętrzną, niby lawa w wulkanie i wyleje się nazewnątrz. I wtenczas objawi się to uczucie w pewnej formie widzialnej, różnej, zależnie od stanu kultury i postępu cywilizacji w danej społeczności. — A więc przedewszystkiem w ruchu, jako najprymitywniejszej formie zewnętrznej

wewnętrznego uczucia — czy to będzie podnoszenie rąk przy postawie prostej i głowie podanej w tył, jak to było zwyczajem u Greków (duma prometeuszowska, co żąda od bogów, jako równych sobie), czy to będzie proskinezis (upadanie na twarz) u narodów wschodnich, oznaczająca rozpaczliwą niemoc wobec bezkresnej potęgi bóstwa, czy też to będzie chrześcijańskie zginanie kolana i pochylenie głowy z równoczesnem wyciąganiem rąk ku niebu, jako wyraz hołdu nie tyle służalczego, co synowskiego.

Wyraźniej niż ruch uwydatnia nazewnątrz uczucie wewnętrzne — słowo. To słowo wydzierające się przemocą z duszy i określające wewnętrzne uczucie, to modlitwa. Ta mowa duszy wypływa z onej niewysłowionej modlitwy, która się jakby jakieś święte misterjum odprawia ustawicznie w głębi duszy. A mowa religijna, kaznodziejstwo rodzi się znowu z tej mowy pojedynczych dusz i nie jest niczem innem, jak wspólną modlitwą, jak nizaniem tych pereł, które się w głębinach pojedynczych dusz rodzą, na wspólny różaniec.

Dalej idzie ofiara, jako symbol całkowitego bezwzględnego poddania się Bogu, które to poddanie ofiarnik wyraża w ten sposób, że część swego mienia poświęca, czy to niszcząc je w ogniu, czy też oddając na użytek bliźnich. A harmonja w muzyce, a piękno w malarstwie, rzeźbie i architekturze, czyż to nie formy zewnętrzne, któremi duch ludzki w ciągu wieków wylewał nazewnątrz swe religijne uczucie?! Widzimy więc, że kult, oddawanie nazewnątrz czci, która się wewnątrz mieści, jest rzeczą zupełnie naturalną, że zgromadzenie ludzkie, któreby chciało stworzyć religję opartą tylko na czysto abstrakcyjnych myślach o realnej jedności z Bogiem, jak chcą niektórzy filozofowie religji, byłoby raczej szkołą filizoficzną, a nie religijną gminą.

A przecież kult Boży tylu znajduje przeciwników. Ten sam człowiek, który dla uszanowania drugiego człowieka odkrywa głowę, lub staje na baczność, ten sam, który

oddaje cześć chorągwi wojskowej, która w gruncie rzeczy jest kawałem martwej materji, a czci się ją jako symbol, ten sam człowiek, który zachowuje pewne formy zewnętrzne, zowiąc je formami towarzyskiemi, czy to, gdy przestępuje próg cudzego domu, czy to, gdy siada u stołu, ten sam gorszy się kultem oddawanym Istocie Najwyższej — Bogu?!

Oto przedmiot dzisiejszego rozważania wyczerpany. Krótki rzut oka wstecz — rekapitulacja. — Religja objawia się pod względem przedmiotowym Dogmat, akt przeważnie rozumu, jako morał, przeważnie akt woli, oparty na poznaniu i wypływający z uczucia, a oparty na rozumie i woli — kult. Tak pojęta religja jest konieczną potrzebą człowieka w drodze życia i kto jej nie ma, ten podobny jest do podróżnego, który idzie drogą wśród ciemnej nocy bez światła, bez laski, na którejby się oprzeć mógł i bez przewodnika. A jeżeli komu tych rzeczy w życiu potrzeba, to trzeba Tobie Oficerze polski, który nie tylko sam drogą idziesz, ale jeszcze innych prowadzisz, za których przed Bogiem i ludźmi odpowiedzialnym jesteś. Więc nie wstydź się religji, ale ją w życiu ciągle podkreślaj, a Ona Cię do celu ostatecznego szczęśliwie i bezpiecznie doprowadzi.

Amen.

III.

USPRAWIEDLIWIENIE.

a) Zawiasami, na których się wszechświat obraca i w równowadze utrzymuje, jest pewien wymiar sprawiedliwości. Bez tej zasadniczej sprawiedliwości liczb nie byłoby równowagi w świecie fizycznym — bez pewnego wymiaru sprawiedliwego powstałby w wszechświecie chaos i ciała niebieskie poczęłyby mylić się w swym biegu, uderzać o siebie i staczać się w bezbrzeżną przepaść nieskończoności. Bo „wszystko pod miarą i wagą uczynił". To samo, co spostrzegamy w świecie materjalnym, musi być i to tem bardziej zastosowane w świecie moralnym, w świecie ducha. I tu musi być zachowana pewna równowaga, pewien wymiar i tu musi być wszystko uczynione pod „miarą i wagą". To co w świecie materjalnym czyni liczba w pewnej, przedwiecznym rozumem wymierzonej proporcji, to w świecie moralnym wykonuje sprawiedliwość.

Co to jest sprawiedliwość? w czem ona polega?

W poprzedniem rozważaniu wspomniałem o prawie i o sankcji prawa. Umyślnie pobieżnie tylko o tem wspomniałem, aby tę sprawę w tem rozważaniu bliżej dotknąć. Prawo wszelkie, o tyle ma rację bytu, o ile ma sankcję t. j. o ile prawodawca ma wystarczające środki do przeprowadzenia zasad prawnych nawet siłą, jeżeliby podmiot prawny nie chciał ich wykonać.

Prawodawca musi mieć siłę, gdyż bez niej prawo przez niego wydane byłoby iluzoryczne. Ktoby chciał, tenby słuchał prawa, ktoby nie chciał, mógłby przejść nad niem

do porządku dziennego. W czemże polega ta siła? W karze, jaka przestępcę prawa spotkać może i napewno spotka. Ewentualnie w nagrodzie, która spotka zachowawcę prawa, jeżeli już nie w innej postaci, to przynajmniej w tej, że odniesie korzyści, jakie dla zachowawcy prawa samorzutnie z tegoż prawa się rodzą. Otóż ta kara za przestępstwo, lub nagroda za zachowanie prawa jest jego t. j. tegoż prawa sankcją.

Sprawiedliwości rzeczą będzie odpowiednio i w stosunku do wielkości winy tą sankcją prawną t. j. karą lub nagrodą rozrządzać tak, aby się nikomu krzywda nie stała. Stwarza sobie więc prawo, organy wykonawcze, sądy, które przed zastosowaniem sankcji prawnej prowadzą przewód, a więc sprawę badają, prowadzą rozprawę, w której stają naprzeciw siebie oskarżyciel i obrońca — a końcem rozprawy jest albo zasądzenie, albo usprawiedliwienie obwinionego — a więc zastosowanie sankcji prawa, — kary lub nagrody.

Tak jest w prawie ludzkiem, ten sam porządek rzeczy musi być i w prawie Bożem, którego wynikiem jest prawo ludzkie.

I cóż jest sankcją prawa Bożego? To co się najwięcej ludziom nie podoba, a co znanem jest pod nazwą — piekła, albo nieba. Ludzie uważają to, co pismo święte określa wyrazami „piekło“ „niebo“ — pierwsze jako straszek na niegrzeczne dzieci, drugie jako szybkę z okna dla grzecznych i posłusznych. Nie wiem i nie będę się o to z nikim spierał. Nie wiem i nie będę opisywał, jak to wygląda, (chociaż Chrystus Pan często o tem w nauce swojej wspomina) to tylko wiem i to napewno stwierdzam, że prawo Boże zupełnie tak samo jak prawo ludzkie ma, bo mieć musi sankcję, musi mieć karę i nagrodę, gdyż inaczej nie miałoby racji istnienia. A jako prawodawca jest nieskończony a prawo Jego rozstrzyga o wiecznym „bycie“, tak też i sankcja Jego prawa musi być odpowiednia — kara lub nagroda — wieczne. I podobnie jak celem zasto-

sowania sankcyj prawnych względem przestępców prawa wyznacza prawodawca sądy, tak i ten prawodawca przedwieczny — Bóg — ustanowił trybunał, przed którym staniemy kiedyś wszyscy — kiedy to Syn Człowieczy zasiędzie, aby sądzić „żywe i umarłe". I znów sprawa, która się bardzo wielu nie podoba — „Sąd boży" — a jednak jest to tylko prosta „konsekwencja" prawa.

Jak prawo ludzkie jest nie do pojęcia bez sankcji prawnej i bez sądu, któryby te sankcje do winnych stosował, tak też nie jest do zrozumienia prawo Boże bez sankcji, a sankcja prawna bez trybunału i bez sądu. I znowu nie chcę mówić jakto będzie wyglądał ten trybunał Boży, chociaż go pismo św. dokładnie opisuje. Mowa ludzka, choćby najwspanialsza, nie jest zdolna przedstawić sprawy wiekuiste. To tylko twierdzę napewno jako logiczną konsekwencję pierwszej przesłanki sylogizmu, która twierdzi zupełnie pewnie, że jest, że istnieje prawo Boże, iż musi też być i sankcja prawna i trybunał. Trybunał zaś wyda na każdego z ludzi albo wyrok potępienia albo go usprawiedliwi.

Aż dotąd istnieje najzupełniejsza analogja między prawem ludzkiem a odwiecznem prawem Bożem. Tu następuje pewna rozbieżność między jednem a drugiem. W prawie Bożem jest pewna furtka, której nie dopuszcza prawo ludzkie i to furtka zrobiona przez nieskończone miłosierdzie na korzyść winowajcy-człowieka, której nie dopuszcza i której nie ma żadne prawo ludzkie, a mianowicie uprzednie usprawiedliwienie, zanim się winowajca stawi przed właściwym trybunałem, przed Sędzią, Bogiem-Człowiekiem. I o tem to uprzedniem usprawiedliwieniu chcę dzisiaj mówić. Zaznaczyć muszę, że usprawiedliwienie to odbywa się w formie zbliżonej do zwykłego przewodu sądowego i że, przedstawiając to usprawiedliwienie doczesne, będę snuł analogję między tym przewodem sądowym Bożego miłosierdzia, a przewodem zwykłego trybunału ludzkiego prawa.

ŚLEDZTWO.

b) Pierwszą czynnością w przewodzie sądowym, skoro tylko pokażą się jakiekolwiek ślady przestępstwa, to śledztwo. Sędzia śledczy używa wszelkich dostarczonych mu przez prawodawcę środków celem wykrycia przestępcy — stara się określić w najdrobniejszych, o ile można, szczegółach istotę czynu przestępczego i stwierdzić, który paragraf kodeksu został przez ten postępek obrażony.

Tem drobiazgowem postępowaniem swojem sędzia śledczy dopomaga trybunałowi, który sprawę ostatecznie rozstrzygał będzie.

Taką samą czynnością rozpoczyna się proces usprawiedliwienia wobec prawa Bożego. Tak samo jak tam, t. z. w prawie ludzkiem, tak i tu, t. j. w prawie Bożem rozpoczyna się przewód sądowy od skwalifikowania przestępstwa, od określenia pod jaki paragraf to przestępstwo podpada, a raczej któremu paragrafowi prawa Bożego postępek ów się sprzeciwia. Posługujemy się narazie tym samym terminem „przestępstwo“, gdyż tak w prawodawstwie ludzkiem jak i w prawodawstwie Bożem istota zła polega w tym samym fakcie, w tem samem zdarzeniu, a mianowicie w przestąpieniu prawa. Jednak dla odróżnienia jednego przestępstwa od drugiego zaczęto używać odnośnie do prawa Bożego określenia specjalnego, innej nomenklatury. Przestępstwo prawa Bożego nazwano grzechem. Jak więc sędzia śledczy bada występek, tak w procesie prawodawstwa Bożego sędzia śledczy ma zbadać grzech, skwalifikować go, oznaczyć jego kategorję i zbadać okoliczności, wśród których się grzech popełniło. Z tego, cośmy dotychczas rozważali, poznajemy doskonale istotę grzechu. Grzech, to straszne słowo, tak chętnie usuwane dziś ze wszystkich słowników ludzkiej mowy, nie jest niczem innem, tylko przestępstwem prawa, występkiem przeciwko prawu, lecz nie ludzkiemu, a Bożemu. Zachodzą jednak pewne zasadnicze i dość ważkie różnice

pomiędzy występkiem prawa ludzkiego a grzechem. Chciejmy te różnice rozpatrzeć. Do istoty każdego prawa należy t. zw. promulgatio, ogłoszenie prawa, podanie go do wiadomości publicznej. To też widzimy, że każdy prawodawca, o ile chce, aby jego prawo nabyło mocy obowiązującej poddanych, najpierw prawo ogłasza, czy to zapomocą specjalnego dziennika ustaw, czy też przez rozplakatowanie na ulicach, czy to jak się dzieje po małych miasteczkach przez ogłoszenie ustne przy odgłosie bębna. O sposób ogłoszenia prawa w tym wypadku się nie rozchodzi. Sam prawodawca wynajdzie sobie najodpowiedniejszy sposób ogłoszenia. Wobec tego i Bóg jako prawodawca musiał o ile chciał, aby Jego prawo obowiązywało, podać to prawo do wiadomości, gdyż odwiecznemi zasadami prawodawstwa i Bóg jest związany. I podał je do wiadomości. Już nie chcę mówić o onem ogłoszeniu, które wedle biblji miało miejsce na górze Sinaj, wśród huku gromów i trzęsienia ziemi, ale ogłosił Bóg prawo swoje w ten sposób, że je wypisał jako prawo natury każdemu człowiekowi w duszy. Każdy człowiek przychodzący do używania rozumu, a więc zaczynający czytać w księdze swojej, najbardziej mu własnej, zrośniętej z nim na wieczność całą, w księdze serca swojego — pierwsze, co odczytuje, to te dwa słowa: „wolno“ — „nie wolno“. Mówić prawdę — „wolno“ — kłamać — „nie wolno“ — mówić pacierz — „wolno“ przeklinać — „nie wolno“ i t. d. Jakiś głos wewnętrzny mówi tajemniczo do dziecka, które co dopiero zaczyna otwierać oczy na świat — to „wolno“ — to „nie wolno“. To głos Boży, to ta t. zw. „promulgatio legis“ — opublikowanie prawa. My to nazywamy w naszym języku głosem sumienia. I tu zachodzi pewna rozbieżność pomiędzy prawodawcą-człowiekiem, a prawodawcą - Bogiem. Prawodawca - człowiek ogłasza prawo w sposób uznany przez siebie za odpowiedni. Lecz skoro je raz ogłosił, nie pyta dalej, czy wiadomość o takiem czy innem prawie doszła do wiadomości obwinionego.

Prawodawca-człowiek stoi na stanowisku, że o ogłoszonem przez niego prawie każdy poddany wiedzieć powinien i dlatego na wymówkę powinionego: „nie wiedziałem“ odpowiada krótko: „powinieneś wiedzieć, bo prawo było ogłoszone“. Inaczej prawodawca-Bóg. On tylko wtedy obwinia poddanych swoich o przestępstwo prawa, o grzech, o ile obwiniony miał świadomość prawa. O ile go ten głos wewnętrzny, głos sumienia nie uświadomił o prawie indywidualnie, nie ma przestępstwa, nie ma grzechu. Stąd to do określenia grzechu należy się koniecznie dodać pojęcie „świadomości“. Grzech jest to świadome przekroczenie prawa Bożego.

Prawodawca-człowiek przy osądzeniu przestępstwa uwzględnia okoliczności, wśród których przestępstwo zostało dokonane i te okoliczności wpływają znacznie na kwalifikację występku, a co za tem idzie, i na wymiar kary. Tak często się czyta n. p. w ogłoszonych wyrokach takie zdanie: „trybunał uznając okoliczności łagodzące n. p. młodociany wiek, lub działanie pod przymusem — zniżył karę obwinionemu“. Tak samo postępuje z obwinionymi Bóg i tylko tego uznaje za przestępcę prawa, kto działał bez najmniejszego przymusu, czyli, jakto się u nas określa: „kto dobrowolnie“ przekracza przykazanie. Jak więc sędzia śledczy przy badaniu występku musi uwzględniać te t. zw. okoliczności, tak samo i przy śledzeniu za przestępkiem prawa Bożego koniecznie trzeba je brać pod uwagę.

Jeżeli uwzględnimy te dwie klauzule — świadomość bezwzględną prawa, które przestępujemy — i bezwzględną wolność działania przy spełnianiu czynu, który się jako grzech kwalifikuje, to widzimy, że znowu grzech nie jest tak pospolitą rzeczą, za jaką go wielu moralistów przedstawia. Bo czy człowiek, istota cielesno-duchowa, ciągniony przez ciało ku ziemi, a słabemi tylko i już nadszarpanemi nitkami rozumu, woli i uczucia związany z Bogiem, czyż przy każdym postępku swoim ma pełną świadomość i pełną swobodę działania?!

Skorośmy sobie (jak sądzę) uświadomili właściwą istotę przestępstwa prawa Bożego, grzechu — możemy rozpocząć śledztwo, jako pierwszą część przewodu sądowego w tem wielkiem dziele usprawiedliwienia. Któż będzie sędzią śledczym? Ja sam — ja sam mam wykryć przestępstwa, wykroczenie przeciwko prawu Bożemu, sam mam tę zbrodnię skwalifikować w najdrobniejszych szczegółach. I tu jest znów zasadnicza różnica między przewodem sądowym Boskim a ludzkim. Kiedy w przewodzie ludzkim bada sprawę czynnik obcy, zewnątrz stojący — człowiek drugi, to w Bożym przewodzie ja sam jestem sędzią.

Biorę zatem pod rozwagę kodeks — dekalog — 10 przykazań Bożych — oświecam go głosem sumienia mojego, tą najrzetelniejszą lampą świadomości, przykładam do tej całej oceny miarę woli uwzględniając okoliczności, wśród których przestępstwo zostało dokonane i w ten sposób używając tej samej latarni świadomości i tego samego miernika woli odnośnie do każdego punktu kodeksu, tej odwiecznej księgi praw Bożych, kwalifikuję dane przekroczenie prawa jako grzech, lub też stwierdzam, że w danym wypadku przestępstwo wprawdzie było, ale nieformalne, dla braku czy to świadomości, czy to swobody działania. I na tem się kończy pierwsza część przewodu sądowego w dziele usprawiedliwienia Bożego, — czynność śledczego badania. Gdyśmy byli jeszcze dziećmi i uczyliśmy się katechizmu, to całą tę sprawę nazywaliśmy — Rachunkiem sumienia.

c) Osąd, to drugi etap na drodze usprawiedliwienia. i tu znowu podobnie, jak w etapie pierwszym, w śledztwie, zachodzi różnica co do osoby wykonującej tę czynność. Podobnie jak śledzenie za przekroczeniem prawa Bożego oddano w ręce samego przestępcy, osąd w tej sprawie oddano również przestępcy tak, że będzie on samosądem. W czemże ten osąd polega? W odpowiednim akcie woli. Przestępca prawa Bożego — nazwijmy go tak, jak to jest przyjęte w mowie potocznej — grzesz-

nik, skoro dokonał już śledztwa w duszy swojej, skoro wszedł sam w siebie i zobaczył, że tam nie wszystko w porządku, że po między prawem Bożem a uczynkami jego, wykonanemi z całą świadomością i przy zupełnej swobodzie działania panuje rozdźwięk, musi się sam osądzić i potępić. Do tego są potrzebne dwa nowe akty woli. Jeden z nich działa wstecz, drugi zaś działa wprzód. Pierwszy ma za zadanie przekreślenie zła, przestępstwa już dokonanego, przeszłego — drugi ma na celu ominięcie, usunięcie przestępstwa na przyszłość. Pierwszy akt polega na tem, że przestępca ocenia rozumem wielkość swojego przestępstwa w stosunku do prawodawcy, do Jego Majestatu, potęgi, Jego dobroci i miłości, jaką poddanych swych otacza. Osobnik sądzący sam siebie, dochodzi do wniosku końcowego, że postępując w ten sposób, jak postępował, t. zn. przestępując prawo Boże, czynił źle. I w tem przyznaniu się do winy, w tem uznaniu się za przestępcę prawa Bożego — polega ten pierwszy i najważniejszy akt samosądu — t. zw. żal za grzechy, który jest niczem innem jak tylko uznaniem winy przez człowieka, odnośnie do Boga, a co zatem konsekwentnie i koniecznie wypływa potępienie siebie i przyznanie racji prawodawcy-Bogu. To, co my nazywamy żalem, nie musi być fizycznie odczuwane tak, jak się odczuwa uczucie żalu po stracie materjalnej, po stracie drogiej osoby, czy umiłowanego przedmiotu. Akt żalu, to samosąd, to samopotępienie się człowieka za przestępstwo prawa Bożego, to wewnętrzny akt woli, który się nazewnątrz nie musi koniecznie objawiać.

Drugi akt woli w tym samosądzie, jak wspomniałem powyżej, tyczy się przyszłości i jest chęcią unikania przestępstwa, a stosowania do prawa Bożego. Akt ten zowiemy postanowieniem poprawy. Jest on znów zupełnie logicznym wypływem aktu poprzedniego. Jeśli uznałem raz przestępstwo prawa Bożego za rzecz złą, za rzecz potępienia godną, to muszę sobie na podstawie jakiegoś kategorycznego imperatywu powiedzieć: „nie wolno mi

tego czynić w przyszłości — muszę tego w przyszłości unikać, jeśli przy następnym samosądzie nie mam się znowu potępić". Oto druga część, drugi etap na drodze usprawiedliwienia! Żal, którym mażę stare przewiny i postanowienie poprawy, które się odnosi do przyszłości — to samosąd. Czyż może być w tem dziele usprawiedliwienia coś więcej logicznego i coś więcej łatwego? Nie potrzeba na ten samosąd ani używania świadków, ani przesłuchiwania ich — nie potrzeba czasu, bo jeden akt woli wszystko załatwia, nie potrzeba udawania się na specjalne miejsce — wszędzie jestem „ja" — przestępca i „On" — Prawodawca - Bóg!

d) Lecz teraz następuje dalszy etap i ten według mniemania ludzkiego najtrudniejszy i najprzykrzejszy dla ludzkiej natury. Skoro się przestępca już sam osądził, musi dla potwierdzenia tego samosądu, dla stwierdzenia czy ten samosąd był słuszny i czy należycie się odbył, stawić się przed sędzią - człowiekiem, który w Imieniu Boga ma orzec, czy dokonany samosąd był słuszny. Musi się stawić przed sędzią - człowiekiem, który w imię Prawodawcy i umocowany przezeń, wypowie wyrok i nałoży karę za przestępstwo popełnione, gdyż, jak jużeśmy widzieli, kara t. zw. sankcja prawa jest koniecznem jego uzupełnieniem. Akt ten stawienia się przed sędzią - człowiekiem i przedłożenie mu sprawy swojej celem usłyszenia wyroku z ust jego, nazywa się spowiedzią. Jak już wspomniałem, akt ten jest najprzykrzejszy dla ludzkiej natury i dlatego znajduje między ludźmi najwięcej przeciwników. A jednak zechciejmy mu się bliżej przyglądnąć — a może się przekonamy, że nie jest on znowu ponad siły człowieka, że owszem odpowiada on wymaganiom i potrzebom ludzkiej duszy.

Przypatrzmy się mu najpierw ze strony psychologicznej. Już tak jest zbudowana ta nasza biedna dusza, że uczuciami swojemi koniecznie chce się podzielić z bliskimi swoimi. Gdy nas radość unosi, chcemy koniecznie, aby tę

radość z kimś podzielić, gdyż dopiero wtenczas nabiera ona siły, staje się pełną. Gdy boleść przygnie nas do ziemi, to znów musimy i to koniecznie znaleźć kogoś takiego, z którym byśmy się mogli boleścią naszą podzielić, a wtenczas ból się zmniejsza. Tak też ma się sprawa, gdy dusza nasza grzechem obciążona. Mogą ludzie mówić co chcą, ale faktem jest, że ona wtenczas cierpi — że ona jest nieszczęśliwa, że szuka koniecznie ulgi. Gdzież ją znajdzie? U człowieka, przed którymby można serce otworzyć i z którymby się można bólem podzielić. A że nie wszystko i nie każdemu można powiedzieć, więc idzie się do tego, który pocieszyć może i tajemnicy dochowa.

A teraz ze strony teologicznej przypatrzmy się tej sprawie. Chrystus, kiedy się miał z Apostołami pożegnać, dawał Im jeszcze pewne zlecenia i uwagi, tak jak to czyni każdy gospodarz, mający się udać w daleką podróż. Otóż przy tem pożegnaniu dał Im następujące zlecenie: „Którym grzechy odpuścicie, będą im odpuszczone, a którym zatrzymacie, będą zatrzymane". A więc rozkazał im sądzić i wyroki wydawać w Swojem Imieniu — i im i ich następcom. A jakże sądzić mogą ludzie w sprawach, których nie znają? A jakże mają ferować wyroki w sprawach im niewiadomych?

I dlatego kościół katolicki, mimo że w ciągu wieków ustawicznie uderzali przeróżni przeciwnicy w tę instytucję, jako zacofaną i nie „modern", nie ustąpił, lecz ją z polecenia Chrystusowego zachował jako skarb największy dla dobra biednych, zmęczonych, bolesnych ludzkich serc. A że każdy testament jest święty i nie wolno go zmieniać, więc też i ten testament Chrystusowy jest święty i zmienionym być nie może.

A wreszcie weźmy anologję z życia. Gdy człowiek chory, to idzie do lekarza i poddaje się wszelkim zabiegom, nawet bardzo przykrym i bolesnym operacjom w tej myśl i że po chwilce natężonego bólu, ten ból się skończy i ulga nastąpi. A czyż wstydzi się wtenczas pokazać rany

swoje? Bynajmniej! A dusza obciążona przestępstwem, to także choroba i kalectwo ciężkie. Ileż to nieraz nieprzespanych nocy kosztują wyrzuty sumienia? Dlaczegoż się nie poddać operacji? Dlaczego nie pokazać ran swoich, gdy się ma pewność, że ból, operacja bądą krótkie, a potem nastąpi ulga?

Ileż pociechy, ile wzmocnienia doznają dusze ludzkie w tej instytucji Chrystusowej, którą my spowiedzią nazywamy, to mogą potwierdzić ci, którzy ten Boży rząd dusz sprawują. Gdyby kto mógł zebrać w jedną czarę te wszystkie łzy, które biedni ludzie w tym trybunale jako łzy pocieszenia wylali, to czara ta byłaby chyba tak wielka, jak wszystkie oceany świata.

e) A teraz, skorośmy przebyli już najtrudniejszy etap w dziele usprawiedliwienia, przejdźmy do aktu końcowego, który jest uwieńczeniem dzieła i dokończeniem, a pod względem prawnym zupełnie usprawiedliwionym, to kara. Winowajca, przestępca prawa, karę jakąś ponieść musi, gdyż się sama istota, samo pojęcie prawa tego domaga. To też i przestępca prawa Bożego bez kary nie może pozostać. Przestępca prawa bardzo często wyrządza krzywdę nie tylko prawodawcy samemu przez pogardę okazaną jego władzy prawodawczej, ale również wyrządza krzywdę tym, których uprawnienia potargał — podeptał. Skrzywdził przestępca bliźniego swego na mieniu, na dobrem imieniu i sławie — to nie może pozostać bez rekompenzaty, bez naprawy, bez restytucji.

A sama kara? W prawodawstwie świeckiem dość często w wymiarze kary odgrywa rolę t. zw. amnestja, którą prawodawca od czasu do czasu z okazji pewnych ważniejszych wydarzeń każe odnośnie do winowajców stosować. Taką amnestję daje prawodawca-Bóg dla przestępców swego prawa. Skoro przestępca-grzesznik dokonał już wszystkich aktów na drodze do usprawiedliwienia, to zemsty Bóg nie żąda. — On Najwyższy Prawodawca powoduje się tylko jednem odnośnie do biednych

ludzi — nieskończonem miłosierdziem. Kara, którą w trybunale pokuty kapłan aplikuje, jest istotnie wymierzoną na podstawie Bożej amnestji i jest bardzo małą. Resztę darowuje się na podstawie miłosierdzia Bożego, które nie chce śmierci grzesznika, lecz aby się poprawił i żył. Ten ostatni akt w dziele usprawiedliwienia, nazywa się zadosyćuczynieniem.

f) Oto dzieło usprawiedliwienia dla przestępców prawa Bożego, Sakrament Pokuty.

Przejdźmy jeszcze raz krótko pojedyncze fazy tego duchowego procesu. Śledztwo dokonane przez samego winowajcę (poznanie zbrodni — rachunek sumienia) — samosąd, na który się składają dwa akty (żal i postanowienie poprawy) to sprawy, które winowajca sam załatwia z Bogiem — Prawodawcą.

Lecz, żeby nie zapomniał, że jest człowiekiem, musi się stawić przed trybunałem ludzkim dla wysłuchania wyroku i otrzymania kary. — (Spowiedź i zadośćuczynienie).

Jeżeli się temu dziełu przypatrzymy bliżej, to widzimy, że jest to dzieło Boże i to Bożego miłosierdzia, że go tylko Bóg dokonać mógł, a z drugiej strony tak doskonale dostosowane do ludzkiej natury, do potrzeb ludzkich, że tylko człowiek ślepy i niemądry może przeciwko temu dziełu Bożemu występować!

Świat w ciągu wieków poczynił bardzo wiele wynalazków, których zadaniem pomóc biednemu człowiekowi. Znaleziono mnóstwo środków na ból fizyczny, a w ostatnich czasach znaleziono pono środek na odmłodzenie człowieka. Promieniami Röntgena bada się wnętrzności ludzkie i odkrywa rany, których oko dostrzec nie może. Zapomocą radu leczy się i unicestwia przeróżne chorobliwe nowotwory.

Te wszystkie metody i sposoby leczenia, nie dadzą się nawet w przybliżeniu porównać z tem odwiecznem lekarstwem duszy, które się Sakramentem pokuty nazywa. To Boże lekarstwo bada wnętrzności serca niby najczul-

sze promienie „X“ i wypala nowotwory jak rad i zalewa rany i odmładza dusze, jak tego nie uczyni żadna metoda lekarska odnośnie do ciała fizycznego, gdyż sam Duch św. wyraził się o skuteczności tego leku: „chociażby rany twoje, t. j. grzechy były czerwone jak krew, nad śnieg wybielone będą“.

Kto nie wierzy, niech tego leku spróbuje, a przekona się. Rzuć się w tę studnię miłosierdzia, jaką jest usprawiedliwienie się przed Bogiem — Sakrament pokuty — a odmłodzisz się duchowo! Amen.

IV.

CZŁOWIEK NOWOCZESNY

MODERN.

a) Znamy wszyscy doskonale grecką legendę o Prometeuszu, który zato, iż śmiał sięgnąć po tajemnicę bogów i wykradł im ogień, aby go dać ludziom, a przez to postawić ród ludzki na pierwszym szczeblu tej niebotycznej prawie drabiny — kultury, został przywiązany do skały. I przylatywał orzeł i zapuszczał szpony i dziób w pierś, dobywał się aż do mięśnia sercowego i szarpał go, lecz nie zabijał. Taką męką mieli wedle greckiej tradycji ukarać bogowie śmiałka. Taką samą męką dotknięta jest dusza współczesna. Rozpięta, niby męczenica na rusztowaniu, cierpi mękę nieznośną, ból, którego uleczyć nikt nie umie. Za co? Czy wydarła bogom jakąś tajemnicę? czy przeciwnie dąży do odkrycia tajemnic i dlatego cierpi? Sądzę, że to drugie jest przyczyną jej bolu i męki i zmagań się. Bo dusza współczesna znajduje się w jednym z tych trudnych okresów, które się w dziejach ludzkości od czasu do czasu spotyka, a które się okresami przejściowemi zowią. Coś się dla tej duszy skończyło, coś określonego, coś pewnego — skończyła się epoka, którąśmy zwykli określać w historji, jako epokę humanitaryzmu i odrodzenia. Epoka ta skończyła się katastrofą, jakiej świat w dziejach swoich nie widział, walką wszystkich przeciwko wszystkim, hekatombą z ludzkich żywotów, strugą krwi tak potężną, że staną one jako pas graniczny pomiędzy jedną epoką a drugą i widzialne będą z perspektywy wieków, jako istotna granica czasów. To się dla duszy ludz-

kiej skończyło. A czy zaczęło się już co nowego? Z oparów rewolucji, któremi się wielka wojna zakończyła, jeszcze się nic pewnego nie wyłoniło. Znajdujemy się w stanie płynnym. Na nowe odlewy masa się dopiero zagotowała, ale brakuje nam jeszcze form, w którebyśmy mogli tę masę wlać — nie mamy jeszcze ustalonych kształtów, jakie w życiu tej nowej, zbliżającej się epoki nadać mamy. A cóż dopiero mówić o skrzepnięciu tej lawy i powstaniu z niej stałych, granitowych posągów, w którychby się życie objawić miało? I dlatego właśnie, że dusza współczesna jest w stanie rozgotowanej, lotnej materji, znajduje się ona w stanie rodzenia, musi cierpieć i cierpi, jak rodząca matka. I dlatego duszę zbiorową współczesną można przyrównać do cierpiącego, na skale rozpiętego Prometeusza.

Życie zbiorowe, to najbardziej złożona i skomplikowana maszyna, jaka jest pod słońcem. Podobnie jak maszyna składa się z przeróżnych części, które się z sobą łączą zapomocą różnych większych kół i kółeczek, które się nawzajem zazębiają i jedno drugie do ruchu zmusza, a wszystko to ułożone jest w pewnym systemie, pod miarą i wagą tak, że gdybyś z tej całości wyjął tylko jedną, choćby bardzo malutką cząstkę, to cała maszyna ustanie — tak i życie.

Ileż przeróżnych prądów, ile przeróżnych oddzielnych kół działania? A wszystko to nawzajem zazębione — jeden prąd wpływa na drugi, jedno kółko pociąga drugie. Z tej ogólnej maszyny życia nic wyodrębnić nie można i gdybyś z niej wyrzucił choćby jedno kółeczko działania, całą maszynę zepsujesz i zniszczysz. To też, jeśli widz obcy, nie znający całego mechanizmu życia, będzie mu się przypatrywał, niewiele więcej w nim zobaczy ponad ustawiczny ruch, do chaosu podobny. Są jednak pewne ruchy, które nazwałbym głównemi, a od których sprawność mechanizmu zależy. Tak i w życiu zbiorowem, jeśli się mu bliżej przyglądniemy, odróżnimy pewne ruchy główne, pewne strumienie zasadnicze, któremi się cały ruch życia

odbywa. Ruchy te zachodzą jeden na drugi, żadnego z nich nie można wydzielić i usamoistnić, one wywołują ruchy mniejsze, uboczne w organach pomocniczych i w ten sposób rodzi się ruch w całej maszynie — powstaje życie, w którem się dusza zbiorowa objawia. Nazwijmy te główne, a przynajmniej najgłówniejsze ruchy życia po imieniu. Będą się one nazywały: polityka, życie społeczne, ekonomja, nauka, sztuka, religja. Są zapewne jeszcze i inne ruchy w tej machinie życia, lecz te, zdaje mi się, są najgłówniejsze, w nich się najdoskonalej zbiorowa dusza objawia. Od prostolinijności tych biegów zależy też zdrowie, a zatem i zadowolenie duszy zbiorowej. Przypatrzmy się choćby pobieżnie, jak się w obecnej chwili odbywają te zasadnicze ruchy życia, a stąd prostą drogą dojdziemy do wniosku, do którego dojść zamierzyłem i który na czele tego rozważania postawiłem, a mianowicie, że dusza ludzka, ta zbiorowa dusza tegoczesna, którą się określa słowem „modern“ — nie jest zdrowa. Przejdźmy pokrótce te pojedyncze strumienie zbiorowego życia i przeglądnijmy się w nich.

b) POLITYKA, to pierwszy nurt, którym się życie zbiorowe toczy. Nie będę w tej sprawie dużo mówił, gdyż nie jestem politykiem, ale ponieważ jest to bardzo ważny dział w życiu zbiorowem całej ludzkości, przeto nie można go pominąć. Polityka, to ta siła tkwiąca w życiu samem i z życia wypływająca, która reguluje współżycie narodów między sobą, ujmując je w pewne organizmy, zwane państwami. Stara ona, jak stara ludzkość, a zmienna, jak zmiennemi są uczucia ludzkie. Zmienia się ona w różnych epokach, a zmienność ta zależy od większego lub mniejszego uświadomienia obywateli, odnośnie do ich praw i obowiązków. Dwie formy główne, niby dwa bieguny przeciwne przebijają się w ciągu wieków, a to, władza państwowa absolutna, gdzie rządzi jedna osoba — i władza demokratyczna, gdzie rządzi lud cały, masa obywateli. Otóż od czasów t. zw. reformacji t. j. od 16 wieku, wi-

dzimy w społeczeństwach europejskich stałą dążność do usunięcia władzy absolutnej, a zastąpienia jej władzą ludu. Pierwszym wyrazem tej dążności była wielka rewolucja francuska, która, oparta na zasadzie wygłoszonej przez ojca tej rewolucji genewskiego pisarza Rousseau — „z ludu — przez lud — dla ludu“ — obaliła tron, a sprowadziła rządy ludu. Myśl rewolucyjna, aczkolwiek poskromiona silną ręką genjusza wojny — tliła się jednak na dnie ludzkiej duszy zbiorowej, wybuchała od czasu do czasu jasnym płomieniem w ciągu 19 wieku, aż doprowadziła do ogólnej wojny, wszystkich przeciwko wszystkim, zakończonej ogólną prawie rewolucją — obaleniem tronu średniowiecznych (za małymi wyjądkami monarchij nawskróś kosmopolitycznych) i wprowadziła w życie zasady demokracji. I jesteśmy świadkami, jak się ta myśl demokratyczna ujawnia nazewnątrz. Widzimy jej teror straszliwy, nie lepszy od teroru średniowiecznego, teokratycznego monarchizmu i inkwizycji t. zw. Bolszewji — i znów widzimy tę demokrację, rozwijającą się w innych europejskich młodych republikach. Która forma lepsza, nie moją rzeczą sądzić i to do rozważania naszego nie należy. To tylko stwierdzić musimy, co było w założeniu naszem, że na polu polityki coś się skończyło — skończył się średniowieczny absolutyzm — a to coś nowe, co się zaczęło — jeszcze nie miało czasu przybrać realnych kształtów i stałych form — to coś nowego znajduje się obecnie w stanie tworzenia. I tworzą różni ludzie, nieraz nie bardzo do tego powołani ze względu na swą wiedzę i swój charakter, nowe wartości w tej dziedzinie, nie pomnąc na to, że najważniejszą zasadą w budowaniu państw i nadawaniu im form są te niezmiernie głębokie słowa Chrystusa Pana: „szukajcie najpierw królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego — a to wszystko będzie wam przydane“.

c) ŻYCIE SPOŁECZNE to drugi nurt, którym płynie życie zbiorowe. Określił je doskonale wielki Apostoł Chrystusowy, św. Paweł, kiedy społeczeństwo porównał do

ciała ludzkiego, a poj-dyncze stany do pojedynczych członków tegoż ciała. Jako w ciele ludzkiem wszystkie członki są ważne i gdy choćby jeden członek jest chory, to odbija się to na całym organiźmie, tak i w społeczności ludzkiej, każdy stan, choćby bardzo na pierwszy rzut oka niepozorny, ma do spełnienia pewną funkcję, pewne zadanie, które niewypełnione, odbija się na całym organiźmie. Gdy jeden tylko człon społeczny, jeden stan, jedna klasa społeczna jest chorą, cały organizm niedomaga, chorzeje. Taką teorję postawił w sprawach społecznych największy, jakiego świat zna, organizator, ten, który zorganizował kościół Chrystusowy, Apostoł Paweł. Lecz ludzkości nie podoba się ten program społeczny i równocześnie z dążeniem do rewolucji politycznej objawiała się także chęć zrewolucjonowania życia społecznego. I znowu, wychodząc z zasady równości i wolności ogłoszonej w wielkiej rewolucji, starano się znieść klasowość, znieść stany, a na miejsce ich zrównać wszystkich pod względem socjalnym, społecznym. I znowu nie moją rzeczą jest rozstrzygać, albo wypowiadać, co lepsze. Zapewne, że wszyscy jesteśmy równi, kiedy Chrystus Pan tak bogaczowi, jak ubogiemu, tak arystokracie, jak chłopu tę samą modlitwę przepisał: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie," chcę tylko stwierdzić, że i pod względem społecznym życie nasze się nie ustaliło. Wyszliśmy z pod przewagi arystokracji i rycerstwa średniowiecznego, a wpadliśmy pod bat partji i związków zawodowych, które niewiele w życiu naszem społecznem nam pomagają. Więc i tu stosunki nie uregulowane i tu skończyły się stare formy, a nowych jeszcze nie potrafiliśmy wytworzyć.

d) EKONOMJA. Życie ekonomiczne ludzkości określił i oznaczył i granice jego zakreślił Chrystus Pan, kiedy w modlitwie Pańskiej umieścił jedną z próśb w tej formie: „chleba naszego powszedniego daj nam dziś". W prośbie tej na dwa słowa chcę zwrócić szczególniejszą uwagę, a mianowicie na słówka „powszedni" i „dziś". Chrystus

Pan używając rozmyślnie tego słówka „powszedni“ chciał ludzkości powiedzieć: „nie troszcz się o zbytek, nie dbaj o nadzwyczajne bogactwa“ — lecz proś więc i staraj się o chleb zwyczajny, o to, co ci do życia codziennego niezbędnie jest potrzebne — a przez to drugie słówko: „dziś“ chciał nam powiedzieć, abyśmy myślą naszą nie wybiegali zbyt naprzód i troską o przyszłość nie zamącali sobie spokojnego biegu teraźniejszości. Dodaje też w innem miejscu zdanie: „sufficit diei malitia sua“ — „wystarczy dla dnia złość jego“ t. zn. że każdy dzień przynosi z sobą tyle trosk i kłopotów, iż nie potrzeba mu ich przyczyniać przez myśl o przyszłości. Oto zasada ekonomiczna postawiona ludzkości przez Syna Bożego. Czy ludzkość, ten człowiek zbiorowy zadowolił się tą zasadą ekonomiczną Chrystusa Pana? Ani mowy! Nic tak nie działa oślepiająco na człowieka, jak błysk złota, a ta od Boga w duszę włożona chęć mienia, ta chęć nazwania pewnego dobra słowem „moje“ jest najgłębiej zakopana i zakorzeniona w duszy człowieka, czego znakiem chociażby to, że gdy z biegiem lat inne namiętności i chęci człowieka opuszczają, to ta nie opuszcza go nawet na śmiertelnej pościeli. Otóż człowiek, idąc po linji najmniejszego oporu w sprawach ekonomicznych, starał się zebrać jak najwięcej „mienia“, a każdego, ktoby mu stał na przeszkodzie starał się choćby siłą usunąć z drogi. Wytworzyła się w życiu zbiorowem ludzkości walka, którą eufemicznie nazwano walką o „byt“, a która jest niczem innem, jak walką silniejszego ze słabszym. Walka ta, tak stara, jak człowiek, przybierała różne formy, aż w ostatnich czasach udrapowała się w piękną szatę komunizmu, który twierdzi, że wszystkie dobra powinny być wspólne, a nie chce powiedzieć tego, że wspólność dóbr jest możliwą tylko między ludźmi doskonałymi, świętymi, a nigdy wśród takich zepsutych i nierównych pod każdym względem duszek, jakie dziś świat wypełniają. Więc i tu t. zw. w ekonomji, w tem wyżywianiu człowieka chlebem, w rozdzie-

laniu dóbr doczesnych pomiędzy potrzebujących nie ma równowagi. Między trustem z jednej strony, a komunizmem z drugiej, między miljarderem amerykańskim a sutereniarzem panuje tak ogromna skala rozpięcia, że jej ani wojna, ani rewolucja, ani bolszewizm wyrównać nie zdoła. I pod tym względem znajduje się życie zbiorowe w stanie płynnym — szuka ono nowych form, lecz znaleźć je trudno!

e) NAUKA, to ukochane dziecię ludzkości, a zarazem jeden z najpotężniejszych nurtów, któremi życie zbiorowe płynie. Duch ludzki jest niespokojny — „inquietum est cor hominis". — On ciągle szuka, idzie przez świat jak ów legendowy żyd, tułacz — wieczny żyd i szuka. A że ciekawy jest, więc się przed nim nie ukryje nic, więc też robi przeróżne odkrycia, wynalazki, ulepsza to życie szare i stara się je przez to umilić i uprzyjemnić. Gdy patrzymy na to, co się na świecie naszym zmieniło od połowy wieku, a co mamy do zawdzięczenia nauce i odkrywcom, to musimy się ująć ze zdziwieniem za głowę i skłonić ją przed ludzkiem genjuszem — przed nauką. Czynimy też to chętnie i na każdym kroku, gdzie tylko możemy, chełpimy się naszym postępem. Lecz aby użyć tego trywjalnego wyrażenia — „każdy kij ma dwa końce" — przypatrzmy się postępowi naszego wieku, przypatrzmy się wynalazkom opartym, rozumie się samo przez się, na nauce, a zobaczymy dziwne zjawisko, które każdego musi głęboko zastanowić i do myślenia pobudzić. Oto — cokolwiek człowiek mądry przez długie myślenie i syntezę wynalazł i dla wspólnego dobra ludzkości tej do użytku oddał, to ta ludzkość, tego dorobku użyła przeciwko samej sobie. Istotnie podobna w tem do dziecka, któremu gdy dasz nóż do rączki, w tej chwili bez zastanowienia do buzi go niesie. Czyż ludzkość tych wszystkich wynalazków, zdobyczy ostatniego półwiecza, na które z taką dumą jako na dorobek swój wskazuje, nie użyła prze-

ciwko samej sobie, aby się nawzajem zabijać i mordować z większą precyzją i dokładnością?

Lecz filozofja — ta królowa nauk — ta nam w ostatnich czasach oświeciła świat i wprowadziła nas w nowe, dotąd nieodkryte sfery! Tak! Uczyniła z nas „nadludzi"! Nadczłowiek, to wytwór najnowszej filozofji. Zaczął się on wytwarzać w umysłach ludzkich również z chwilą, kiedy się zrodziła myśl rewolucji, a w ostatnich dziesiątkach lat system ten doczekał się zupełnego wykończenia w filozofji niemieckiej, przeważnie u Nietschego — a stamtąd rozszedł się razem z pruską tandetą po całym świecie. I oto rozpoczął panować ten naukowy nadczłowiek, tylko że nie miał poddanych, bo każdy był równym mu nadczłowiekiem. I znalazł się ten nadczłowiek mimo nadczłowieczeństwa swego, w zupełnem osamotnieniu, a nie mając co lepszego do roboty, ten to filozoficzny nadczłowiek doprowadził świat do tej niedawno przeżytej, katastrofalnej kąpieli krwawej. Więc i na tem polu, zdawało się najpewniejszem, niema spokoju!

f) SZTUKA. Ta zależna jest w zupełności od wnętrza, od duszy człowieka! Kiedy duch żył zaświatami, zagłębiał się w świecie jemu właściwym, wtenczas i sztuka była uduchowiona i przemawiała do ducha. Z chwilą, kiedy duch zstąpił z parnasu na ziemię i zaczął się niby wieprz nurzać w błocie i sztuka razem z nim w błoto wpadła! Porównajmy sztukę obecną z dawną. Czy weźmiemy poezję, czy malarstwo, czy rzeźbę, czy architekturę przekonamy się, że sztuka nowoczesna nie ma ducha, a operuje tylko zmysłowemi motywami i chce działać i działa na zmysły. I tu jak gdzieindziej nastąpiła rewolucja i dąży przez dekadentyzm, impresjonizm, futuryzm do nowych form.

g) RELIGJA to najpotężniejszy nurt zbiorowego życia ludzkości. Polityka obchodzi tylko pewne sfery, życie społeczne reguluje niektóre czynniki, sprawawi ekonomicznemi interesują się specjaliści — nauka jest przywilejem

nie wielu — podobnie też sztuka wszelkiego rodzaju — lecz religja jest wspólną własnością wszystkich i nikt nie może przejść obok niej obojętnie, czy to będzie polityk, czy ekonomista, czy socjolog, czy uczony filozof, czy poeta, czy malarz, czy prosty człowiek ludu. Ona wszystkim zagląda w oczy, do każdego przemawia, każdego ku sobie ciągnie i woła. I zdawałoby się, że ta światłość, ta skarbnica wspólna ludzkości, ta kolebka wszelkiej cywilizacji i kultury będzie przez wszystkich bez wyjątku szanowaną, że rewolucja, która dąży do zmiany form życia na różnych polach, ten nurt życia pozostawi w spokoju. Lecz niespokojny duch ludzki nie chce niczego zostawić w spokoju i chce nawet do religji zastosować zasady demokratyczne. Więc i w tej dziedzinie domaga się duch ludzki wolności, nazywając tę wolność wolnością sumienia. Twierdzi także ludzki duch, że religja kościelna służy tylko rządom i to absolutnym, że jej zadaniem jest wyniesienie jednych stanów ponad drugie, że jej winą jest utrzymanie klasowości i t. p. Te i inne zarzuty zaczęto stawiać religji już od 16 wieku, od czasu reformacji, a myśl o zupełnej wolności sumienia ujawniała się i przybrała realne kształty w czasie rewolucji francuskiej. Cały wiek 19-sty to walka z religją. A sposób tej walki ciekawy, gdyż nieprzyjaciel nie uderza wprost atakiem frontowym — nie mówi, że walczy z religją — tylko uderza z boku, uderza w kościół, w jego zakrzepłą formalistykę, w jego chęć panowania i różne rzeczywiste, czy urojone wady i niedostatki. I dziś jesteśmy świadkami zmagania się dwóch światów. Z jednej strony duch religijny wzrasta. Wielu, bardzo wielu widząc głąb nędzy, jaki się otworzył przed oczyma przerażonej w czasie wojny i następującej po niej rewolucji ludzkości, rzuciło się masowo ku religji, szukając w niej ostoi dla ducha, pociechy dla serca — z drugiej strony ze wzrostem rewolucji na innych polach, wzrosła też rewolucja w dziedzinie religji. I nastąpiło tutaj pewne zróżniczkowanie. Każdy, czy do tego powołany czy nie, zaczął od budowania nowego ko-

ścioła. Rozpoczęły się i zaczęły wzrastać jak grzyby po deszczu t. zw. kościoły narodowe, a każdy odmienny, a każdy głoszący inne zasady, a każdy stosujący się do życzeń pewnych tylko ugrupowań, a nawet co gorsza, pewnych osobistości, zazwyczaj przewódców partyj politycznych. Świadkami tego różniczkowania jesteśmy także w naszej Ojczyźnie. Zdawałoby się, że kiedy się nowoczesna religja pomieszała z polityką i zastosowała do wszelkich wymagań jej twórców, że na tem jej rozkład się skończy. Lecz i tu jeszcze niema końca. Jeżeli ma być zupełna wolność sumienia, zupełna demokracja, to niechże każdy osobnik tworzy sobie własną religję — niech sobie stawia własne dogmaty, o ile takowe mu są potrzebne, niech sobie stawia własne zasady moralne, etyczne, takie, któreby mu dogadzały, niech sobie w sercu swem wybuduje własny ołtarz i niech na tym ołtarzu składa własną ofiarę, niech każdy ma własny kult! I tu idzie dalsze różniczkowanie religji — człowiek chce być pod tym względem indywidualnym. I ten proces różniczkowania religji odbywa się obecnie w społeczeństwach. I dokądże doprowadziło ludzkość to różniczkowanie religji? Czy człowiek, który w swym zapędzie indywidualistycznym siebie samego postawił na ołtarzu — rozum swój uznał za jedyny dogmat, a wolę za jedyny moral i normę postępowania, zaś korzyść swoją i wygody swoje za przedmiot jedyny godny kultu, za tego złotego cielca, przed którym tańczyć i któremu kłaniać się warto, czyż (powtarzam) znalazł zadowolenie? Dokądże go ta indywidualna, osobista religja, a właściwie negacja wszelkiej religji doprowadziła? Skepsis — niedowierzanie — potem krytyka — za nią idzie ironja — za tąż znowu negacja — a za negacją — niewiara. Oto cała procesja nowych stanów ducha, które mają człowieka uszczęśliwić. I zaczął sobie człowiek szukać jakiejś namiastki religijnej i oddał się spirytyzmowi, wynalazł sobie teozofję, a nawet satanizm i średniowieczna czarna magja znalazły dostęp do tego

postępowego, nowego, zrewolucjonizowanego człowieka. — Oto rewolucja na polu religijnem. Lecz już dość tego!

h) Przedstawiłem, o ile mogłem, najważniejsze nurty życia zbiorowego doby obecnej. Nie twierdzę, żeby szukanie nowych form, kierowanie tych nurtów życia do nowych łożysk było czemś złem. Owszem! Świat nie może nigdy stanąć, ruch ludzki, który wyszedł z najdoskonalszego źródła, z Boga, całym wysiłkiem swym dąży do doskonałości po przez różne przeszkody stojące na jego drodze, kierowany jest zapewne w tej odwiecznej wędrówce ręką Opatrzności. Dlatego też pewni być możemy, że w końcu do celu dojdzie — i posiądzie to, co już tu na ziemi posiąść może — prawdę, dobro i piękno. Sam Chrystus zapowiada przyjście na ziemię takiej szczęśliwej epoki, kiedy mówi, że przyjdzie czas, kiedy będzie „jedna owczarnia, jeden pasterz". I dlatego nie wolno nam wyklinać pracy nowoczesnej duszy ludzkiej, która, bądź co bądź, jest pracą znojną i trudną. My musimy tylko ustalić jako fakt, że ten duch nowoczesny nie znalazł sobie jeszcze nowych koryt, w któreby nurty zbiorowego życia mógł wpuścić. On szuka dopiero tych koryt, szuka nowych form życia. — Zburzył stare formy przeprowadziwszy gruntownie rewolucje — pootwierał śluzy, które zamykały stare koryta — wypuścił falę życia na wolność i sam się obecnie w niej topi. A jako topielec traci przytomność, ruchy jego stają się niepewne — ratuje się jak może, czasem nie ma czego się uchwycić, czasem pochwyci podaną mu z brzegu linę, ale często traci przytomność i ginie, tak też się dzieje i z tą współczesną — modernistyczną duszą ludzką. Targają nią i wstrząsają jakieś jakby przedśmiertne drgawki. A jako objaw tych dusznych drgawek co widzimy? Taniec św. Wita — człowiek dzisiejszy tańczy! tańczy! i jeszcze raz tańczy! Ta horobliwa manja tańca, która ogarnęła wszystkie prawie społeczeństwa, to objaw choroby duchowej. Dusza niespokojna, nieszczęśliwa, niezadowolona, stara się

oszukać, otumanić, a że sama niespokojna, więc wyraża niepokój ten organem swym, ciałem!

A drugi objaw, to alkoholizm, morfinizm i kokainizm, to nagminne się trucie. Dusza niespokojna, więc jej trzeba chociażby chwilkę dać zażyć spokoju. Więc się zatruwa jej organ, mózg, wprowadza się psychę w stan podniecony! Niech ma dusza choćby przez chwilę namiastkę zadowolenia, namiastkę spokoju, namiastkę szczęścia! Nic to, że się za chwilkę obudzi, że znowu popadnie w rozstrój, że się znowu rozpocznie beznadziejna szarpanina — lecz to wszystko warto opłacić chwilą sztucznej podniety! I wreszcie trzeci objaw, trzeci charakteryzujący doskonale naszą epokę rys, a równocześnie ostatni wyraz zrozpaczonej duszy, to manja samobójstw i zwierzęca chuć krwi, objawiająca się w masowym bandytyźmie. Tak jest! Manja samobójstw to oznaka chorej, bardzo chorej epoki. A my tych samobójstw, mamy tyle! tyle! W Europie i Ameryce popełnia rocznie około 100.000 ludzi samobójstwo! Między tymi, którzy się dobrowolnie życia pozbywają znajduje się nawet — i to dość obficie reprezentowana swera — dzieci! A bandytyzm, a chęć rozlewu krwi, ten dziwny sadyzm, który się spostrzega u morderców, którzy się pastwią nad ofiarami swemi. I znowu ta okoliczność, że między tymi chorymi sadystami znajdujemy w przeważnej części młodzież — czyż to nie są rzeczy godne zastanowienia?

Skąd się to wszystko bierze? gdzie źródło tych, wszystkich chorób społecznych? W duszy, tej biednej, niespokojnej, współczesnej, modernistycznej duszy ludzkiej, którą obdarto ze wszystkiego, co było dotychczas jej bezsporną własnością i puszczono w dalszą wędrówkę, jak ostatnią żebraczkę, nie dawszy jej na drogę ani skibki, jednej skibki prostego razowca! Oto stan dzisiejszej t. zw. nowoczesnej ludzkiej duszy, nowoczesnego modernistycznego człowieka.

i) Żeby użyć porównania z ewengelji, podobny jest ten biedny modernistyczny człowiek do onego podróżnego

który szedł z Jerozolimy do Jerycha i wpadł między zbójce, którzy go ciężko poranili, obrabowali i nawpół żywego w rowie przydrożnym zostawili. Tak obdarty, obrabowany, zbity, nawpół żywy leży przy drodze życia człowiek nowoczesny.

Kto byli ci zbójcy, którzy go tak urządzili? Nowe, a niezdrowe i zupełnie z istotą jego niezgodne ideje!

Czyż mamy go ominąć tak, jak ominęli nieszczęśliwego żydowina i sługa kościelny i kapłan z synagogi? Nie! nie wolno go ominąć, lecz trzeba się nim zająć tak, jak się zajął nieszczęśliwym miłosierny samarytanin. I któż ma być tym samarytaninem dla biednej duszy ludzkiej? Ten, który zawsze i po wszystkie czasy był lekarzem najlepszym dla biednej duszy ludzkiej. Samarytanin, litujący się nad pobitym, zalał rany jego oliwą. Oliwa, to obraz miłości Chrystusowej. Tej miłości Bożej, tak bardzo ludzkiej duszy potrzeba! Świat dzisiejszy jej nie chce uznać — miłość w dzisiejszem znaczeniu, to wyraz stosunku mężczyzny do kobiety — to jedyne, co się dzisiaj pod „etykietą“ „miłość“ kryje. Tę szczerą miłość, którą Chrystus na naczelnem miejscu swojego programu umieścił, gdy mówił: „kochaj Boga nadewszystko — a bliźniego jak siebie, samego“, zastąpiono dziś suchem i niewiele mówiącem pogańskiem „humanitaryzmem“. Lecz to nie to samo! Chorej duszy ludzkiej dzisiejszej, targanej przedśmiertnemi drgawkami, trzeba tej prawdziwej, tłustej oliwy na zalanie jej ran — miłości, która z Chrystusa i Jego serca płynie!

Samarytanin włożył chorego na bydlę swoje, dał mu coś stałego, podstawę, aby nie upadł. I chorej duszy ludzkiej trzeba dać coś stałego, na czemby się oprzeć mogła. I cóż może być lepszą podstawą, trwalszym fundamentem dla duszy, aniżeli Chrystus z zasadami swojemi, nauką swoją? Powiedział: „niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą!“ A więc tę podstawę dajmy chorej, umęczonej duszy!

I zawiódł go do gospody i prosił gospodarza o pieczę nad chorym. Gospodą dla chorej duszy, to kościół Chrystusowy! Można na tę gospodę narzekać — ma ona swe niedostatki, jako instytucja, którą zarządzają ludzie, lecz to gospoda, na dobrym zbudowana fundamencie: „ty jesteś opoka, a na tej opoce zbuduję kościół mój, a bramy piekielne nie zwyciężą go." Tam, niby w gospodzie najlepszej, znajduje biedna dusza pieczę i chleb dla duszy żywy i napój krynicznej, źródlanej wody — łaski. Tam i tylko tam, może ozdrowieć chora ludzka dusza! Amen.

SPIS.

Str.

I. KAZANIA O MĘCE PAŃSKIEJ

1. Konanie w Ogrojcu 5
2. Zdrada Judasza 15
3. Sądy Chrystusa 27
4. Ecce Homo — oto człowiek! 38
5. Droga Krzyżowa 48
6. Kalwarja 59

II. KAZANIA PASYJNE
Siedm słów P. Jezusa na krzyżu

1. Ojcze! odpuść im bo nie wiedzą co czynią 73
2. Dziś ze mną będziesz w raju 81
3. Matko! oto Syn Twój. Synu! oto Matka Twoja. 90
4. Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił! 100
5. Pragnę 110
6. Wykonało się 120
7. Ojcze! w ręce Twoje polecam ducha mego! 130

III REKOLEKCJE

1. Religja — pojęcie religji — jej istota — wpływ religii na życie 153
2. Szata zewnętrzna religji — Dogmat — Morał — Kult . . 166
3. Usprawiedliwienie 179
4. Człowiek nowoczesny 192

PRAWA PRZEDRUKU ZASTRZEŻONE
COPYRIGT BY „KAZANIA O MĘCE PAŃSKIEJ"
MIEJSCE-PIASTOWE 1927.

LIBRARY
St. Hyacinth Friary
Granby, Mass.